III, I, 18, 60

3 1/2 6

1.50

POWIEŚCI DLA LUDU.

Iry.

POWIEŚCI DLA LUDU.

I. Piotr i Jagna Bandurkowie. II. Jak się pan Amandus Fifirkowski zaręczył? III. Kasia. IV. Wspomnienia o mojej matce. V. Marya-Aniela. Opowiadania z krwawych dni 1831 r. VI. Listy Marysi do Antka.

Poznań.
Nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha.
1912.

Printed in Poland

Piotr i Jagna Bandurkowie.

I.

Wśród poświstu jesiennego wiatru, za wózkiem słomą wysłanym, na którym kołysała się trumna, szedł żałobny orszak bardzo skromny, lecz nie najuboższy, ku staremu, opuszczonemu cmentarzowi niemieckiego miasta X.

Ktoś patrzący zdala nie byłby mógł odgadnąć, że to ludzie starsi, doświadczeni, ludzie ciężkiej pracy, odprowadzają na wieczny spoczynek jednego z pośród swoich, tak dziwnie wyglądało to grono, ciężkiemi stopami broczące po błocie, tak od nich biła jakaś fantazya wojownicza i butna.

A jednak był to pogrzeb. Pogrzeb cywilny, bez krzyża, bez księdza, bez świec, ni śpiewu wiernych. Na nie wielkiej trumience, okrytej czarnym całunem, spoczywało kilka skromnych wieńców i korona z nieśmiertelników, zdobna w białą wstęgę, na której były wyryte słowa: Ukochanemu synowi — ojciec i matka.

Na czele kilkunastu towarzyszów, robotników fabryki Amroth et Comp. szedł ojciec zmarłego dziecka, wysoki chłop, o rudym zaroście i twarzy

napiętnowanej dziką determinacyą. — Za tą garstką mężczyzn, wlokło się kilka kobiet ciemno ubranych, a między niemi, nie trudno było rozpoznać matkę, zbiedzoną, skurczoną we dwoje, która opierając się na ramieniu sąsiadki, głośno szlochała.

Niebo ołowianemi chmurami zapowiadało deszcz, lub grad nawet, bo zimno było przenikliwe i ostry powiew październikowego wieczoru mroził twarze.

Za główną bramą orszak wszedł w ciasną uliczkę, wiodącą do cmentarza, gdzie błota było powyżej kostek, gdzie brud i zaduch panował okropny.

Tu i owdzie jeszcze sterczało kilka chałup z odrapanemi dachami, dziurawemi oknami, z poza których wychylały się: to głowa starej kobiety, to twarz umorusana zgłodniałego dziecka. Słowem okolica brzydka, smutna, opuszczona. — W dali pola puste i martwe, z drobnemi kopcami kartofli, przykrytemi słomą i liśćmi — a na widnokręgu, na prawo, na lewo, wszędzie kominy i kominy, buchające ku ołowianym niebiosom ciemnemi kłębami dymu.

Wszystko tam świadczyło o wielkiej nędzy robotnika przeznaczonego na krwawy znój, na biedę, na choroby i na płynące stąd zepsucie. Serce się ściska na myśl, że tu właśnie setki rozproszonych polskich rodzin szuka pracy — że gdy jedni tęższi i wytrwalsi dobijają się jako tako grosza, inni słabsi, mniej pojętni giną w zapomnieniu.

Samo miasto X. fabryczne, bogate, wre i kipi życiem, bawi się i hula — gdy w zaułkach jego, w sromotnej nędzy, rodzą się i umierają ludzie, na podobieństwo Boże stworzeni.

Wśród tego otoczenia posuwał się wolno orszak żałobny, oraz kilku obdartusów, wyrzutków społeczeństwa, po większej części niemieckiej narodowości, którzy przyłączyli się do niego, aby popatrzeć na pogrzeb, jak na widowisko.

Już niedaleko do celu. Coraz mniej było domostw, a coraz nędzniejsze te, które trzeba było ominąć. Raz po raz przypływały zapachy dymów fabrycznych, zmieszane z wyziewami z kuchni lub karczmy.

W końcu, na skręcie długiego muru, ukazał się cmentarz, do którego weszli ludzie niosący trumnę dziecka. Ten, którego mieli za chwilę spuścić do przygotowanego dołu, był to dziesięcioletni chłopczyk, Kubuś Bandurek, biedny kaleka, od lat niemowlęcych ciężką gnębiony chorobą.

Wszyscy co go znali, nie mogli patrzeć bez serdecznego współczucia na wątłe, w pałąk skrzywione dziecko, które się urodziło na to tylko, by strasznie cierpieć na ziemi.

Kubuś był synem robotnika Piotra Bandurka, pracowitego człowieka, który do kieliszka zbyt często nie zaglądał, ale odkąd wywędrował z stron rodzinnych i zapisał się do fabryki Amrotha et Comp. w mieście X. stracił wiarę, obałamucony

przez socyalistów. — Żona jego, Agnieszka Dębczak, kiedyś przed laty, tam — wśród swoich, Jagulą zwana, cicha kobieta, zarabiająca praniem kilka marek tygodniowo — nie podzielała wprawdzie zapatrywań męża, lecz była zbyt słaba i zaślepioną, by im się oprzeć w zupełności. Zresztą małżeństwo to żyło zgodnie i szczęśliwie, dopóki Pan Bóg nie zesłał im dziecięcia, które po krótkiej radości stało się ich ciężkiem zmartwieniem.

Kiedy doktor, spoglądając okiem znawcy na wątłe ciało chłopczyka, oznajmił rodzicom, że dziecko będzie przez całe życie kaleką — ojciec, jako człowiek, uwielbiający nad wszystko siłę muszkułów, zaklął z bólu i przerażenia — a matka poczęła żałośnie płakać.

Po pierwszych wybuchach żalu i rozpaczy, powoli Bandurkowie przyzwyczaili się do tej strasznej myśli. Cóż było robić? Wszakże synek ich nie był winien nieszczęściu — trzeba go było przyjąć takim, jakim go Pan Bóg stworzył — i przywiązać się do maleństwa. Zresztą przyszło im to bardzo łatwo. Taki był miły i ładniutki ten ich Kubuś o twarzyczce bladej i smutnej, o oczach dużych i słodkich, jak u dziewczynki. A przytem tak dobry i pocieszny, tak mądry, i nieraz rozumnemi uwagami zadziwiał rodziców. Ledwie skończył cztery lata, już znał wszystkie litery. Dla matki, bardzo przywiązanej do rodzinnej mowy, była to prawdziwa radość, widzieć, jak na obczyźnie Kubuś rwał się do polskiej książki i robił postępy w czytaniu.

Byłaby z wielką chęcią zapisała „Przewodnika katolickiego“, o którym jej opowiadała sąsiadka Polka, że ma dla dzieci dodatek z powiastkami i ładnemi wierszykami, ale mąż niedowiarek, nie chciał słyszeć o podobnem piśmie w domu — i dla świętej zgody, Agnieszka „Przewodnika“ nie trzymała, a tylko raz po raz brała go od sąsiadki i przynosiła chłopcu.

Kubuś, nie zdolny biegać jak inne dzieci w jego wieku ani się z rówieśnikami zabawiać, skazany był na długie godziny samotności; biedny chłopczyna siedział sobie cichutko na słomianem krzesełku, w ręku ściskał książkę z obrazkami, którą ojciec przyniósł, i żałośnie spoglądał przez okno na świat Boży, gdzie żyło tylu zdrowych i szczęśliwych ludzi. Matka wychodząc z domu, zwykła była stawiać mu opodal krukwie, aby w danym razie Kubuś mógł z ich pomocą poruszać się po izbie.

Piotr Bandurek patrzał nieraz na chłopca z wielką litością i zwłaszcza w pierwszych czasach jego niemowlęctwa nie miał dla syna żywszego uczucia — ale z biegiem lat, gdy umysł dziecka począł się zadziwiająco szybko rozwijać, stawał mu się coraz milszym i droższym.

Chłopczyk pieszczotami i słodkiem obejściem zjednał sobie w końcu serce ojcowskie. Matka, bo od chwili urodzenia kochała Kubusia całą potęgą macierzyńskiego serca, a kochała może jeszcze więcej dla tego, że był upośledzony od natury i taki wątły biedaczek.

Z początku zdawało się Bandurkom, że Kubuś nie utrzyma się przy życiu; gdy się jednak umysłowo coraz lepiej rozwijał, poczęli myśleć o przyszłości chłopca, okazującego tak niezwykłe zdolności.

— Wiesz co Pietrek? Nasz Kubuś jest wcale zgrabny do robót, — mawiała Agnieszka. — Wyszukamy mu zawód nie zbyt ciężki i męczący... Mógłby zostać na ten przykład — zegarmistrzem. Wtedy choć kaleka, nie będzie się czuł zbyt nieszczęśliwy.

Ale Piotr okazywał więcej ambicyi co do przyszłości syna.

— Co mówisz kobieto! Zegarnikiem! To wcale nie zawód dla Kuby. Kiedy on taki mądrala, do książek się garnie, dla czego nie miałby szkół całkiem ukończyć? Po prawdzie, nauka tu dla dzieci jest ciężką, bo to w obskim języku każdemu idzie kulawo — ale kiedy Kubuś ma głowę nie od parady, da sobie wszędy radę... Kto wie, matko, co z niego wyrośnie jeszcze — może jaki uczony profesor.

Jaguli na tę myśl oczy zaświeciły radością, a że Piotr we wszystkiem był dla niej wyrocznią, więc już od tej pory marzyła o przyszłej karyerze syna, wyobrażała go sobie w długim czarnym surducie, z cylindrem na głowie, idącego na lekcye do wielkiego gmachu, który zwano „uniwersytetem".

Niestety! wkrótce te piękne nadzieje rodziców zostały rozwiane...

Kubuś zaledwo zaczął dziewiąty rok życia, kiedy stan jego zdrowia znacznie się pogorszył. Zrazu był to stan chorobliwy, niewyraźny — zobojętnienie na wszystko, brak apetytu, brak wszelkiej chęci do życia. Przywołany lekarz zapisał proszki, zalecił używanie świeżego powietrza, jeśli można nawet zmianę miejscowości. Ale o tem biedni Bandurkowie myśleć nie mogli. Gdyby byli wśród swoich, znalazłby się jaki krewny, któryby kalekę mógł przyjąć, ale tu — o tyle mil od kraju, gdzież było go wywieść!...

I biedny Kubuś począł więdnąć, marnieć w oczach i coraz żałośniej patrzał na świat Boży, po którym chodziło tylu zdrowych i szczęśliwych ludzi!

Żył jeszcze całe dwa lata, coraz szczuplejszy, słabszy i bledszy. Ojciec z rozpaczą śledził przedśmiertną walkę dziecka, lecz zamiast szukać ratunku tam — gdzie go jedynie znaleść można, to jest we wierze świętej — począł się coraz więcej oddalać od Kościoła, i im gorzej było Kubusiowi, tem zacięciej trwał w swojem niedowiarstwie.

Jagna, w której piersi tkwiła głęboko ukryta miłość do wiary ojców, acz chwilowo uśpiona, mawiała raz po raz:

— Człowieku! — a żebyśmy tak kupili świecę i zanieśli ją na ofiarę przed ołtarz Matki Boskiej, co to w kościele św. Jadwigi wisi? Tyle tam ładnych srebrnych wotów dokoła obrazu pozawieszanych, złotych korali, świecidełek — na pa-

miątkę różnych cudów, które Najświętsza Panna sprawiła — możeby i na nas była łaskawą? Możeby się Kubusiowi przemieniło?

Ale mąż ją zburczał:

— Jeszcze ci te fanaberye, księżowskie wymysły, zabobony po głowie pokutują, kobieto! Co świeca ma pomódz Kubusiowi?... Jeno się zastanów? To wymysł tych w sutannach, aby ludzi wyzyskać.

I słaba kobieta, choć w głębi duszy wierzyła w moc Matki Bożej, Uzdrowienie Chorych — nie mówiła już nic, tylko po cichu, gdy mąż nie widział, żegnała się i szeptała pacierze, a Kubusiowi zawiesiła na szyjce przywieziony kiedyś z kraju medalionik Częstochowskiej Pani, z tą nadzieją, że przemieni cierpienie dziecka.

Tymczasem Kubuś z dniem każdym był słabszym, i strapieni rodzice jasno widzieli, że dni ich jedynaka są policzone.

Raz wieczorem, gdy ojciec wrócił wcześniej niż zwykle z fabryki, a matki jeszcze nie było w domu, zastał chłopca klęczącego w łóżku i zaglądającego w okno.

Zdziwiony Bandurek przystanął i spytał:

— A co tam robisz Kubusiu? Uważaj chłopcze, bo jeszcze wypadniesz.

— Chciałbym zobaczyć jak wygląda niebo... — odparł chory. — Może to już ostatni raz... — bo mi dziś ojcze strasznie duszno... tchu cięgiem braknie...

I zwracając swoje duże, smutne oczy ku ojcu:

— A czy tam będę mógł lżej oddychać?... Czy tam zobaczę was na pewno? Matusia niby tak mówią — lecz jabym chciał od was coś wiedzieć — tylko że ona zabroniła pytać was...

— O co pytać, synku?

— Ano o to niebo. Czy tam naprawdę dostanę nagrodę?

Bandurkowi krew uderzyła do głowy... Cóż miał odpowiedzieć nieszczęsnemu dziecku? Wszak od czasu, jak się zbratał z socyałami, przestał wierzyć w niebo... Toż to były księżowskie wymysły, zabobony! Wszak mu wytłomaczono, że człowiek nie ma duszy, i że ze śmiercią wszystko się kończy...

Dziś te zasady, w które święcie wierzył i które wpajał w umysł żony, wydały mu się wprost straszne... Jakże mógł temu biednemu kalece powiedzieć, że w zamian za jego ciężki żywot, pełen nędzy i smutku, choroby, nie czeka go nagroda wiekuista — lecz pustka i nicość?...

Jak złodziej, który wyciągając rękę po cudzą własność, lęka się, by go nikt nie podpatrzył, tak Bandurek oglądał się niespokojnie, czy kto nie podsłuchuje jego rozmowy z synkiem.

A chłopak, przyczołgawszy się do kolan ojca, oparł na nich ręce i patrząc mu w twarz, nalegał:

— Powiedzcie prędko, ojcze, zanim matka nie nadejdzie... Bo jabym tak chętnie chciał wiedzieć prawdę... Czy tam tak jest, gdy się umrze, — jak ona mówiła?

— I cóż ci ona takiego opowiadała? — wykręcał się Bandurek.

— Że tam w niebie jest cudnie i miło — że tam siedzi na tronie Bóg wielki — król świata i Matka Jego obok... że oni rozdają nagrody... A ci co biedni i chorzy i słabi na ziemi, ci najpiękniejszą koronę chwały odbiorą...

Bandurek mimowoli zadrżał, gdy w tej ciemnej, smutnej izdebce, skąd Bóg dawno był wygnany, padły słowa nieśmiertelnej prawdy.

W milczeniu przytulił głowę chłopczyny do serca, a ten mówił dalej:

— I matka powiedziała, że ci, co się kochają na ziemi mocno i dobrze, ci się spotkają tam w niebie po śmierci... Czy tak jest pewnikiem, ojcze?

Wzrok dziecka zawisł na twarzy Bandurka z gorączkową ciekawością.

A on spuścił oczy i zmięszany odparł szeptem:

— Mój synu, wszystko jest prawdą, co ci matka mówiła.

Błogi uśmiech rozjaśnił twarzyczkę chorego.

— To ja chcę pójść do tego nieba... i będę tam za wami czekał, póki nie przyjdziecie do mnie ojcze, razem z matusią... bo ja was okrutnie kocham — i bez was nigdzie nie mogło by mi być ani miło — ani dobrze...

Bandurek cicho łzę otarł z oka i widząc, że Kubuś wyczerpany rozmową słania się, wziął go na ręce i zaniósł do łóżeczka.

Dwa dni minęły spokojnie; a trzeciego nad ranem, gdy Piotr golił się przy bladem świetle świecy, a matka przygotowywała mu ranną kawę, chory zawołał rozpaczliwie: Matusiu, matusiu!

Rodzice przybiegli do chłopca, każde z nich pochyliło się nad nim, chwytając wychudzone jego rączki, a on biedaczek, spojrzawszy w koło rozszerzonemi od trwogi źrenicami, wołał:

— Pić... pić... tak dusi strasznie... tu... tu... I wskazywał na pierś dyszącą.

— Mój Kubuś — mój synaczek złoty!...

— Matusiu!... wszak pójdę do... nie... ba... — do nie... ba...

— Pójdziesz synaczku... pójdziesz...

Chłopiec przymknął powieki i westchnąwszy głęboko, upadł na posłanie. — Za chwilę już go nie było na ziemi.

II.

Biedny Kubuś leżał w odświętnem ubraniu już od kilku godzin na marach. Obok matka, raczej do trupa niż do żyjącej osoby podobna, siedziała z głową opartą na dłoniach. Nie wiedziała nic, co się w koło niej działo — wszystko w niej zamarło. Nie mogła się modlić. Jakiś głuchy bunt rozpierał jej piersi... bunt przeciw Opatrzności tak srogo karcącej — przeciw społeczeństwu, przeciw życiu. Jad trucizny powoli podawanej ręką męża, teraz w nieszczęściu, czynił spustoszenia w jej biednej duszy...

A w koło niej roiło się od ludzi, wydziedzi-

czonych, zbuntowanych jak ona, którzy przyszli pocieszać kolegę, nie słowem nadziei i miłości — ale — bluźnierstwem. — Wszystko, co natura ludzka posiada najniższego, wyłaniało się na wierzch, w brutalny sposób, wobec tego trupa — dziecka, które stęskniło się do nieba.

— Jeno „poły“ nie zapraszaj na pogrzeb — mówili do Piotra, obędziemy się bez sutanny — każdy z nas pomoże ci godnie pochować chłopaka, — ale wara z księdzem...

— Nie potrzebujemy tych wyzyskiwaczów, co nas chcą za głowę trzymać i brednie bają o jakiejś sprawiedliwości w przyszłem życiu.

— Kościół nie jest naszą matką, bo z nami wcale nie trzyma, jeno pozwala by nas wyzyskiwano. — Wszakże on bierze jeszcze w obronę wszystkich tych pieniężników, którzy nas gnębią, kiejby jakie bydlęta...

Biedne obałamucone umysły! I to mówili synowie polskiego narodu, który tyle lat stał jako przedmurze chrześcijaństwa, który na karcie dziejów świata zapisał swe imię krwią walecznych synów, broniących po wsze czasy Kościoła świętego!

Biedne umysły, obałamucone przez przewrotnych ludzi, przez niegodziwe pismaki, zamiast na obczyźnie trzymać się społem krzyża świętego i wzajem pobudzać się do zgody, wmawiali w siebie nienawiść do wiary świętej, wprost przeciwną polskiej naturze — i brnęli coraz głębiej w duchową nędzę i upodlenie.

Piotr Bandurek nie umiał się oprzeć namowom towarzyszów. Im smutniej mu było w domu, tem częściej zachodził do kamratów, przysłuchiwał się na zebraniach socyalistycznych pogróżkom przeciw Kościołowi i możnym, a w duszy jego nienawiść do wszelkiej władzy niebieskiej — rosła — rosła.

Przed dziesięciu laty, gdy urodził się Kubuś, w sercu Piotra matczyną ręką zasiane ziarna wiary świętej jeszcze kiełkowały, przez samo wspomnienie dawnych wierzeń i zasad nie śmiał sprzeciwiać się, aby dziecko zostało ochrzcone. Teraz, po długim pobycie wśród innoplemieńców zbladły w nim wszystkie wspomnienia, ucichło sumienie, zgasła wiara i Piotrowi ani przez myśl nie przyszło, aby syna po katolicku pochować. Żona skamieniała w bólu, obojętna na wszystko, pozwoliła mężowi zająć się pogrzebem małego kaleki, i tym sposobem przyjaciele wynieśli trumienkę Kubusia, powieźli na cmentarz, gdzie została spuszczoną do grobu, bez jednej kropelki święconej wody...

Ale za to najstarszy z uczestników cywilnego pogrzebu, prewodyr i przyjaciel robotników, powiedział piękną mówkę, pełną szumnych słów o postępie, o równouprawnieniu, o braterskich związkach, mających na celu tępienie katolickich zabobonów i doszczętną ich zagładę i zakończył zdaniem, że trzeba walczyć przeciwko Kościołowi.

Mówił długo, z zapałem, potrącał wszystkie sprawy palące i na czasie — zachęcał do wojny

bez miłosierdzia z pieniężnikami, do ślepej zawiści ku sługom Bożym i ku warstwom uposażonym, o jednem tylko nie wspomniał — o biednej, czystej, niewinnej duszyczce Kubusia, która tęskniła do nieba i po latach cierpienia i zgryzoty, poszła po zapłatę wiekuistą, tam — wysoko — gdzie przedwieczna Mądrość i Miłość panuje!

III.

Skończył się smutny obrządek!... Wychodząc z cmentarza, Piotr Bandurek zaprosił kolegów do sąsiedniej knajpy, gdzie ich poczęstował piwem i kiszkami. Towarzystwo z początku było poważne i umiejące uszanować boleść rodziców;— powoli atoli poczęło się ono rozchmurzać i rozweselać. Poruszono odwieczną sprawę zwalczania Kościoła, dokonania przewrotu zupełnego, zaprowadzenia wspólnej własności — i wkrótce słychać było uderzenia pięścią w stół, okrzyki: „Precz z duchowieństwem!“ — „Precz z panami!“ — aż samemu Bandurce zrobiło się jakoś smutno i nieswojo w tym gwarze ożywionych rozpraw, tak świeżo po pochowaniu zwłok jedynaka.

Żona siedząca na uboczu w gronie kilku kobiet, zapatrzona w własną boleść, słuchała bluźnierczych rozmów — ale nagle — coś się w niej zbudziło — coś poderwało do wyjścia. Nie mogła, nie chciała słuchać dłużej strasznych wyzwisk i przekleństw — wzięło ją obrzydzenie do tej szajki bezbożników, napadających na to wszystko,

co dotąd dla niej było świętem — najświętszem. Bluźniercze ich napaści wręcz przeciwny skutek odniosły w jej duszy, — zamiast ją wrogo usposobić do Kościoła św., zbudziły uśpioną wiarę z odrętwienia...

Wstała i zbliżywszy się do męża, z twarzą zalaną łzami, szepnęła mu do ucha:

— Pietrek! bój się Boga! co oni wygadują!... pójdźmy do domu. Okrutnie też zmęczoną jestem i już przetrzymać tu dłużej nie mogę.

Bandurek, któremu też już duszno było, zwróciwszy się do przyjaciół, oznajmił im, że żona czuje się nie dobrze, więc ją chce odprowadzić do mieszkania, poczem wszyscy poczęli się żegnać.

Niektórzy, trochę podchmieleni, pozostali dłużej przy kufelku, inni a między nimi i kobiety wsiedli do tramwaju przejeżdżającego, strapieni małżonkowie zaś sami podążyli pieszo do domu. Szli obok siebie zmęczeni i smutni, wśród mroku październikowej słoty, z tą bolesną myślą, że na progu mieszkania już ich nie przywita odgłos krukwi kaleki, który gdy ich ujrzał zdala przez okienko, pędził ku nim, jak mógł naspieszniej, z objawami dziecięcej radości.

Kawał drogi już uszli w milczeniu, gdy Jagna nie podnosząc zapłakanych oczu, cichym głosem spytała męża:

— Pietrek! a czy będzie tu kto pamiętał o mogiłce Kubusia?

— Ja będę pamiętał — nie lękaj się Jagusiu.

Zapłaciłem grubo grabarzowi, i ma obłożyć darnią mogiłę, utrzymać ją w porządku, póki nie zbierzemy trochę grosza na nagrobek dla naszego synka.

— I położysz kamień na jego mogiłce?

— Za dziesięć dni może — przyrzekł mi grabarz — wszystko będzie w porządku, — obaczysz Jaguś.

— A jaki napis położymy na tem kamieniu?

— A no zwyczajnie — imię i nazwisko, lata naszego chłopaka i potem jeszcze można kazać wyryć: Ukochanemu synowi, wedle pamiątki, ciężko strapieni rodzice.

— I nic więcej, Pietrze?

— Nic, czegobyś jeszcze więcej chciała? Mnie się widzi, że to już wszystko.

— Słuchaj Pietrze, — rzekła po długiej chwili namysłu. — Nie miej do mnie markotności, gdy ci coś powiem, ani nie mów, że jestem kobieta, i że babski rozum nic nie wart. Jam cię zawdy i we wszystkiem słuchała i mówiłam ci też zawdy, co mam na sercu, a tyś nigdy nie brał za złe tej mojej szczerości. Widzisz mężu, tyś nie chciał, byśmy trumnę Kubusia zanieśli do kościoła, a jam tak była moją ciężką boleścią zmitrężona, żem ci się sprzeciwiać nie chciała; z żalu po prostu ogłupiałam. A zresztą, odkądeśmy się pobrali, zgodziłam się chętnie na to, co tobie się widzi... Ale dzisiaj, Pietrek, gdy tak w cichości i w milczeniu spuszczali do ziemi trumienkę na-

szego Kubusia, okrutny żal schwycił moje serce... Przypomniał mi się żywo pogrzeb nieboszczyka mego ojca, tam, w kochanym Strzelczu pod Piaskami, przypomniał się ksiądz proboszcz, dusza człowiek, dla wszystkich jak ojciec dobry, litościwy, gdy trumnę święcił, śpiewał nad nią i żegnał ciało, mówiąc trzy Zdrowaś i wieczny odpoczynek... przypomnieli mi się ludzie, krewni i sąsiedzi z Grabonoga, idący sznurem ze świecami w ręku i pobożny śpiew: „Witaj Królowo", co się rozlegał po wsi daleko, daleko — i głos dzwonów płynących w powietrzu...

Jagna zatrzymała się chwilkę i spojrzała na męża.

Szedł z głową spuszczoną, niby skruszony, ale wyraz zaciętości nie schodził mu z twarzy.

— Pietrek! a naszemu chłopaczkowi to nikt nie zaśpiewał. Niedosyć się nieborak najadł smutku i choroby na ziemi, jeszcze i po śmierci miał pogrzeb, jakby jaki znajdek od ludzi opuszczony, albo wcale gorzej, jak poganin. Ej Pietrze!... czyś ty aby pewny, że nie ma Boga w niebie? Czyby cię to bardzo gniewało, gdybyśmy na ten przykład, synkowi krzyż postawili na mogiłce? Żaden z twoich przyjaciół nie dowiedziałby się o tem, a mnieby tak miło było po sercu, widzieć krzyż nad grobem Kubusia... Przecie synaczek nasz ochrzcony, pamiętasz — zezwoliłeś wtedy i pojechaliśmy z chłopcem do kościoła, jak po katolicku przystoi... Pietrze, wszak widziałeś — nad każdą mogiłką są krzyże,

a nad Kubusiową nie ma być żadnego znaku Pańskiego? Czy on gorszy od innych?

Bandurek przerwał żonie z niecierpliwością:

— Eh! nie gadaj dłużej, Jagna! To wszystko są babskie wymysły, przesądy głupie i bezmyślne. Nie oto idzie, abym sobie głowę zaprzątał tem, co o mnie powiedzą towarzysze, kpię sobie z nich wszystkich razem do kupy. Ale ja sam wiem, co myśleć o tych księżowskich znakach i zabobonach i nie chcę krzyża postawić na grobie Kubusia! Gdyby był Pan Bóg, jak mówisz, byłaby też inna sprawiedliwość na ziemi. Kobieto! gadaj, czy On byłby pozwolił, aby nam urodził się syn kaleka? czy byłby pozwolił, abyśmy przez dziesięć lat patrzeli na to straszne jego choróbsko, na te męki biednego dziecka? Czy nie byłby się zlitował nad naszą żałością? Ot widzisz, to masz teraz prawdę, co myślę o twoim Panu Bogu, i to jest oczywista racya, że Go w niebie wcale niema.

Kobieta zamyśliła się nad słowami męża i odparła po chwili przyciszonym głosem:

— Mnie się jednak widzi, że ty nie masz słuszności. Tyleś mi już nagadał, Pietrze, o pięknych zasadach socyałów, — ten twój przyjaciel Berenz tyle razy przy mnie napadał na to, co dla mnie było świętem, nawymyślał o wielkiej przewrotności księży, iż mnie się nie raz i nie dwa w głowie mąciło... a potem żal nad dzieckiem do reszty mnie ogłupił i zbuntował... Ale gdy chodziłam na naukę katechizmu do Strzelcza, to

zupełnie inaczej myślałam, słysząc to, co nam prawił ksiądz proboszcz.

— Gdybyś go był znał, Pietrze, naszego proboszcza, nie miałbyś nienawiści do księży, jeno miłość. Zacny to był człowiek! — On mówił na ambonie, że jeśli życie nasze jest ciężkie i krwawe, to dla tego tylko, że jest przejściem do innego lepszego życia w niebie... że tam nie będzie już ani płaczu, ani biedy, ani choroby, tylko wieczna radość i szczęśliwość — ale trzeba na to niebo zasłużyć... A najlepszy sposób, aby się stać godnym wieczystej nagrody, to znosić pokornie i cicho cierpienia, przez Boga nasłane i ofiarować je Chrystusowi Panu, który za nas mękę poniósł na krzyżu... Ty wzdrygasz ramionami, Pietrze, a jednak ja w to wszystko wierzyłam za młodu i wiem pewnikiem, że z temi uczuciami było mi lepiej na świecie i wiele łatwiej przyszło znieść ból i nieszczęście... Oj, Pietrze, czy to nie byłoby szczęśliwiej dla nas, nosić w sercu tę pewność, że nasz Kubuś, ten biedny męczennik, który z taką cichością a słodyczą znosił chorobę, że on dziś jest szczęśliwy, między aniołków policzony? Że otrzymał nagrodę wiekuistą za mękę żywota, taką samą, jaką my kiedyś otrzymamy, jeśli będziemy godnie znosili obecną naszą ciężką żałość?... Niech tam twoi przyjaciele, co chcą gadają, żaden z nich nic piękniejszego, nic lepszego nie wymyśli, jak ta święta wiara w przyszłe życie i przyszłą nagrodę.

Uszli w milczeniu kawał drogi, a Jagna są-

dząc, że widzi wzruszenie na twarzy męża, poczęła mówić dalej.

— Cóżby się ze mną, biedną osieroconą matką stało, gdyby mi kto wydarł tę nadzieję? — Człowiek w ostatnim czasie dużo nagrzeszył, patrząc na męki Kubusiowe, bodaj żem też szemrała... Ale dziś, w czasie pogrzebu dziecka, coś mi się rozdarło przed oczami zapłakanemi — niby jakaś szara zasłona — coś mi się w sercu odezwało jękiem żalu — i nagle ta dawna wiara z całą siłą weszła do duszy... I przysięgłam sobie, że zacznę inne życie, bo mi tęskno za Panem Bogiem... I dla tego to wszystko powiadam ci, Pietrze, i jeszcze raz zaklinam, pytam, czy zechcesz iść ze mną ręka w rękę, żyć po chrześcijańsku?

Bandurek zmieszany i rozrzewniony słowami żony, spuszczał coraz niżej głowę... Ale już za nadto głęboko wpojone w nim były fałszywe zasady zbuntowanych przeciw Opatrzności braci, które przepełniły mu serce kłamstwem i pychą, to też odpowiedział głucho:

— Rób sobie co do tego wszystkiego, jak ci się widzi... ale mnie daj pokój, Jagna, bo ja inaczej jak ty myślę...

— Pietrze!... to z naszem szczęściem koniec. — A czy choć zechcesz to jedno dobre zrobić i postawić krzyż nad mogiłą Kubusiową?

Piotr zacisnął zęby i rzekł:

— Nie postawię!

IV.

Szli odtąd w milczeniu, każde z nich oddane własnym myślom, aż stanęli na progu mieszkania. Zmęczeni stąpali ciężko, idąc przez trzy piętra na czwarte, gdzie nikt nie wybiegł im na spotkanie. Pierwszy wszedł Piotr i potarłszy zapałkę, zapalił knot u lampki petryolejowej, która jasno oświeciła jadalnią.

Tutaj sypiał Kubuś, gdyż mieszkanie składało się z dwóch izb, a drugą zajmowali małżonkowie. W jednym z kątów jadalni stało próżne łóżeczko Kubusia. Kiedy ciało chłopczyka zdjęli z posłania, na którem tyle lat się męczył, Jagna jako porządna gospodyni, czyściutko posłała łóżeczko syna. — Kilka minut przed odejściem żałobnego orszaku, Piotr, chcąc podać krzesełko jednej z starszych sąsiadek, wziął leżące na niem krukwie syna i rzucił je od niechcenia na łóżko Kubusia.

Jak tylko zabłysło światło, wejrzenie obojga zrozpaczonych rodziców zwróciło się ku miejscu, gdzie wczoraj jeszcze spoczywał kaleka. Zdziwieni drgnęli, bo oto na białej kołdrze krukwie utworzyły wyraźnie ciemny krzyż...

— Pietrze! widzisz ten znak? — szepnęła matka. — To Kubuś sam dopomina się od nas krzyża...

I runąwszy na kolana, biedna kobieta głowę schowała w obie ręce i ze łzami poczęła się modlić tak gorąco, jak jeszcze od ślubu nie modliła się ani razu.

Bandurek stał przy niej z głową spuszczoną, i dwie duże łzy spływały mu aż na rude wąsy. Choć sobie powtarzał, że to babskie zabobony, że się tak przypadkiem złożyło, był nad wyraz wzruszony. On, ten liberał, niedowiarek, wróg wszelkich świętości, czuł że jakaś wyższa moc sprawiła to dziwne zdarzenie i zadrżał na widok znaku, który mu zmarły synek przysłał ku opamiętaniu...

Ale i tym razem jad złego zaszczepiony w nim zwalczył tę, jak sądził, niemęską słabość, otarł szybko łzy cisnące mu się pod powieki i rzekł do żony:

— Wstawaj Jagna i nie wierz w takie zabobony. Otośmy zostali sami we dwoje, nie możemy się martwić, jeno trza się zabrać do roboty, aby grosz zarobić na nagrobek dla Kubusia.

I widząc niemą rozpacz Jagny, dodał łagodniej:

— Obaczysz, Jagna, jak ładnie tam wyglądać będzie na cmentarzu!... Jeno już nie płacz kobieto, nie martw się... wszystko się jeszcze na dobre obróci...

Kobieta wstała cicho z klęczek i w milczeniu zaczęła się krzątać po izbie, ale smutek, jak ciężki kamień legł na jej piersi, łzami żalu wezbranej.

V.

Miesiąc minął od pogrzebu Kubusia. Piotr Bandurek próbował w pracy utopić marę zgryzoty i wspomnień, ale robota nie szła mu od ręki,

a przyjaciele starali się rozerwać go w inny sposób. Był między nimi jeden zwłaszcza, Jakób Berenz, który najwięcej odciągał go od zajęć i pchał na drogę polityki, niebezpiecznych stronnictw i najskrajniejszego socyalizmu.

Co to był za jeden i co robił właściwie w mieście X., nikt nie wiedział. Pół Polak i pół Niemiec, zmieniał swą narodowość wedle uznanej potrzeby — był najgłośniejszym krzykaczem z całej paczki „czerwonych", zamieszkujących tę dzielnicę miasta, gdzie się grupowali robotnicy, był najzapaleńszym wrogiem Kościoła i społecznego ustroju państw cywilizowanych.

Bandurek poznawszy go, zrazu unikał, jakby przeczuwając w nim człowieka niepewnego charakteru, ale Berenz miał taki mir wśród robotników, polskich i niemieckich, tak umiał ich łączyć w imię jednej myśli, t. j. wspólnej własności, tak potrafił się wkraść w domowe stosunki, w potrzeby każdego pojedyńczego członka „Związku wolnych braci", którego był założycielem, iż Bandurek, w gruncie rzeczy prawy i prosty, nie umiał oprzeć się jego wpływom i szedł na oślep tam, dokąd go Berenz chciał zaprowadzić.

Jednym z takich śmiałych kroków, podyktowanych mu przez Berenza, był ów pogrzeb cywilny, sprawiony dziecku, który nie u wszystkich rodaków socyalistów znalazł uznanie.

Franciszek Woda, starszy człowiek, znany w fabryce Amrotha, (w której i Bandurek pracował), ze swej rzetelności, tęgiej głowy i porządne-

go prowadzenia, stał na czele partyi odmiennej barwy, od tej, którą reprezentował Berenz. Woda nie chciał żadnej łączności z Niemcami, nie napadał na Kościół, uznawał Boga, a tylko w umiarkowany sposób występował przeciw prawu nienaruszalnej własności i pragnął zmiany w ustroju społeczeństwa świeckiego.

Uspakajał on zapaleńców, tłumił ich niebezpieczne wybuchy i byłby mógł niejednemu rodakowi dopomódz, gdyby nie wpływ Berenza. — Woda był cichy, spokojny, umiarkowany — Berenz głośny, zapalony intrygant. — Pierwszy chciał naprawy doli robotniczej, podniesienia ich poziomu moralnego i materyalnego, drugi pragnął wśród ogólnego przewrotu własnego wyniesienia i zysku, choćby kosztem krwi i łez bratnich.

Piotr Bandurek, zanim poznał skromniejszego Wodę, był już oddawna w szponach Berenza, a choć go ta przyjaźń nieraz krępowała, choć mu ciężyła, nie mógł się z jej sieci wydostać.

Po śmierci synka czas krótki, może ze dwa tygodnie, strapiony ojciec unikał Berenza. Czuł do niego jakąś urazę nieokreśloną... Ale mądry filut, nie chciał wypuścić raz złapanej ryby, tak umiał pocieszać nieszczęśliwego, tak go rozrywać, iż Piotr poszedł znów na lep miodowych słówek.

A cóż się działo z Jagną? Biedna matka nie mogła oswoić się z swem nieszczęściem, zwłaszcza gdy przypomniała sobie wszystkie szczegóły okropnej chwili, gdy ukochane jej dziecko

spuszczali do ziemi bez błogosławieństwa kapłana, bez święcenia mogiły.

Straszną była dla niej myśl rozstania się na zawsze z Kubusiem, ale straszniejszem jeszcze wspomnienie pogrzebu!... Jak ona, matka, Polka, katoliczka, mogła zezwolić na podobną rzecz! Jak mogła zgodzić się na wszystkie potworne zachcianki męża, podyktowane przez Berenza i dojść do tego, by aż zapomnieć o najpierwszych prawdach wiary św. i przykazaniach Bożych?

Czuła się podwójnie winną; boć przecież jej, wychowanej w zasadach katechizmu, uczciwej żonie i matce należało się oprzeć złym namowom, łzami, prośbą zmiękczyć serce męża. Czy próbowała zawczasu tej broni?

Piotr w gruncie rzeczy nie był złym człowiekiem, tylko dał się opętać złym wpływom, tylko był obałamucony przewrotnemi ideami Berenza. Ciągłe przebywanie z obcymi w oddaleniu od rodzinnej ziemi, od obyczai i zwyczai praojców, od katolickiego Kościoła i cmentarza, sprawiło, że mu to wszystko niegdyś drogie i święte zobojętniało, że nietylko zapomniał przykazań świętych, ale z nich drwił i szydził.

Gdyby jednak żona, gorąco wierząca, zaraz po ślubie była postawiła się inaczej, kto wie, czy dobrem słowem i przykładem nie byłaby zniewoliła męża do uczęszczania na Mszę św. i do spowiedzi?

Tymczasem jej zbytnia uległość, źle zrozumiane posłuszeństwo, do czego ich obojga dopro-

wadziły? Żona raz kiedyś tylko, w największe święta, szła do kościoła, ukradkiem spowiadała się raz do roku około Wielkanocy, bo strach piekła i resztka wiary pchały ją do tego, a mąż uciekał od miejsc świętych, odgrażał się księżom, szydził z przykazań kościelnych, zdarł obrazek Chrystusa z nad małżeńskiego łoża, wreszcie chłopca, ukochanego jedynaka, pochował jak poganina!

Tego już było zanadto, tego sumienie katoliczki i serce kochającej matki ścierpieć nie mogło...

VI.

Na dworze zimno i dżdżysto. Grudzień nie przyniósł śniegu, tylko słotę. Szaro, ponuro na świecie, bo żaden promyk słońca nie rozjaśnia natury, tylko z ołowianego nieba spływają potoki wody i zamieniają ziemię w jednę kałużę błota.

Piotr Bandurek wyszedł na zebranie „wolnych braci", gdzie mają omawiać różne palące sprawy. — Jagna siedzi cichutko przy kominku i smutnie rozmyśla.

Od dnia pogrzebu Kubusia często tak siaduje samotna z głową na dłoniach opartą. Smutno jej, strasznie ciężko na sercu. Gdzieś podział się spokój, gdzieś pierzchło szczęście!...

Jagna źle sypia, mało co w usta bierze i coraz bledsza i słabsza. Ciągle ma przed oczyma biedną, opuszczoną mogiłkę Kubusia. Położy się, słyszy w nocy niby bolesne jęki, płacz dziecinny:

„Matusiu! Matusiu! Czemuście mi to zrobili? Czemuś ty pozwoliła tak mnie pochować!... Matusiu! Matusiu! ty moja jedyna ukochana, postaw krzyż na mym grobie!“

Chce zagłuszyć to bolesne wołanie i zabrać się do roboty, nie ma siły; leży stos bielizny i czeka na pranie, ale ręce odmawiają posłuszeństwa; oczy wciąż zwracają się ku łóżeczku, gdzie spoczywał tyle lat synaczek najmilszy, i gdzie po jego śmierci ukazał się ten dziwny znak krzyża świętego!...

Aż ją mrowie przechodzi, gdy w tę stronę patrzy... a ciągle patrzeć musi...

Biedna kobieta nie jest w stanie nic robić, rozpacz, jak wąż owija się koło serca, nocą i we dnie dręczą ją wyrzuty sumienia.

VII.

Bandurek widząc zmizerowanie żony, sądził, że to żal za dzieckiem tak podkopał jej siły i zdrowie, a że ją ogromnie kochał, bo była łagodną jak baranek, uległą, pracowitą i wierną, więc wszystkiemi siłami starał się rozrywać ją i pokrzepiać.

Chętnie byłby prał za nią i gotował, byleby jej oszczędzić pracy i zmęczenia, ale najpierw tego nie potrafił, a powtóre taił się ze swą wielką miłością do żony przed kolegami, a zwłaszcza przed Berenzem, który i tak wyśmiewał jego zbytnie przywiązanie do domowego ogniska. A jednak właśnie to przywiązanie do Jagny było

jedyną zaporą, przed ostatecznym upadkiem Piotra, — bez niej byłby już dawno poszedł aż na samo dno przepaści grzechu! Ze względu na żonę, bronił się jak mógł przed pokusami rozpusty, która u Berenza i wielu innych, szła w parze z zapomnieniem katechizmu, z wyzuciem się z pod wszelkich praw moralności, z zaparciem się wszystkiego, co zacne, święte i polskie.

Bandurek tak nisko nie był jeszcze upadł. — Obecnie ciężko był strapiony złym stanem zdrowia Jagny; sam boleśnie dotknięty śmiercią dziecka, udawał przed nią wesołość, spraszał sąsiadki i kompanów, byleby jej myśli rozerwać, sprowadzić słodki uśmiech na jej pobladłe usta. Najchętniej jeszcze przestawała ona z Franciszkiem Wodą; interesowały ją poważne jego opowieści, podnosiły ducha szlachetne dążenia, ale Woda, choć samotny na świecie, nie lubił towarzystwa, rzadko zjawiał się w domu Bandurka, gdzie tak długo był mile widzianym gościem, dopóki Berenz podłem podmawianiem nie usposobił źle Piotra przeciw koledze.

Wśród wesołych towarzyszów męża żaden inny nie podobał się Jagnie, i gdy się ich kilku zebrało w małem mieszkaniu Bandurków, Jagna jeszcze w większą popadała melancholię. Wówczas duże jej szafirowe oczy, podkrążone silną obwódką, przypominały bolesnym wyrazem te, które patrzały z twarzy dziecka, na wieki pożegnanego!

Piotr odwracał wzrok zasmucony, niby się

uśmiechał z ciętych opowieści Berenza, częstował go, ale ukradkiem spoglądał na żonę i badał postępy choroby, której zwalczyć nie umiał.

Jagna zresztą nie skarzyła się na żadne cierpienia.

Raz jeden, w tydzień czy dwa po śmierci synka, wspomniała przed Piotrem o tem, co duszę trapiło... prosiła go ze łzami, aby się nad nią zlitował i postawił krzyż na mogiłce Kubusia... Ale on był wrócił właśnie z wesołej biby, którą jeden z „braci“ wyprawiał, gdzie wołano: „Precz z Rzymem i zabobonami“. W uszach brzęczały mu jeszcze szyderstwa kolegów, a w głowie szumiały zbyt liczne kufle piwa, — więc ofuknął się na żonę, wyśmiał babskie czułości, a potem jeszcze począł napadać na księży.

Jagna z przerażeniem słuchała mowy męża, będącego widocznie pod wpływem Berenza — i od tej chwili zacięła się w milczeniu. Piotr nieraz potem, lepiej usposobiony, chciał ją przejednać, głaskał, pieścił, pytał czegoby chciała, dla czego wciąż taka smutna i małomowna — ona odwracała tylko głowę, by ukryć łzy.

— Ach! żeby to było więcej dzieci, — wzdychał Bandurek, — Jagna uspokoiłaby się i zapomniała biednego Kubusia. Ale jedynaka mieliśmy i tego jednego kostucha zabrała. Co tu robić z kobietą!

Częściej wychodził teraz z domu, próbował zalać robaka, ale wódka nie była mu pocieszycielką ni przyjaciółką. Wstawał nazajutrz z cięż-

ką głową, niezdolny do pracy, a tu trzeba było podwójnie brać się do roboty, za siebie i za żonę. Kiedy wracał trochę podchmielony, a wzrok jego padł na ładną, choć tak mizerną twarz Jagny, chciał z nią żartować lub pieścić ją, ona z coraz wyraźniejszym wstrętem odsuwała się od niego. Dawna miłość, dawna zgoda i jedność uleciały!

Próżno Bandurek rozżalony marudził, albo wysilał się, by Jagnę sobie zjednać i o dawnem kochaniu wspominał, — coraz była dlań zimniejszą, coraz mu dalszą i coraz słabszą.

Franciszek Woda, któremu Piotr raz w przystępie szczerości zwierzył swoje domowe kłopoty i o dziwnej niemocy żony opowiadał, poradził mu, aby wziął na wychowanie sierotę.

— Tyle ich tłucze się po ulicy, — mówił do Piotra, — bez dachu, bez chleba, bez jutra, że aż żal patrzeć. Macie kobietę w domu, którą mankolia gryzie, dajcie jej dziecko na wychowanie. One już wszystkie takie, że im maleństwo do szczęścia i do życia potrzebne... jak powietrze lub woda. I będziecie mieli podwójną zasługę, raz, że przywrócicie zdrowie żonie, a powtóre, że uratujecie jaką polską duszę od zagłady i od zlutrzenia się.

Bandurek po krótkim namyśle odparł:

— Kto wie, może macie i słuszność. Trza będzie się tego środka chwycić. Jest dosyć chleba na dwóch, musi i na trzech starczyć.

I przyszedł do domu z dobrą miną, nie wąt-

piąc ani chwili, że Jagna z chęcią przyjmie jego projekt, że widok dziecka, chociaż nie swego, rozraduje serce tęskniącej matki, że się do niego powoli przywiąże i na nowo odżyje.

Ale gdy powtórzył żonie rozmowę z Wodą, ona ta łagodna i cicha kobieta ostro wystąpiła:

— Pietrze! ty chcesz wziąć dziecko na wychowanie! Ty!?...

— Ano tak poradził Franciszek Woda, przecie on jest ci przyjacielem. Zawsze mówiłaś, że to człek dobry i rozumny...

— I dziś nie powiem inaczej. On jest stateczny i prawy katolik, ale on nie wie, co się u nas dzieje...

— I cóż takiego się tu dzieje? Jagna, strach mnie bierze, że ci się w głowie pomyliło. Ja chcę dla ciebie zrobić jak najlepiej, mózg sobie suszę, żeby ci być miłym, a ty jeno masz same wymówki dla mnie.

— Bodajbym je była miała wcześniej. Byłam słabą żoną, i Bóg mnie ukarał... Dziękuję ci za dobre chęci, Pietrze, ale nie mogę brać dziecka na wychowanie do domu, gdzie nie ma Boga, gdzie się tak często słyszy bluźnierstwa i widzi złe przykłady... Nie, to nie dla mnie... Pewnikiem Bóg obrażony za to, że Go nie czcimy jak się należy, odebrałby nam znów tę pociechę...

I pomna na ostatnie chwile Kubusia, na smutne życie, jakie pędził na ziemi, rozpłakała się rzewnie.

A Bandurek wyszedł z izby i niby pogwiz-

dywał wesoło, ale go coś za piersi schwyciło i żalem serdecznym przepełniło duszę.

— Hej! — myślał — czy Jagna aby prawdy nie mówiła? Czy Bóg nie odebrał mu miłego, choć wątłego dziecka, ponieważ urągał Jego przykazaniom? Czy może, aby ukarać rodziców, odmówił im więcej dzieci?

Szedł ulicą w gorzkich myślach pogrążony, a wyrzuty sumienia obległy mu duszę... Trzeba jednak coś postanowić, coś zmienić, bo z Jagną może być źle... Wszyscy to już zauważyli, że jest kiepska jakaś i wciąż płacząca... Możeby jaki doktór pomógł!

Chciał wmówić w siebie, że doktór potrafi zażegnać „złe" i wyleczy Jagnę, ale coś mu szeptało, że na jej smutek i chorobę innego trzeba lekarstwa... Że tam nie samo ciało, ale serce i dusza były chore.

Nie spotkawszy tego wieczoru Berenza, wrócił wcześnie do siebie i przeraził się ujrzawszy uśpioną żonę. Ręce miała splecione na piersiach, twarz wynędzniałą i wychudzoną a z pod spuszczonych ciemnych rzęs spływały przez sen łzy.

Bandurek patrząc na ten obraz zniszczenia, rozrzewnił się.

— Co się z tej tęgiej, świeżej kobiety stało — myślał, wpatrując się w nią z żalem — trzeba jej doktora sprowadzić, niech powie co robić, jak ją ratować. Nie mogę dłużej patrzeć na to, jak mi w oczach więdnie i marnieje... Cóżbym bez niej robił na ziemi? Choć po prawdzie nasze ko-

chanie inne teraz jak dawniej, jednak mi ta kobieta milszą jak wszystko na świecie, tak mi jakoś wrosła w serce, że na żadną inną patrzeć bym nie mógł...

Zmęczony całodzienną pracą we fabryce, położył się szybko i zasnął twardo, ale gdy nad ranem się zbudził, gdy ujrzał bladą twarz Jagny, wczorajszy niepokój wrócił.

— Nie wstawaj, Jaguś, leż sobie, — mówił, widząc, że nie ma sił dźwignąć się z łóżka — sam sobie poradzę z kawą, a jak wyjdę do fabryki, to ci przyślę Kätchen, aby izbę uprzątła. Ty sobie wypoczywaj kobieto, bo przecie dobrze widzę, żebyś się dziś ani na nogach nie utrzymała.

Jagna z wdzięcznością spojrzała na męża i pomyślała:

— Szkoda człowieka, taki dobry jak miód i jak złoto uczciwy, a tak się od Pana Boga oddalił! Gdy mnie zabraknie na ziemi, może się do reszty zmarnować, a wszystkiemu winien Berenz.

I rzekła głośno do męża:

— Pietrze! jeśli masz choć trochę dawnego miłowania dla mnie, nie zadawaj ty się cięgiem z tym Berenzem.

Piotr spojrzał zdziwiony na żonę; oddawna nie wszczynała ona żadnej drażniącej go rozmowy i imię kolegi nie padło między nimi.

— Skąd ci Berenz znów przyszedł do głowy? Nie widział ja go sporo dni.

— To i najlepiej dla ciebie. Chcesz z kim rozsądnie pogadać, zabawić się, idź do Franciszka Wody, ten jest uczciwy człowiek i przyjaciel.

Piotr raz jeszcze spojrzał badawczo na żonę.

— Kobieto! a jeśli ty masz trochę dawnego miłowania dla mnie, nie wspominaj mi wciąż tego Franciszka Wodę, ja wiem, że to nie głupi człowiek, — ale nie chcę, abyś się z nim przyjaźniła.

Jagna westchnęła głęboko.

— Gdzie mnie się z nim przyjaźnić! Ledwie się z łóżka wydobyć mogę, na ulicy nie byłam przez cały ten miesiąc.

— A jednak on tu się czasem kręci, mówił mi Berenz. A wczoraj, gdy mi raił sierotę do domu, powiedział: Chętnie bym odwiedził waszą niewiastę, bardzo to do rzeczy kobieta i jak jaki kwiatuszek skromna a urodziwa.

Smutny uśmiech przemknął po twarzy Jagny:

— Tak on powiedział, — rzekła cicho, — aby tobie być miłym. A coś ty mu rzekł na to?

— Nic, jenom się skrzywił, i widział z mej gęby, żeby mi wcale nie były w nos jego odwiedziny. On nie jest „nasz", choć do „związku" niby należy, wszyscy wiedzą, że się chce z niego wypisać i że całkiem inaczej od nas myśli.

Jagna znów westchnęła smutnie i chciała wstawać, ale zaledwie nogi postawiła na ziemię, zachwiała się i upadła.

Piotr przyskoczył, podniósł żonę, przyczem zadziwił się czując, że była lekką jak piórko.

Ona szepnęła cicho:

— Tchu mi brak Pietrze, i tak się dziwnie kołowroci w głowie — już nie wiem sobie rady.

— A powiedziałem: leż Jagna i wypoczywaj, po co ci było wstawać. Teraz czas mi lecieć do fabryki, ale w południe sprowadzę ci doktora, tego, który wyleczył Amrotową.

— Nie, Pietrze! nie sprowadzaj, to nic nie pomoże.

— Obaczymy. Jeno się nie alteruj Jaguś — jeno sobie leż cicho... Musi być doktór — musi... ja tak chcę...

I z temi słowami wyszedł na ulicę.

Całe rano pracował w ponurem milczeniu, lękiem przejęty o żonę, — w południe wybiegł z fabryki, nie wziąwszy nic do ust i popędził na Kaiser Wilhelmstr., gdzie podano mu adres doktora.

Na szyldzie jednej z kamienic tej ożywionej ulicy stało wyryte: Dr. Wachtel — przyjmuje od 9—12 przed południem i od 3—6 po południu.

Bandurek jeszcze nigdy doktora nie potrzebował, żona młoda i dotąd zdrowa, obyła się także bez pomocy lekarskiej, chłopca leczył kolega, trochę mądry, trochę aptekarz, więc było mu całkiem obco i nie swojo, gdy wszedł do poczekalni, dokąd go odźwierna, fertyczna Niemeczka, zaprowadziła.

W poczekalni było parę osób: stary, kaszlący jegomość z miną wojskowego, waspani z podwiązaną twarzą, jakieś dziecko, dalej dwie

młode, chichocące się panny i dyakoniska z choremi oczami. Piotrowi dano bilet z numerem 7, więc czekać musiał, aż owe sześć osób po kolei wchodziły i wychodziły z sąsiedniego pokoju, w którym gdy się drzwi dyskretnie otwierały, ukazywał się na chwilę doktór Wachtel, siwy, mały jegomość z okularami na oczach, z brzuchem obwisłym i opasłym, z rumianą, czerstwą twarzą.

Zanim na Piotra przyszła kolej, zaroiło się jeszcze w poczekalni od nowych przybyszów. Mówiono przeważnie po niemiecku. Bandurek posłyszał jak dwie kumoszki opowiadały sobie o wielkiem powodzeniu doktora Wachtla, jaki z niego litościwy człowiek, jaki sławny lekarz. Jednej z nich pomógł na ciśnienia na dołku, które się zawsze po kapuście odzywały, z drugiej wypędził wszelkie strzykania w krzyżach i nogach, zjawiające się ile razy deszcz miał padać.

— Ho! ho! znakomity to człowiek — mówiła starsza — wie pani, on naszej Gretchen tak skuteczne przepisał lekarstwo, że ją od razu postawił na nogi. Nie ma już mowy o suchotach.

— Co pani mówi, Gretchen zdrowa? To cud chyba, cud!

— Ano, nie inaczej, tylko cud. Mąż jest w siódmem niebie, bo musi pani wiedzieć, że się spodziewają tego... ten...

— O! o! — dziwiła się kumoszka, — to dopiero radość!

Piotr słuchał tych zwierzeń z rosnącą otuchą i nadzieją. Wszedł tu zgnębiony i nieufny, wbrew

własnemu przekonaniu i tylko z obowiązku, a oto teraz podsłyszane wieści, napełniły mu serce błogiem uczuciem.

— Kiedy on taki mądry i znający się, to i jego biedną ukochaną Jagnę z mankolii potrafi wyleczyć... Nie będę skąpił grosza, choćbym się miał zadłużyć, na wszystko się zgodzę, co doktór przepisze, byle mi dawną, słodką i miłą Jagnę powrócił.

Pełen animuszu i otuchy, wszedł do gabinetu doktora i zaraz przedstawił mu swą prośbę, przyczem zaczął się rozwodzić, jako Jagna od pięciu miesięcy, to jest od śmierci dziecka mu choruje, jako nic nie je ani pije, jako dawniej była pogodna, do pracy zdatna i wcale spaśna, a teraz wychudła, ciągiem płacze i dwa razy tak zemdlała, iż jej wcale nie mógł docucić.

Chciał dalej opowiadać, ale doktór, który się badawczo przypatrywał robotnikowi, przerwał mu:

— Gdzie mieszkacie?

— Mauergasse nr. 63 — odpowiedział Piotr.

Doktór się nieznacznie skrzywił, ale zapisał ulicę i numer, obiecał, że jeżeli będzie mógł, dziś jeszcze około 7-mej stawi się u chorej, i dziękującemu Bandurkowi drzwi wskazał.

Piotr nie bardzo był rad z tak krótkiej wizyty, bo się chciał jeszcze rozgadać o Jagnie, o Kubusiu, o ich nieszczęściu z powodu straty tego dziecka, a przytem chciał dać poznać doktorowi, że ma dosyć, by mu zapłacić za fatygę, ale

stanowcza mina lekarza, ruch pokazujący drzwi, tak mu się groźnym zdawał, iż bez jednego słowa wyszedł.

Na ulicy spotkał Jakóba Berenza.

— Hola! Peter, — zawołał tenże, — skąd to wracasz bratku, tak fajniście odziany, jakby to dziś był „blauer Montag".

— Eh! — odparł niebardzo ucieszony z spotkania Bandurek, — Agnieszka tak mi choruje od jakiegoś czasu, iżem musiał iść po radę do doktora.

— Do doktora! Czemu nie przyszedłeś do mnie? Tyle się znam na medycynie, co oni, te wydrwigrosze, pasibrzuchy. U którego byłeś?

— U Wachtla, mówią, że tęgi człowiek i znający się.

— Ba! co oni się znają — tyle, co ja. Wachtel! Hm... słyszał ja o nim. Mądry ptaszek — a bogaty. Masz ty aby pieniądze, Peter, bo on z ciebie ostatni grosz będzie chciał wydusić. Oni wszyscy tacy!

— Dam co zażąda, byle mi żonę wyleczył. Agnieszka coraz gorzej się ma — coraz gorzej.

Tu głos mówiącego zadrżał i załamał się.

Berenz rozśmiał się na całe gardło.

— Peter, ty jesteś kiej dzieciuch i nigdy całym człowiekiem nie będziesz... O małoś nie beknął na cmentarzu, chowając chłopaka, chrupka do niczego, któremu pod ziemią lepiej jak na ziemi, a teraz znów niepotrzebnie beczysz nad żoną.

Piotr odpowiedział:

— A bo jest coraz kiepściejsza i słabsza. Ty

się nie masz z czego śmiać, Jakóbie, — ty nie masz żony, nie wiesz, jak to przy sercu trzyma, taka swoja kobieta.

— Eh! bo to ona jedna na świecie. Wolałbym dyńdać na haku, jak tak żyć — cięgiem patrzeć na jednę i tę samą kwiękającą babę. Pójdź, Pietrze, wypijemy sobie po kufelku bawara i pogadamy.

— Nie mam dziś czasu, ani serca.

— Pietrze! ty okrutnie zbabiałeś. Niedługo patrzeć a zrobisz się taki świętoszek, jak nieprzymierzając Franciszek Woda.

— Daj ty jemu pokój, niezły to człowiek.

— Ha, nie zły, bo nie gryzie. I ty to mówisz? Mnie on wcale się nie podoba. Niby od kompanii stroni a na kobiety zęby szczerzy. Widzi mi się, że i na twoją.

Piotrowi krew uderzyła do głowy, ale na pozór odparł spokojnie:

— Moja jest uczciwą kobietą i wiary mi dotrzyma.

— Tem lepiej. Ja się o moją cacaną Luizę też nie boję. Musisz ją zobaczyć. Fiu! co za pannica z niej — djabeł w spódnicy! — A jak mi się sprzykrzy, puszczam ją w trąbę. Przecież jestem wolny człowiek. No, Peterchen, idziesz ze mną? Pójdź chłopaku, mamy jeszcze 20 minut czasu.

Ale Piotr oparł się namowom przyjaciela. Nie pierwszy to raz w życiu poczuł wstręt i niesmak do dowcipów i drwinek Berenza, do

jego sprosnych przechwałek, lecz ten umiał się tak przyczepić do niego, tak go opętać i wyprowadzić w pole, iż Bandurek zwykle ani nie spostrzegł, jak siedział z Berenzem za stołem i jak na odchodnem płacił za niego mnogą ilość kufli piwa.

Dziś jednak Piotr zbył krótko towarzysza. Wrócił do fabryki, gdzie pracował zawzięcie do wieczora, a potem pospieszył do domu, nie zatrzymując się nigdzie. Jagnę zastał w łóżku. Smutne jej oczy podniosły się z zdziwieniem, gdy jej zapowiedział wizytę doktora.

— Dziękuję ci, Pietrze, szepnęła miękko, z dawną czułością w głosie, ale już ci powiedziałam: to mi nie pomoże. Ja pewnie odejdę tam, gdzie nasz Kubuś odszedł. Straszniem słaba... Ty jesteś jeszcze młody, znajdziesz inną, będzie ci raźniej.

Piotr z niepokojem spojrzał na żonę, lecz by jej dodać otuchy, rzekł:

— Jagna nie gadaj ty do mnie takich rzeczy... Przecie się jeszcze podnieść możesz. Innych chorych ja widział w życiu, którzy zasię potem do sił i zdrowia całkiem wracali. I tobie, żono, doktór pomoże.

— Nie, żaden doktór pomódz nie może na to, co się we mnie dzieje. Pietrze, żali ty nie możesz zrozumieć, że ja nie choruję z żalu nad stratą dziecka, choć Bóg widzi, jakem go miłowała, jeno mnie wyrzuty sumienia odbierają spanie i życie!

— Wyrzuty sumienia? Kobieto, co ty gadasz?

Zbliżył się do niej i spojrzał jej w oczy.

— Cóżeś ty takiego zrobiła? Ani nie okradłaś nikogo, ani nie zabiłaś. Mów, wszak byłaś mi zawsze wierną żoną?...

Jagna skinęła przytakująco głową.

— Więc co za wyrzuty? Gadaj, bo nic nie rozumiem.

— A to te, żeśmy nie żyli, jak po katolicku przystoi, że ci w tem pobłażałam, iż nie chodziłeś do kościoła ni na Mszę św. ni do spowiedzi, że pozwoliłam dziecko pochować jak poganina jakiego, że jego biedna duszyczka przychodzi noc w noc do mnie i woła i jęczy: „Matusiu, Matusiu, czemuście mi to zrobili?“

Piotr patrzał z przerażeniem na żonę. Na bladej jej twarzy dwa ogniste rumieńce wykwitły. Uniosła się z posłania.

— Pietrze, — mówiła, — choćbyś sto doktorów mi tu sprowadził, ja nie będę zdrową, póki ty mi tego ciężaru z duszy nie zdejmiesz i nie każesz poświęcić mogiły Kubusia... Teraz wiesz wszystko dokumentnie... teraz mi trochę lżej.

Piotr siedział zamyślony, jak do miejsca przybity. Słowa żony spadały mu na duszę i przygniatały niby kamienie. Czuł, że zbłądził, czuł, że był winien, i jakieś ogromne rozrzewnienie pierś mu szarpało. Nie miał siły jednak, by głośno przyznać się do winy. Coś, jak słabe światło wciskało mu się do duszy, ale to były biedziutkie promyki wiary, które szybko ustępo-

wały przed grubą pomroką błędu, w jakiej żył od tak dawna.

Bał się sprzeciwiać żonie, widząc ją tak zbiedzoną, gorączką trawioną, a nie chciał schylić głowy przed tym wielkim Królem świata, któremu przywykł bluźnić i urągać.

Siedział więc nieruchomy, z głową zwieszoną, gryziony rozterką uczuć, która mu piersi rozsadzała.

Jagna cichutko położyła się napowrót, a usta jej poruszały się modlitwą: „Boże! daj, niech on się nawróci. Boże! nie karz mnie nad siły, daj mi spokój serca, albo zabierz z tego świata do siebie".

Pod wieczór, pod kamienicę zamieszkałą przez Bandurków, zajechał powóz, a wkrótce potem szybkie, energiczne kroki dały się słyszeć na schodach i nagle jak bomba wpadł doktór. Sapał, oddychał ciężko, nie mogąc tchu dostać, przebiegłszy cztery piętra, aż wreszcie obejrzawszy sobie izbę, mruknął: Bandurek tutaj?

— Tak, to tu, panie doktorze, mieszkamy z żoną i wskazując na łóżko — tutaj leży Agnieszka.

Doktór szybko rzucił palto i przystąpił do chorej.

— Dawajcie światła, ja tu przecie nic nie widzę.

Piotr zapalił lampę i przystanął koło łóżka żony.

— Proszę się usunąć — rzekł do męża doktór,

zawsze tym samym ostrym tonem — i wziąwszy rękę drżącej ze strachu Jagny, począł puls badać. Chwilę słuchał, wyjąwszy zegarek z zanadrza i patrząc na wskazówki, potem grubym palcem spuścił dolną wargę Jagny i równie szybko zabrał się do powiek.

— „Schrecklich!“ — mruknął pod nosem i zwróciwszy się z troskliwością do chorej. — Ile lat macie? zapytał.

— Dwadzieścia dziewięć — odrzekła cichutko.

— I co was boli? co wam dolega? mówcie szczerze i otwarcie.

— Wszystko po trochu, panie, głowa, piersi, pod sercem i bardzom słaba.

Doktór pochylił się nad nią i dużą swą łysą głowę położył na jej piersiach — słuchał, słuchał, podnosił się i znów na nowo głowę przykładał.

Kobieta ledwie pod tym ciężarem oddychać mogła, wszystkie pulsa w niej grały, serce biło młotem.

Doktór zerwał się szybko, machnął gniewnie ręką.

— Papieru i pióro, macie? — spytał Piotra — i począł chodzić jak wartałka po ciasnym pokoiku, trącając poustawiane mebelki.

Bandurek przyniósł piękny, acz trochę podejrzanej czystości arkusz papieru, kałamarz i piórko, którem pisał jeszcze Kubuś. Doktór przedarł na dwie części papier i siadłszy na krześle, które się

pod nim załamywać zdawało, począł coś szybko zapisywać.

Potem wstał i wyjmując z kieszeni palta flaszeczkę z ciemnym płynem, rzekł do Jagny łagodnym głosem:

— Tu jest lekarstwo. Macie to zażywać trzy razy dziennie po 30 kropli, najlepiej we winie. Nie macie wina? co?

Jagna potrzęsła przecząco głową.

— Będziecie je mieli. Gdy się to, co tu jest we flaszeczce skończy, proszę raz jeszcze powtórzyć. Na to daję receptę. Verstanden?

Chora odparła: — rozumiem, panie doktorze. — A on jął się zabierać do odejścia.

Bandurek nie spuszczał go z oczu, chcąc wyczytać w wzroku lekarza wyrok życia lub śmierci żony — ale z okrągłej i nasrożonej miny lekarza niczego się nie mógł dowiedzieć.

Więc odprowadziwszy go za próg, spytał nieśmiało:

— Czy ona bardzo chora, panie doktorze?

— „Schrecklich" — powtórzył z naciskiem — jak mogliście ją tak zaniedbać — teraz może być za późno!

— Za późno!... — jęknął Bandurek.

A doktór widząc przerażenie Piotra, położył mu rękę na ramieniu.

— No, jeszcze się może poprawić... tylko spokój, spokój, nie drażnić jej... nie męczyć...

I począł schodzić. Piotr przytrzymał go za

poły paletota, równocześnie sięgając do kieszeni, aby wydobyć sakiewkę.

— Co jestem winien panu doktorowi? — zapytał — ale mały, gruby jegomość, wyszarpnął mu się, mruknął coś gniewnie pod nosem, machnął ręką i prędko puścił się na dół po krętych schodach.

Piotr stał chwilę onieśmielony, zdumiony, nie wiedząc co począć? Turkot odjeżdżającego powozu zbudził go z zadumy. Wrócił do żony, by jej opowiedzieć to dziwne zdarzenie, a w uszach zadźwięczały mu słowa Berenza:

— Wachtel! — to nie nasz człowiek, jeno zawzięty nieprzyjaciel... Oni wszyscy tacy, wydrwigrosze, pasibrzuchy, nicponie.

A oto jeden z tych okrzyczanych gałganów, choć mu nie brat, ani rodak, ledwie przed dwiema godzinami zawezwany, przyjechał ze swego bogatego mieszkania w tę brudną Murną ulicę, do ich biednej izdebki — żonę troskliwie opukał, zbadał, dał lekarstwo, wino obiecał i za to wszystko nic nie żądał.

Może nie pierwszy raz w życiu spotkał się Bandurek z równą bezinteresownością, ale nigdy serce jego, złem osaczone, nie odczuło tego, co się teraz w niem działo. Jakiś żal okropny, wstyd tych wyzwisk i tej nienawiści, którą żywił do ludzi możniejszych lepiej postawionych od niego. Czy oni rzeczywiście byli godni potępienia? Czy między nimi nie było szlachetnych

— ot tak, jak ten doktór, Niemiec, szorstki na pozór, a w gruncie rzeczy litościwy?

Zwrócił się do Jagny i siadłszy koło niej na łóżku, wszczął z nią rozmowę:

— Jaguś, wiesz ty co, że on nic nie chciał przyjąć za te odwiedziny? Dziwny człowiek! Mówiono mi, że to twardy bogacz. Berenz straszył, że ze mnie skórę zedrze, a on ani grosza nie wziął. Chyba, że później porachunku zażąda. Co myślisz kobieto?

— Mnie się widzi, że nie zażąda. Prędki jakiś i szorstki, ale z oczu mu patrzy, tak samo jak pani dyrektorowej. Choć Niemka, ludzkie musi mieć serce.

— A gdzieżeś ty Amrotową widziała, Jaguś?

— W kościele. Klęczała niedaleko ołtarza, a łzy to jej z oczu jak groch spadały.

— Ciekawym, czego też płakać mogła? Taka pani, co na puchu leży i wszystkiego ma pod dostatkiem.

— Co my tam wiedzieć możemy, jakie oni mają kłopoty! Sam grosz też szczęścia nie daje. Niejeden bogacz zamienił by się na dolę biedniejszego.

Piotr zaśmiał się szyderczo.

— Bogać tam zamienił!... Spytaj się Amrotha, czyby chciał zostać robotnikiem, w dusznej fabryce, harować tyle godzin co ja nieprzymierzając!... On do fabryki często zachodzi, ale z nikim nie rozmawia, na wszystkich z góry patrzy, musi być dumny i mówią, że chciwy.

Ludzie go też nienawidzą — jeszcze się czego doczeka, jeszcze mu pięść pokażą.

Jagna spojrzała trwożliwie na męża.

— Pietrze! jeno ty mi zaprzysiąż, że do jego krzywdy ręki nie przyłożysz. Dawno ja słyszę, jak Berenz was podżega i do buntu namawia... Niech cię ręka Boska broni, Pietrze, abyś miał się z nimi połączyć. Niech ja już tego wstydu, tego nieszczęścia, tej hańby nie dożyję...

Oczy jej zapłonęły i patrzała na męża trwożliwie i błagalnie, więc ją począł uspakajać:

— Co tobie po głowie się roi, Jagna! Przeciem nie żaden awanturnik, ani rozbójnik, ni anarchista, bym miał ręce przykładać do jakiego strasznego czynu. Wiem ci, że na świecie sprawiedliwości nie ma, chciałbym zmiany, nieraz przeklinam w duchu tych, co nas gnębią i krzywdzą, co naszym krwawym potem dorabiają się grosza, alem przecie nie żaden zabijak.

Ona odparła spokojniej:

— Pietrze, tyś ani zabijak, ani prawdziwy niedowiarek, ani anarchista, aleś miękki i słaby i łatwowierny, więc byle kto do złego cię namówi. Trudno się nie zarazić, gdy się żyje wśród zapowietrzonych, — trudno się nie zlutrzyć wśród innowierców. A ty lgniesz do nich i złymi ludźmi się otaczasz.

Piotr już nic nie odpowiedział, ze względu na żonę, a może i dla tego, że czuł, jak wielka słuszność leżała w jej sądzie. Od pewnego czasu, coraz mniej był pewien zasad i przekonań naby-

tych na obczyźnie, coraz częściej spostrzegał, na jak kruchych podwalinach były zbudowane. Chwytał się ich jeszcze oburącz, chciał wiernie stać przy obranym sztandarze, lecz zwątpienie obległo duszę, ażali sprawa, do której się zapalił, była godną i sprawiedliwą.

Prosta jego, kmieca, polska natura gwałtownie dopominała się o swe prawa. Bywał jeszcze na zebraniach „wolnych braci", powtarzał ich hasła, ale ustami tylko, nie sercem. Wszakże sił nie miał, by zerwać z nimi zupełnie.

VIII.

Grudzień dawał się we znaki tej zimy. Po długotrwałych słotach spadł śnieg obfity, zaczem mróz go uchwycił i ziemię spowił w biały całun. Uścieliła się miękka, puszysta droga i sanki aż dudniały po mieście X., od rana do wieczora.

Jagna Bandurkowa czuła się lepiej od dwóch niedziel.

Czy maleńka, lecz widoczna zmiana ku lepszemu, która zaszła w Piotrze, napełniła ją błogą nadzieją, czy krople doktora Wachtla i nadesłane wino dodały sił, nie wiadomo, dość że się czuła raźniejszą i powoli do pracy zabierała. Piotr dotąd ani nie obiecał kazać poświęcić mogiły Kubusia, ani z przyjaciółmi nie zerwał, przecież była w jego zachowaniu jakaś różnica, która w Jagnie chęć do życia zbudziła.

Przytem rwała ją tęsknota zobaczyć, popłakać na grobie synka. Póki była tak słabą, iż

przez pokój przejść nie mogła, trudno było marzyć o odwiedzeniu cmentarza, ale odkąd się czuła mocniejszą, dzień i noc myślała o tem, aby się jak najprędzej dostać tam, gdzie spoczywa ukochane dziecię.

Dzień był mroźny. Raz po raz słońce ukazywało ziemi blade oblicze, a potem chmury napływały, i ni ztąd ni z owąd białe płatki śniegu fruwały w powietrzu.

Jagna, zrobiwszy porządki w izbie po odejściu Piotra, który w godzinie południowej zwykł był wracać do domu, owinęła chustką głowę i wybiegła na miasto. Szła szybko w te odległe i zaciszne zaułki miejskie, których od pogrzebu Kubusia ani razu nie widziała, gdzie nędza i zaniedbanie walczyły o lepsze z brudem, z ciemnotą i moralnym upadkiem.

Spotykała twarze wyniszczone cierpieniem, albo butne i wyzywające, albo płonące niebezpiecznym ogniem — lecz nie zwracała na nie uwagi. Wszystko było tu dla niej obce i obojętne, jedna myśl pchała ją naprzód: stanąć jak najprędzej u grobu synaczka.

Nie obliczyła sił swoich, ani znała odległości ulic. Zdawało jej się, że to niedaleko, a tymczasem słońce już się spuszczało na niebios skłonie, gdy stanęła u wrót cmentarza.

Był otwarty. Kilka osób błąkało się po nim, szukając swoich mogił. Jagna na pół żywa ze zmęczenia, poczęła się rozglądać, w której stronie pochowano jej Kubusia.

Łzy cisnęły się do jej oczu, serce biło silnie, kurcz bólu za pierś chwytał. Nie mogła znaleść. Śnieg zasypał świeże groby, kilka maleńkich białych wzniesień, zwróciło jej uwagę, ale gdzie tu poznać, która była Kubusiowa mogiła?

Więc dziki żal nią ogarnął; bezsilna padła na ziemię i strasznie szlochać poczęła:

— O mój biedny, ukochany synaczku, — myślała, — gdzieżeś ty? Takiś był miły, serdeczny, dla ojców swych zawsze jak anioł dobry, a oto, co ci się w zamian dostało? Ani kamienia, ani krzyżyka na mogiłce! O mój jedyny, najmilejszy, nie miej ty do mnie żalu! Widzisz moją srogą boleść! Oczy wypłakuję nad twą stratą, duszą lecę za tobą i wołam i pytam: Gdzieżeś to, mój Kubusiu? Gdzież spoczywa wątłe ciałko twoje, którego już nigdy do ust nie przycisnę? Niechbym choć na mogiłce twojej zmęczoną głowę złożyła, niechbym ją krwawemi łzami zrosiła, wypłakała na niej swój ból i mękę... O mój synaczku, mój Kubusiu!

Wziął ją płacz i wstrząsał całą osobą. Wszystkie żale zgromadzone w duszy od śmierci dziecka, cała tęsknota macierzyńskiego serca, ból rozstania na zawsze i dręczące ją wyrzuty sumienia, tutaj wśród otaczających ją grobów, krzyżów, pomników, wybuchły całą siłą. Nerwy, które ją w ostatnim czasie tak podtrzymywały, wypowiedziały jej służbę... Zmęczona, bólem zdruzgotana, nie miała sił, by podnieść się z ziemi.

A na dworze już szarzeć poczynało, śnieg

gęstemi płatkami układał białe warstwy, i w tej krainie śmierci, coraz było zimniej, coraz smutniej.

Ostatnie osoby wyszły z cmentarza. Jagna wstać nie mogła. Ogarnął ją lęk straszny, że umrze tu samotna, opuszczona, daleko od swoich — ach! jak daleko! Zimno przeszywało ją do śpiku kości, dreszcze przebiegały po ciele, febra trzęsła gwałtownie.

Zebrała resztkę sił i usiadłszy, wołać poczęła. Głos jej ginął w martwej ciszy cmentarnej: „O Jezu! Jezu! Ludzie ratujcie... O Matko Najświętsza! Pietrze! Pietrze!

Dwie osoby, wychodzące właśnie z cmentarza, posłyszały pewnie jej jęki, bo na chwilę stanęły. Był to grabarz i młody ksiądz, który widocznie jak Jagna przyszedł tu szukać śladów kogoś drogiego, bo idąc mówił po niemiecku do towarzysza:

— Nie znalazłem. Brat mój umarł tu lat temu dziewięć, myślałem, że grób jego odszukam, lecz napróżno! Czy dużo tu Polaków spoczywa?

— O cała masa! W mieście naszem jest ich wielu głównie z mieszczańskiego stanu i robotników.

— Ktoś tu płacze i woła! Słyszycie?

— Słyszę, dobrodzieju! Mój Boże! przyzwyczajony jestem do jęków wszelkiego rodzaju, co dzień tu płaczą i rozdzierają się...

Jagna głośniej jeszcze załkała.

— To w tamtej stronie zdaje się, pójdziemy pocieszyć tę nieszczęśliwą, — rzekł ksiądz.

I z gorącem współczuciem zbliżył się i pochylił nad Jagną.

— O Jezu! — jęknęła. — Panie ratujcie!

— To wy Polka! Co wam jest biedna kobieto? Czegóż tak płaczecie?

Jagna posłyszawszy polską mowę, ujrzawszy księdza-rodaka, myślała, że śni i marzy. Przetarła oczy i patrzała z zachwytem na miłą twarz kapłana, pochylonego nad nią.

— Wstańcie kobieto, — rzekł po niemiecku grabarz, — już się późno robi, mróz bierze, możecie tu żywcem zmarznąć!

— O Matko Najświętsza! kiedy nie mogę, takam słaba, tchu mi braknie. Dobrodzieju! nie pozwólcie mi tu zginąć.

I ręką uchwyciła sutannę księdza.

On spojrzał na nią litościwie:

— Nie bójcie się kobieto, nie opuszczę was tu, nie zostawię samej, jam rodak wasz.

I począł podnosić Jagnę. Ale ona słała się na nogach, mimo pomocy księdza i grabarza ani kroku ujść nie mogła.

Ksiądz rzekł do swego towarzysza:

— Czy daleko stąd do waszego mieszkania? Możebyście jej przynieśli coś na wzmocnienie, wina, likieru?

— Mam wódkę — mruknął trochę niechętnie grabarz. — Potrzebne jej to było leźć na groby w takie zimnisko.

Jagnie łzy z oczu się polały:

— Chciałam mogiłkę syna, mego Kubusia odwiedzić, — odpowiedziała szeptem. — Nie znalazłam... bez krzyża...

Ksiądz znów się zwrócił do grabarza:

— Idźcie, przyjacielu, przynieście kieliszek wódki. Zostanę przy niej tymczasem, a wy przywołajcie kogo do pomocy.

A gdy grabarz odszedł, rzekł do Jagny:

— Uspokójcie się mateczko, usiądźcie. Daleko stąd mieszkacie? Coście wy za jedni?

— Jestem Jagna Bandurkowa — szepnęła zapytana, — mąż pracuje w fabryce Amrotha... daleko, na Murnej mieszkamy.

— To i nie możecie zajść taki kawał pieszo?...

— Nie mogę, — skinęła głową Jagna, — o Jezu!

I nagle przewróciła się zemdlona.

Ksiądz z zakłopotaniem obejrzał się w koło cmentarza. Zmierzchać już dobrze poczęło. Z pod za białego całunu śniegu wychylały się, gdzie okiem spojrzeć, płyty kamienne, groby, krzyże. Napisy na nich były po większej części niemieckie, ale tu i owdzie na skromnych czarnych krzyżach widniały polskie litery. Serce kapłana bólem się ścisnęło. Ileż tu braci spoczywało zdala od swoich, zdala od matki-ojczyzny!

Grudka polskiej ziemi nie padła na wieko ich trumny, słowa polskiej modlitwy nie towarzyszyły ich ostatniej ziemskiej wędrówce! — Poszli w świat daleki i wrogi, za chlebem, z tą myślą, że powrócą kiedyś do miłej ojczyzny, a oto śmierć

nieubłagana zaniosła ich na ten obcy cmentarz! — Biedny brat mój — i on tu samotny leży!

Zadumę polskiego kapłana przerwały szybkie kroki powracającego grabarza, za nim szła żona i jeszcze jakiś człowiek. Dali się napić przemocą wódki Jagnie, wciąż leżącej bez władzy, poczem wstać pomogli i wynieśli z cmentarza.

Grabarz mówił do księdza:

— Co drugi, trzeci dzień się to zdarza — a najgorzej z Polakami — płaczą, lamentują bez końca. Nie wiem, gdzie tę kobietę kazać zawieść.

— Mówiła, że się Bandurkowa nazywa, i że mieszka, zdaje mi się, na Murnej.

— Ach, to żona Bandurka? Znam go. Socyalista, niedowiarek — przewrócona głowa. Kiedyś tu grzebali synka, po cywilnemu naturalnie. Miał obstalować kamień na grób, ale nigdy nie wrócił. To już teraz wiem, z kim mam do czynienia, i gdzie ją odesłać.

— Pojadę za nią — rzekł ksiądz po krótkim namyśle — może potrzebować pomocy duchownej, zdaje mi się bardzo słaba.

— Eh! niech ksiądz dobrodziej tam nie jedzie — to gniazdo najzapaleńszych waszych przeciwników, czerwonych radykałów. Gotowi ci krzywdę jaką wyrządzić.

— Nie lękam się ich. Zresztą to mój obowiązek ratować dusze, choćby przyszło się narazić na najgorszą przykrość. Dziękuję wam za od-

daną przysługę jednej z moich rodaczek — proszę to przyjąć.

I wcisnął grabarzowi w rękę jakąś monetę.

W godzinę potem, gdy Piotr Bandurek po całodziennej pracy w fabryce wrócił do siebie, nie mógł wyjść z podziwu, ujrzawszy u wezgłowia żony młodego kapłana. — W pierwszej chwili, na widok księdza zadrżał z gniewu — chciał przywitać wroga obelgami, wyprosić z domu, ale smutne wejrzenie Jagny i jakaś wielka dostojność bijąca od całej postaci duchownego zamknęły mu usta.

Ksiądz, jak topól smukły i cienki, o twarzy przezroczystej, ujrzawszy Bandurka, wstał i wyciągając doń ręce po ojcowsku, rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Witam was, przyjacielu. Jestem wasz rodak, — z ojczystych stron przybywam...

Piotr nierozchmurzony, nie pojmował co się stało. Skąd się ten ksiądz tu znalazł? Dla czego Jagna, którą dość zdrową opuścił, leży.

— Czego Jegomości potrzeba?

Kapłan uśmiechnął się życzliwie:

— Mnie niczego nie potrzeba, ale oto traf zdarzył, żem żonę waszą bardzo słabą spotkał na cmentarzu i odwiozłem ją do domu. Wiem, jakie was nieszczęście spotkało i całem sercem współczuję z wami.

Piotr spojrzał na żonę. Śmiertelna bladość okrywała jej lica, lecz oczy gorączkowym blaskiem świeciły:

— Pietrze! — szepnęła, skinąwszy na męża. — Byłam na grobie Kubusia. Zrobiło mi się słabo, duszność taka schwyciła, iż powstać nie mogłam. Byłabym tam zmarła pewnikiem, gdyby nie Jegomość. — On nasz — on Polak — wyratował mnie. — Teraz mi lepiej — tak miło i lekko na sercu, jak już dawno nie było.

— I będzie wam coraz lepiej, matko, — odezwał się ksiądz, — tylko się serdecznie módlcie i ufajcie w pomoc naszej Niebieskiej Pani. Oto tu mam szkaplerze, różańce — rzekł, wydobywając z sutanny zawiniątko — to jeden dla was, a to dla męża.

Piotr bezwiednie cofnął się, ale ksiądz udając, że tego ruchu nie widzi, mówił dalej — podając mu świętości:

— Noście to zawsze na sobie, przyjacielu, zapewne ten, który wam kiedyś matka wasza włożyła na piersi, zniszczył się, zaginął... Więc przypomnijcie sobie dziecięce lata. Byłoby niebezpiecznie żyć bez tego znaku Maryi. Grzechy, pokusy, nieszczęście mają większy przystęp do nas. To zaś jest różaniec z odpustami w godzinę śmierci, — prosto z Rzymu pochodzi, poświęcony przez tego wielkiego papieża, który jest was pracowników największym obrońcą i przyjacielem. — Możeście zapomnieli odmawiać koronkę, to wam ją przypomni żona. Proszę, weźmijcie...

Bandurek walczył z dziwnemi uczuciami. Chciał wypowiedzieć bez ogródki, co myśli o tych świętościach, odepchnąć rękę księdza, a nie mógł

słowa wymówić. Jakaś wielka siła zamykała mu usta, schylała głowę w milczeniu przed tą wyciągniętą dłonią kapłana, przed tym niebieskim płateczkiem, który nagle znalazł się na jego piersiach. Przytem rozrzewniała go myśl, że ten obcy mu, nieznany ksiądz, poratował Jagnę, że się dla niej tak dobrym, tak ojcowskim, troskliwym okazał.

Ksiądz mówił dalej:

Z żoną waszą jużeśmy się dużo nagadali. Wiem, jaka tu ciężka dola wasza — a jam tu do was rodaków przybył z polecenia mego arcypasterza, aby was drodzy bracia i siostry odwiedzić, przynieść wam nieco pociech religijnych, trochę ojczystego powietrza. To moje wakacye. Jestem na usługi wasze o każdej porze dnia i nocy. A możeście ciekawi wiedzieć, co się tam u nas, w Poznańskiem dzieje? Pytajcie, proszę.

Zdumienie Bandurka rosło w miarę, gdy ksiądz mówił. Miłe oblicze duchownego, słowa pełne szczerości, dobroci, i ta mowa czysto polska, rodzinna, nie kaleczona domieszką obcą, jakiej nie słyszał od lat wielu, tak go wzruszyła, iż sam nie rozumiał, co się z nim dzieje...

Zapomniał sztucznych uraz do księży, wpajanych weń przez Berenza, twarz mu się zupełnie rozchmurzyła, serce wezbrało radością.

Poprosił księdza, by usiadł, poczęstował tem, co było pod ręką, i jął wypytywać o swoje rodzinne strony. — Jak Gostyń wygląda? Czy

dawno tam kolej przechodzi? Czy płaca robotników się podniosła? Czy budowniczy N. żyje?

Jagna nad wyraz szczęśliwa, raz po raz unosiła się na posłaniu i słabym głosem mówiła:

— Pietrze! a podaj Jegomości miodu. Tam jest w szafie na drugiej półce. A spytaj go, czy nie zna krzasnego, starego nauczyciela w Grabonogu? A czy nasz proboszczyk kochany w Strzelczu żyje?

Piotr chodził od żony do księdza, częstował ostatniego i tak się z nim rozgadał, tak mu był rad, iż kapłan dwa razy już zabierał się do wyjścia, a on mu odejść nie dał, nowe pytania stawiając.

W końcu, gdyż już ściemniać się na dobre poczęło, ksiądz zerwał się, śmiejąc się.

— A tom się zabawił z wami, panie Piotrze. Ale to tak miło, znalazłszy się wśród swoich, na obczyźnie, pogawędzić, że człek ani się spostrzeże, jak godzina minie. Zostańcie z Bogiem, panie Piotrze. Chcielibyście rozmówić się ze mną poufnie, tak od serca do serca, od duszy, jak to żona przed chwilą uczyniła — jestem na usługi. Wy tu rzadko swojego kapłana macie — korzystajcie póki jestem. Co dzień słucham spowiedzi świętej od 5-tej w kościele św. Jadwigi — potem mam mszę św. i przemowę polską.

I zwracając się do Jagny:

— A jutro, tak jak obiecałem, przyjdę tu z Panem Jezusem. Przy ołtarzu westchnę za wami i za zmarłym synaczkiem... Bóg dał, Bóg wziął.

Wola Jego święta. Tymczasem życzę dobrej nocy. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Piotr ani wiedział, jak i czemu usta mu się otworzyły, by wyrzec słowa: „Na wieki wieków — Amen“ — święte słowa, które kiedyś, hen, powtarzał tak często, a z których potem drwił nieraz...

I nie wiedział, jak się to stało, że się schylił do ręki księdza, że ją ze czcią pocałował i że sprowadził gościa ze schodów aż na samą ulicę.

Co byłby mówił na taki widok Jakób Berenz i reszta kompanii?

— E! — pomyślał Piotr, wracając wolno na górę, co mi to szkodzi, co oni powiedzą? Dusza człowiek, ten ksiądz, nie ma co gadać — a grunt, że mi Jagnę od niechybnej śmierci wyratował, że jej zaraz się lepiej zrobiło i że ona taka szczęśliwa z tej wizyty.

Nie śmiał się przyznać, że i on, ten niedowiarek, ten wróg duchowieństwa — był szczęśliwy!

Jagna pozbywszy się ciężaru z duszy, czuła się znów czas jakiś lepiej. Piotr, zawsze dla niej dobry, teraz stał się jeszcze delikatniejszym, jeszcze czulszym. Byłby chciał ją po prostu nosić na rękach, tak się radował z jej różowej cery i uśmiechów, które częściej igrały na jej ustach. Nadzieja wstępowała do duszy — a może Bóg da potomstwo... On sam, bardzo spoważniał i często bywał zamyślony — ani razu nie poszedł na niedzielne zebranie „wolnych braci“ — zostawiał Pana Boga, Kościół i księży w spokoju, a gdy go

żona ze łzami w oczach prosiła, aby nie zdejmował z siebie szkaplerza, odparł łagodnie: „Kiedy ci to taką przyjemność robi — niech ta sobie zostanie".

Na jedno jeszcze zgodzić się nie chciał — iść do spowiedzi świętej, a co do poświęcenia mogiły Kubusia, to wprawdzie obiecał jej zastosować się do jej woli, lecz zwlekał; tak mu było trudno przełamać się i jako katolik wystąpić otwarcie.

Próżno go Jagna namawiała, by korzystał z obecności w mieście polskiego misyonarza i otworzył przed nim duszę grzechami obciążoną.

Człowieku! — mówiła, — ty ani nie wiesz, co tracisz. Jak to miło i błogo pojednać się z Panem Bogiem! Ty chcesz chyba mojej śmierci... Ty chcesz chyba uporem wywołać nową pomstę Boga.

Nazajutrz wysłuchawszy Mszy św. młodego misyonarza, poszła do niego po radę, jak Piotra nakłonić do uczęszczania do Sakramentów świętych, prosiła, aby jej nie opuszczał i ratował duszę męża.

Ksiądz obiecał wpaść na Murną którego wieczoru, niby tak znienacka pomówić z mężem, roztrząsnąć mu sumienie, ale zwrócił uwagę Jagny, że nikogo nie można siłą ani zbyt gwałtownie nawracać, że skoro Piotr szkaplerz nosi, to z pewnością Matka Boska nie wypuści go z Swej opieki.

— Łaska święta działa czasem jak grom szybko, — mówił — a czasem bardzo powoli.

Módlcie się tylko i ufajcie, a resztę zostawcie Panu Bogu i Jego Matce Najświętszej, zobaczycie, że Ona zmiękczy i nawróci serce męża.

Jagna modliła się i czekała cierpliwie, lecz tydzień znów minął, przyszła niedziela, a Piotr ani wspomniał o nabożeństwie. Misyonarz dwa razy wpadł odwiedzić go, ale go nie zastał w domu.

A szatan tymczasem krążył na nowo koło duszy Piotra, kusił go z tem większą zaciekłością, sidła nań nastawiał, im bliżej był już nawrócenia.

W jedną z następnych niedziel, gdy Bandurek wyszedł sam trochę za miasto odetchnąć świeżem powietrzem, gdyż Jagna czując się gorzej, iść z nim nie mogła, napadł go znienacka Jakób Berenz na czele wesołej kompanii.

— Hola, Peter! — wołał, — dawnośmy cię bratku nie widzieli. Dziś nam się nie wymkniesz, właśnie szliśmy po ciebie... Wielka nowina! Awantura!

— Cóż takiego? — pytał z widoczną niechęcią Bandurek.

— Mamy wielkie posiedzenie! Nadeszły nowe berychty od braci z Berlina. Strejkują tam i my z nimi. Kimm nur, kimm, Peterchen.

Pociągnęli go za sobą, choć im się opierał i gwiżdżąc, śpiewając, cała banda weszła do sąsiedniej knajpy.

Tutaj rozsiedli się w koło stołów, czekając na nadejście innej gromady robotników, Niemców

z fabryki Amrotha, których Berenz też do narady zaprosił.

Między Polakami znalazł się i zawezwany Franciszek Woda, na widok którego Bandurek lżej odetchnął, gdyż patrząc na gęste miny kolegów czuł, że się zanosi na jakąś szaloną rozprawę, która mu serce, obecnie pokojowo usposobione, lękiem przepełniała.

Gdy się oczekiwani zeszli, rozpoczęła się rozprawa. Berenz przeczytał odezwę socyalistów z Berlina, powołujących wszystkich braci do ogólnego strejku i do połączenia się z nimi przeciw właścicielom fabryk. Polakom nie podobało się, że Berenz czytał i wciąż mówił po niemiecku. Franciszek Woda kilka razy powstał i o głos prosił, lecz Berenz go dopuścić nie chciał. Zrazu dość spokojnie zaczęto się naradzać, czego zażądać od Amrotha i Spółki, ale po krótkiej chwili już umysły poczęły się burzyć, — jedni chcieli dyktować dyrektorowi, jak najtwardsze warunki, drudzy byli za tem, aby stawić mu umiarkowane żądania.

— Trzeba się hardo postawić, — mówił młody, zaledwie 17-letni chłopak, Jędrek Ścinalski, — psikusa sprawimy tej bestyi Amrothowi!

— Musi po talarze postąpić na dzionkę! — wołał drugi.

— W południe trzy godziny wolne!

— Jak nie będzie chciał się zgodzić, fabrykę mu z dymem puścimy.

— Eh, co tam z ogniem zaczynać? Przecież

jest w asekuracyi. — Wszyscy terminatkę zażądajmy! Taki bogacz da sobie bez nas rady, innych sprowadzi. Mało ich to jest na Śląsku bez miejsca.

— Od tego jesteśmy, aby braci Ślązaków nauczyć rozumu.

— A tymczasem zdechnę z głodu! Mam sześć dzieciaków i babę schorzałą na karku. Czem ich wyżywię?

— Amrothowi sklep rozbij, będą miały dzieciaki co jeść i pić!

— Wpierw gnaty mu połam, niech wyje jak pies pod płotem.

Wrzawa rosła. Kufle piwa, później kieliszki wódki znikały jedne za drugimi. Każdy coś gadał, coraz nowe rady podawał i chciał przekrzyczeć sąsiada. Porobiły się kółka — Niemcy osobno i Polacy osobno. Berenz co chwila wchodził na stół, niby ich skupiał, a podżegał równocześnie, rzucając wciąż nowe pomysły. — Podła jego natura lubowała się w burdach, w brudzie i w wszelkiem rozpasaniu. Dzisiajsze zebranie przewyższyło jego marzenia.

Bandurek trzymał się na uboczu wraz z Franciszkiem Wodą i milczał. Na widok rozbestwionych, napiłych twarzy kolegów, dusze obydwóch wstrętem się napawały. — Bandurek, tak jak Woda, nigdy nie lubił pijatyki. Jeżeli kiedy użył nadmiernie trunku, to wówczas tylko, gdy się wykręcić nie mógł towarzyszom.

Dziś ci ukochani koledzy, ci poczciwi bracia, dla których przyjaźni gotów był duszę zatracić —

w jak innem świetle mu się przedstawiali! Jeden Woda nie pił wcale, do uciszenia nawoływał, lecz głos jego ginął wśród ogólnego krzyku.

Dzikie śmiechy, wyzwiska, pogróżki, buntownicze plany, drwinki i grube żarty, strasznem echem odbijały się w sercu Bandurka.

Główny cel zebrania, strejk — już nikogo nie obchodził — natomiast uczucia nienawiści do Kościoła i sług jego, wszczepiane w te chore, obałamucone umysły, w brutalny sposób poczęły się odzywać...

Jeden, młody, gołowąs jeszcze, począł w mowie pełnej bluźnierstw, zaczepiać Matkę Boską.

Bandurkowi krew uderzyła do głowy. Czy to sprawiło owo święte znamię Maryi, które nosił na sobie, dość, że się w nim wszystko zatrzęsło z oburzenia. Nie! on takiej mowy dziś ścierpieć nie mógł! Dawniej było mu to obojętnem — teraz cały zadrżał od wewnętrznego wzburzenia, powstał i krzyknął:

— Milczeć tam! i chciał temu smarkaczowi dać nauczkę, ale nie pozwolono mu przyjść do słowa.

Więc porwał się z miejsca i ku drzwiom zmierzał, bo go jakaś przemożna siła wypychała z tej piekielnej czeluści, ale Berenz przyskoczył do niego z szklannicą wódki i zawołał:

— Prosit, Petrus! Dokąd to lecisz, bratku?

Wraz z nim kilku innych przyczepiło się do Piotra, otoczyło go kołem, więc nie chcąc się narażać na burdę z pijaną hołotą, pozostał.

Berenz kazał przynieść nową „pocieszycielkę“ i wrzawa rosła. Po kolei zaczęto przepijać do Piotra, aż i jemu w głowie zaszumiało.

Woda kilka razy przysunął się do Bandurka i od dalszego picia odciągał, ale już było za późno. Piotra wzięła jakaś wściekła pasya i począł wychylać jeden kieliszek po drugim.

— Niech się upiję, — myślał, — skupiając resztki rozumu, i tak bym po trzeźwemu nie dał rady tej kanalii.

Po godzinie, gdy już ten i ów, jak bydlę spite, leżał pod stołem, Piotr stał się najgłośniejszym. Krzyczał, wyzywał, bił pięściami na prawo i lewo, odgrażał się Niemcom, zaczepiał ich cesarza.

Próżno go Woda mitygował i do drzwi ciągnął, nic nie pomogło.

Berenz widząc to, aż się za boki brał i podżegając Piotra, wołał:

— Nie daj się „świętoszkowi“ Petrus! Pal go w kark. Niech ci da pokój! Poczem nachylił się do ucha Bandurka i łyskając złowrogo swemi piwnemi ślepkami, coś mu szepnął.

Bandurek posiniał ze złości i zbliżając się do Franciszka Wody zamierzył się, chcąc mu dać w twarz.

Woda zbladł, lecz hamując się, odepchnął silnie wyciągniętą dłoń kolegi i zawołał:

— Piotrze, czyś oszalał! Nie dotykaj mnie! Człowieku, opamiętaj się... Nie daj się za nos wodzić i kusić przez tego łajdaka.

I palcem wskazał Berenza.

Piotr bezmyślne oczy zwrócił w tę stronę i nagle błyskawica samowiedzy rozświeciła mu umysł, jak gdyby był przeczuł w Berenzu największego swego wroga, rzucił się na niego i powalił na ziemię:

— Ty Niemcze! łotrze! kanalio! szatanie wcielony! — wrzeszczał, bił go rękoma, kopał nogami, ile sił starczyło.

Kilku młodych przyskoczyło na ratunek Berenza, a byli to głównie Niemcy — inni pomagali Piotrowi tratować nieprzyjaciela. Woda chciał oswobodzić jeńca z rąk Bandurka, ale nie mógł mu dać rady.

Wszczęła się szalona bójka. Rozdzielono się na dwa obozy. Niemcy po jednej, Polacy po drugiej stronie walczyli zapamiętale. Berenz był jabłkiem niezgody. Krzesła, kieliszki, kufle migały w powietrzu. Zebrana gromada, w celu uchwalenia bezrobocia, zamieniła się w jedną wyjącą masę.

Nareszcie Berenz potrafił się wydobyć ze szponów oszalałego Piotra, lecz widząc przewagę Polaków, chyłkiem się do drzwi przycisnął i wypadł na ulicę.

Po jego zniknięciu uciszyło się na chwilę. Franciszek Woda porwał dyszącego Piotra i gwałtem do drzwi pociągnął. Za nimi kilku innych wyniosło się z karczmy.

Tymczasem Berenz bez kapelusza z rozwianym włosem, posiniony, okrwawiony, pędził ku

miastu i natknąwszy się na policyanta, wskazał mu w przeciwnej stronie szybko oddalających się kolegów.

— Verfluchte Polacken, — krzyczał i jął opowiadać, co to za niebezpieczne ptaszki, nieprzyjaciele rządu, anarchiści, że Piotr Bandurek śmiał w jego obecności obrażać majestat cesarski, a gdy on stanął w obronie swego cesarza, niewinnego napadł i tak poturbował.

Policyant nie dał sobie tego dwa razy opowiadać, gwizdnął i zaraz zbiegło się kilku innych, po cywilnemu ubranych, zrobili obławę na uciekających robotników i przytrzymali ich.

Berenz podawał nazwiska „braci“ — w czarnych kolorach malował ich zachowanie, a mianowicie dwóch najgorszych wichrzycieli, Piotra Bandurki i Franciszka Wody. Pojmani nie umieli się bronić — alkohol jeszcze im nie wywietrzał z czubów, bełkotali niewyraźne słowa, zataczali się. Piotr do najwyższego stopnia rozdrażniony, słysząc oszczerstwa fałszywego przyjaciela, chciał się ponownie rzucić na Berenza, ale go skrępowano i wraz z innymi do więzienia śledczego zaprowadzono.

Zeznań Franciszka Wody nikt w obecnej chwili nie chciał słuchać — jak złoczyńca musiał iść do „kozy“.

Bandurek, który w drodze oprzytomniał, tłomaczył się, przysięgał, że nigdy nikomu żadnej krzywdy ani on, ani Woda nie uczynili, że nikogo nie okradli i tylko dali się wciągnąć do knajpy,

gdzie on, Piotr, nadużywszy alkoholu, poturbował Berenza, łotra, zbója, prewodyera wyrzutków i gałganów. — Lecz policyanci nakazali mu milczenie.

IX.

Trzy dni i trzy noce już siedzieli w zamknięciu: Franciszek Woda, Piotr Bandurek, Jędrek Ścinalski, Ignacy Wojtaszek, Antek Krępy i mieli czas rozpamiętywać nad własną głupotą, zaślepieniem i nad zdradą Berenza, który ich wszystkich za nos wodził, do zguby prowadził i tak haniebną rolę szpiega odegrał.

A podczas gdy oni pokutowali za swe winy, trzy kobiety, chodziły jak błędne po mieście, szukając śladów zaginionych mężów. — Napróżno dobijały się do drzwi policyi, kazano im czekać cierpliwie, póki się sprawa nie wyjaśni.

Jagna do żywego zgryziona, tym większym żalem przejęta, iż mąż był bliżej poprawy, nie mogła usiedzieć na miejscu. Zdrowie jej, wśród tej ciągłej niepewności o męża, znacznie się pogorszyło — i czuła, że jeśli on długo nie wróci, już jej nie zastanie przy życiu...

W ciężkiej swej zgryzocie przypomniała sobie młodego księdza, który tyle razy już był jej aniołem pocieszycielem i zabrawszy dwie towarzyszki, powlokła się do niego. Tu wszystkie trzy padły mu do nóg, opowiedziały swą niedolę i o pomoc prosiły. Kapłan wysłuchał ich opowiadania, obiecał iść na policyę, do dyrektora

fabryki i jeśli można, dotrzeć do uwięzionych, aby ich podnieść na duchu.

I tak też uczynił.

Pan Amroth, właściciel i dyrektor fabryki maszyn, człowiek zimny, obrachowany, lecz sprawiedliwy, przyjął księdza bardzo grzecznie, obiecał wstawić się za robotnikami, a dla duchownego uzyskać wolny wstęp do nich, jeśliby dłużej mieli być zamknięci.

Skoro tylko przyszło pozwolenie, kapłan niezwłocznie odwiedził rodaków, do poprawy życia ich nakłaniał i gorącą swą wymową a anielską słodyczą ujął ich wszystkich za serca.

Najwięcej przejętym był Piotr Bandurek. Franciszka Wodę wkrótce potem, na poświadczenie dyrektora uwolniono. Sprawa Piotra była gorszą, ponieważ był obwiniony o obrazę majestatu.

Po długich staraniach księdza i udowodnieniu, że dotąd nigdy żadnego karygodnego przestępstwa nie popełnił, a mówił od rzeczy i odgrażał się po pijanemu — wypuszczono Bandurka wraz z trzema towarzyszami na wolność.

Wyszli razem z więzienia w ponurem milczeniu. Zimowe słońce tego dnia jasno świeciło, i w blaskach jego domy, witryny składów kąpały się od rana. Ludzie radzi z niezwykłego ciepła, wylegli masami na ulice; ruch, wesoły gwar panował dokoła.

Pierwszy odezwał się Wojtaszek, człek już nie młody, znany w fabryce ze swej tęgiej głowy.

— Uf! jak pięknie na świecie Bożym! Rad jestem, żem się raz z ciupy uwolnił!... Wszystkiemu winien ten hultaj Berenz. Ani mi się śniło leść do knajpy, lecz tyle namolestował, nagadał, że potrzebny jestem do rady, iż zmiękłem i za to mam zapłatę.

— Jeno mi się nawinie pod rękę ten łotr, to mu gnaty połamię. O, ruski miesiąc mnie popamięta! — odezwał się Antek Krępy.

— Wiecie co? idźmy zaraz kupą do niego, zawołał najmłodszy, gołowąsy Jędrek Ścinalski, — i sprawmy mu łaźnię taką, iżby się już ruszyć nie mógł.

Piotr idący dotąd z głową spuszczoną, odparł:

— Dajcie pokój temu, inną karę trza na niego wymyśleć, a na teraz unikać go jak złego ducha. Mnie spieszno do żony. Zostawiłem ją mocno chorą, i strach mnie, co się z nieboraczką zrobiło!...

— Więc idźcie, ale ja wolny, nie puszczę płazem tej szwabskiej małpie niegodziwości i zdrady, — dorzucił Jędrek. — Dawnom przewąchiwał, że ten łajdak coś knuje.

— Kiedy teraz wiemy, co to za niecnota — rzekł Wojtaszek, — musimy go się strzedz i drugich braci powiadomić, aby zaś znów nie szli na lep jego miodowych słówek i jak my nie dali się złapać.

— Eh! co to za kara dla niego, — mruknął

Krępy, — najmędrzej chyba byłoby, oddać szelmę w ręce policyi i wszystkie jego sprawki odkryć.

— Dajcie pokój, — wtrącił Piotr, — nam Polakom zawdy wstrętnie, choćby i gałgana wydać policyi.

— Gadajcie, co chcecie, — zawołał Jędrek, — ja nie przetrzymam w spokoju. Pójdę choć na zwiady, gdzie się ten nasz serdeczny Jakóbek obraca.

— Jeno się miej na baczności, Jędrku, — szepnął mu Piotr na odchodnem, — tyś młody i krewki, a to lis szczwany, jeszcze ci nowego piwa nawarzy.

Doszli razem do końca ulicy Bismarka, tu Piotr pożegnał kolegów i skręcił na Murną.

Spieszno mu było jak najprędzej dostać się do Jagny, usprawiedliwić się, uspokoić ją.

Od dnia ślubu nigdy nie rozstali się na dłużej, jak na godzin kilka, i Piotr ze zgrozą myślał, jak biedna Jagna musi tam zamierać z lęku o niego!

— Człowieku! Ty chcesz chyba mojej śmierci, albo wywołać pomstę Bożą! — przyszły mu na myśl słowa żony. I zimne dreszcze go przeszły. A nuż Jagna z niepokoju o niego, ze smutku i utrapienia umarła?... Czyż nie byłby winien jej śmierci? Kochał ją tak bardzo — ją jedną miał na świecie, i bez niej ten świat cały wydawał mu się grobem, a postępował niby zły, obojętny mąż, któremu własna satysfakcya droższa niż życie żony. Słabe to było biedactwo, wątłe i wrażliwe, a on nie oszczędzał jej dotąd kłopotów

i zmartwień. Teraz ten ostatni żal i przerażenie mogło ją dobić...

Szedł a raczej biegł ulicą z głową spuszczoną, gdy nagle ktoś idący mu naprzeciw, zatrzymał go z okrzykiem:

— To wy, Piotrze, — nareszcie!

Bandurek podniósł głowę. Przed nim stał Franciszek Woda. Szczery smutek drzał w jego głosie, gdy mówił dalej.

— Właśnie od was wracam. Byłem się dowiedzieć, czyście już uwolnieni i chorą żonę popytać.

— No, jakże, gadajcie, Jagna... cóż?...

Oczy jego wyrażały taką beznadziejną trwogę, iż widział, że Woda go uspokajał wbrew własnemu przekonaniu.

— No nie tęgo, ale to się jeszcze poprawić może, to przemijająca słabość. Nie widziałem jej, jeno odźwierna gadała, że...

Piotrowi się zdawało, że go Franciszek pragnie oszczędzić i nie mówi całej prawdy, więc porwał się ku domowi.

— Bóg wam zapłać za wszystko, Franciszku, — rzekł i z zapartym oddechem wleciał jak wicher do kamienicy. Sadził przez trzy piętra, jak żak szkolny, a one piętra wydały mu się wiekami.

Nareszcie był u siebie. Zatrzymał się, serce waliło mu jakby kto młotem uderzał. Otworzył drzwi cichutko. W pierwszej izbie grobowa cisza panowała, więc przeszedł ją bez szelestu i lekko drugie drzwi odchylił.

Na łożu samotna i opuszczona spoczywała Jagna. Niby biały kwiatek, podcięty kosą, tak ona leżała, wysmukła, białością swą kwiat lilii przypominająca.

Gdy Piotr się zbliżył, ani się nie poruszyła. Pochylił się nad nią, usta do czoła przycisnął i zawołał:

— Jagna! Jaguś ty moja!

Schwycił jej ręce — były zimne — przyłożył ucho do piersi i posłyszał, że serce słabiutko jeszcze uderzało.

A więc żyła dotąd!

W tej chwili Piotr, który od lat kilkunastu nie klęczał, nie modlił się, runął na kolana.

— Boże! Boże! — zawołał, podnosząc ręce do góry — wierzę w Ciebie, będę Ci wiernie służył do śmierci, ślubuję Ci postawić krzyż na mogiłce Kubusia, jeno mi tę umiłowaną kobietę moją zostaw, jeno mnie nie czyń sierotą na świecie.

Poczem wstał wzmocniony na duchu, poszukał spirytusu, natarł nim skronie, ręce i nogi Jagny, wlał jej kilka kropel do ust i uniósł ją nieco na pościeli.

Otworzyła wielkie, senne, zdziwione oczy i ujrzawszy Piotra drgnęła całem ciałem, potem przymknęła powieki napowrót i coś, jak lekkie westchnienie, wyrwało jej się z piersi.

On ją przytulił do siebie, ręce znów rozcierał i twarz jej całował, szepcąc:

— Jaguś, otwórz jeno oczy, to ja twój mąż wróciłem napowrót do ciebie. Wróciłem na

zawsze. Jeno się obudź kobieto, ty moja żono serdeczna, jedyna, jeno się napij jeszcze parę kropelek.

Chora podniosła na nowo oczy i westchnęła: O Jezu!

Piotr przyłożył kieliszek do jej zbielałych warg i namawiał do picia.

— Łyknij jeszcze kądziek, łyknij, Jaguś, to ci siły wrócą, obaczysz, będziesz zdrowiuteńką.

Ale ona teraz ze wstrętem odsuwając usta szepnęła:

— Nie... o nie... daj mi już umrzeć, Pietrze... daj iść do Kubusia... na co mi żyć...

I oczy błagalne, pełne rozdzierającego smutku zwróciła ku niemu.

A Piotr zrozumiał bolesną przymówkę, zrozumiał, że się nieszczęśliwa kobieta tyle już nacierpiała z jego powodu, iż jej obmierzło życie i zapragnęła zasnąć cichutko, przenieść się tam, gdzie przebywał synek ukochany...

Ból wielki przeszył mu serce. Więc jął ją przepraszać za wszystkie zgryzoty i zmartwienia, które dobrowolnie na jej głowę sprowadził.

— Jagna, — mówił, —ciężkom zawinił przeciw Panu Bogu i przeciw tobie, ale świadczę się niebem, że już teraz będzie inaczej, jeno ty mnie nie opuszczaj kobieto, jeno ty nie chciej iść do grobu... Obaczysz, Jaguś, odszukam tego świętego księżyka, co nas w więzieniu odwiedzał, padnę mu do nóg, grzechy wyspowiadam i zaś poproszę, aby mogiłkę Kubusiową poświęcił...

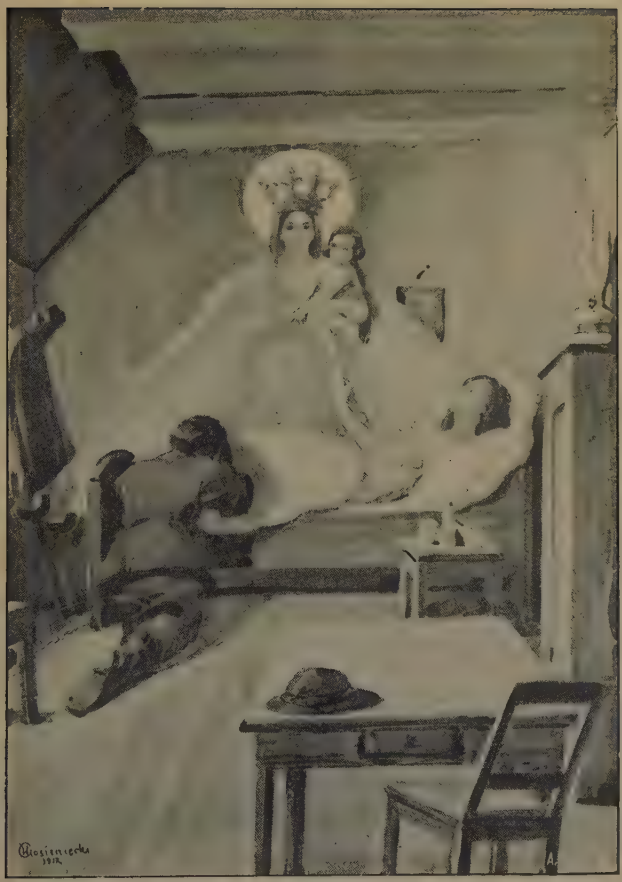

...W tej chwili Piotr, który od lat kilkunastu nie klęczał, nie modlił się, runął na kolana (str. 79).

(Pow. dla ludu)

Postawimy krzyż cały rzeźbiony na grobie synka. Jeno ty Jagna nie daj się śmierci, nie odchódź odemnie, nie chciej mnie biednego ostawić na obczyźnie.

Jagna słuchała z natężeniem słów męża, a z oczu jej duże łzy spływały cicho. Poruszyła się na pościeli, lecz nie miała sił by mówić, tylko nagle podniósłszy nieco głowę, blade usta przycisnęła do ręki Piotra. Wówczas on załkał głośno...

Jagna zmęczona wysiłkiem padła napowrót na posłanie, przymknęła oczy. Wyraz smutku znikł z jej zbiedzonej, wyniszczonej cierpieniem twarzy, a natomiast osiadł na niej błogi, niczem niezamącony, iście nieziemski spokój.

Po małej chwilce zasnęła twardym, pokrzepiającym snem. A Piotr uklęknął przy jej łożu i począł się żarliwie modlić.

Plątały mu się słowa modlitwy Pańskiej, nie powtórzonej od wielu, wielu lat, ale dusza rwała się ku niebu, pełna skruchy, gorącego żalu i miłości, kładła się u stóp Ukrzyżowanego, błagając Go o łaskę miłosierdzia... Całą noc przebył na klęczkach, patrząc, to na ukochaną twarz uśpionej żony, to bijąc się w piersi i rozpamiętując nad grzesznem życiem.

Nazajutrz, skoro świtać poczęło, widząc, że Jagna dalej śpi spokojnie, że puls jej miarowo uderza, zeszedł cichutko na dół, polecił odźwiernej, aby raz po raz zajrzała do żony, a sam udał się do kościoła świętej Jadwigi.

Młody ksiądz z Poznańskiego właśnie wchodził do zakrystyi. Bandurek nieśmiało zbliżył się do niego.

— A to wy, panie Piotrze, — przywitał go kapłan serdecznym uśmiechem. — Mówiono mi wczoraj, że was na wolność puszczono. Chwała Bogu! A cóż tam żona? Jak ją zastaliście? Biedaczka srogo była strapioną.

— Dziękuję, księdzu dobrodziejowi, ma jej się ku lepszemu, ja zaś przyszedłem prosić Jegomości...

Tu Piotr w głowę się poskrobał.

A ksiądz z ojcowską dobrocią:

— Dobrze, dobrze już wiem... Spodziewałem się, że przyjdziesz, mój synu. Broiłeś tęgo, aleś nie odrzucił szkaplerza Matki Boskiej, mówiła mi żona, więc byłem pewien, że ta niebieska Królowa i nasza... nie pozwoli ci zginąć, rychlej czy później pociągnie za sobą. Otóż zgadłem. Pójdźmy, synu kochany, służę ci.

Ksiądz usiadł w konfesyonale a Piotr padłszy na kolana, długo, długo spowiadał się z całego grzesznego żywota, od chwili, gdy jako młody chłopiec przybył z Wielkopolski do niemieckiego miasta X. i w krótkim czasie dał się wciągnąć do grona wolnomyślnych socyalistów, jak z początku pociągało go tylko ich towarzystwo i więcej z fantazyi, z ciekawości garnął się do nich, lecz nie dzielił ich nienawiści ku Kościołowi świętemu i księżom, ku możnym, jak potem zapomniał tego, czego uczono go w domu rodzi-

cielskim — miłości Bożej i szacunku dla starszych i duchownych, i nietylko zapomniał, ale począł mieć wstręt, odrazę, nienawiść do wszelkich prawd wiary i przepisów Kościoła. Powoli brnął w zaślepieniu, buntował się przeciw Opatrzności, przeciw kościelnej i świeckiej władzy, nieraz w kampanii upijał, bluźnił Bogu, aż przyszło do tego, że synka jedynaka pochował jak poganina. Byłby wziął jeszcze inne grzechy na sumienie, gdyby nie żona, którą nad wszystko umiłował, i której choroba od wiele złego go obroniła i, gdyby nie ta jakaś przemożna siła, która mu zasłonę z oczu zdjęła i pchnęła do konfesyonału. — Tu Piotr począł głośno bić się w piersi i szlochać nad ciężkiemi grzechami.

Ksiądz anielską cierpliwością i skupieniem, wysłuchał długich opowieści Piotra i wzruszony prostotą tej zbłąkanej lecz prawej duszy, jął go pocieszać i ukazywać mu wielkie miłosierdzie Boże, oraz te cudowne drogi, jakiemi Opatrzność, każdego człowieka do zbawienia prowadzi.

I długo, długo młody kapłan szeptał coś do ucha nawróconego grzesznika.

Bandurek zrazu wzdychał i płakał, w końcu się uspokoił i wstał z wypogodzoną twarzą, z lekkiem sercem, z szczęściem w duszy.

Powoli kościółek św. Jadwigi, zapełnił się wiernymi; Piotr ujrzał twarze znajome, ale się nie wstydził ani oczu nabrzmiałych łzami ani swojej długiej spowiedzi. Inni poczęli cisnąć się do konfesyonału, a byli to sami Polacy, wierne

owieczki, które na obczyźnie skarb wiary świętej zachowały nietknięty.

Bandurek wysłuchał pobożnie Mszy świętej i ożywiony najlepszemi intencyami na przyszłość, przyjął Pana Jezusa. Po Mszy św. ksiądz miał naukę polską. Wybrał temat o „łasce i miłosierdziu Bożem“ — a zaczął od słów: „Błogosławiony lud, którego Panem — Bóg jego“. Mówił tak pięknie, tak rzewnie, tak umiał poruszać serdeczne struny, tak trafić do przekonań zebranej garstki rodaków, iż na niejednej, pracą steranej, męskiej twarzy, łza spłynęła i z wielu piersi rwały się westchnienia. W końcu głośne łkania i jęki rozległy się w małym, polskim kościółku, gdy ksiądz oznajmił, iż za trzy dni opuszcza ich, wraca do swoich i zaklina obecnych, aby się nie lenili w służbie Bożej, nie dali się obałamucać przewrotnemi ideami i tu na obcej ziemi, zdala od ukochanej ojczyzny, węzłem bratniej miłości złączeni, bronili swojej wiary i strzegli swojej mowy rodzinnej.

Piotr był uniesiony. Jakżeż inaczej brzmiały słowa kapłana, tchnące miłością Boga i bliźniego, w porównaniu do tych mów czczych a zapalnych, pełnych pogróżek mściwych i buntowniczych, nieraz bluźnierczych, które tak często wysłuchał i któremi się upajał.

O jakże był nierozważny i głupi, jak bardzo zaślepiony, iż nie spostrzegł wcześniej, że to nie były tylko puste frazesy, ale niebezpieczne hasła, prowadzące do anarchii, do moralnego a nawet

do materyalnego upadku. Wszak maluczko, a byłby on poszedł na dno przepaści. Bóg wielki i miłosierny w samą porę zesłał mu upamiętanie.

Po nauce Bandurek jeszcze raz zbliżył się do księdza, podziękował mu za wszystko dobre i umówił się, co do poświęcenia mogiłki Kubusia. Chciał, aby jego wybawca przed wyjazdem jeszcze i tę łaskę mu wyświadczył.

Poczem pożegnał kapłana i począł zbierać się do domu, bo go rwała tęsknota do Jagny, którą pragnął jak najprędzej, do piersi przycisnąć.

W drodze spotkał Jędrka Ścinalskiego. Chłopak ujrzawszy dziwnie uszczęśliwioną, promieniejącą wewnętrzną pogodą twarz Bandurka, zapytał:

— Hej! cosik wam dobrego przytrafiło się, Piotrze. Czy Amroth podwyższył?

Spytany odparł wymijająco.

— Nie, Jędrku, nie widziałem jeszcze dyrektora. Ale ty, za czem tu czekasz i wałęsasz się po ulicy? Wyglądasz mizernie, jakobyś trzy noce nie spał.

— Eh! co tam spanie! Mniejsza o to — alem wściekły jest, bo wiecie, Pietrze, co się stało? Wiecie? Oto ten zapamiętały szwab, Berenz, wyźlignął nam się. Uciekł!

Piotr, ku wielkiemu zdumieniu chłopca, nie obruszył się na tę nowinę wcale, przeciwnie, jak gdyby mu kamień spadł z serca, tak mu się oczy zaświeciły zadowoleniem.

— No, to i najlepiej się stało, Jędrku, —

rzekł spokojnie, nie będzie już złego ducha, kusiciela, który nas wszystkich a was młodszych przedewszystkiem, do złego namawiał. Wie Pan Bóg, co czyni.

— Ale zepsuła nam się taka gratka! Byłbym ochotnie skórę wygarbował temu Judaszowi, co nas sprzedał, a tu on frrrr! umknął bezkarnie.

— Mój Jędrku, jeśli on się nie poprawi, to i tak wisieć będzie. Nie minie go pomsta Boża, a nie nasza rzecz wymierzać sprawiedliwość bliźniemu, choćby najgorszemu!

— Pietrze! co wam się stało? Prawicie nieprzymierzając jak klecha na ambonie... Czy to te dzionki o chlebie i wodzie w ciupie tak wam krew rozwodniły? Mnie jeno tak ręka świerzbi, aby obić gałgana, deptać co się nawinie, a u was dusza śpi... Nie poznaję was...

— Ej chłopcze! źleś powiedział, dusza moja nie śpi, jeno właśnie zbudziła się do inszego życia. Dość mi już tych zawiści, burd, kłótni, buntów, które człeka do niczego statecznego ni dobrego nie prowadzą... od Boga odciągają, pracy, ni szczęścia nijakiego nie przysporzą, a świata nie zmienią. Wierzaj mi chłopcze, źle się bawimy, źle. Tyś młody i niedoświadczony, to ci się wszystko różowo przedstawia, ale ja starszy, widzę co się w koło święci, nie chcę dalej tak żyć, jak do tej pory i ze „Związku Wolnych Braci“ występuję.

— Pietrze, la Boga! co słyszę? Wy chcecie

wystąpić ze Związku? Opuścić nas? Co wam się stało? Jak to być może?

— Powiedziałem i nie cofnę się. Sprzykrzyły mi się bunty, zawiści, bluźnierstwa, pokrywające tylko grzeszne zachcianki. Pan Bóg dał łaskę, żem przejrzał, nie chcę Go dalej obrażać... I tobie, Jędrek, radzę ze serca, abyś się od tych tam odczepił... Szkoda cię, bracie. Zdrowe masz ręce i duszę prawą, tylko już trochę nadpsutą przez złe przykłady kompanii. Uciekaj póki czas, póki cię doszczętnie nie zepsują, nienawiści do nieba i ziemi nie wszczepią jak jaki jad trujący... tak, że już i ratunku nie będzie dla ciebie.

Chłopak z coraz większem zdumieniem patrzał na Bandurka, ledwie wierząc uszom, tak mu się dziwnem zdało, to wszystko co Piotr mówi.

— Dziwy! dziwy! co wy dziś mi nie prawicie, człowieku. Ani mi się w głowie pomieścić nie chce... I właśnie teraz chcecie, bym rzucił kompanią, gdy koledzy Niemcy strejkują, gdy jeno patrzeć, Amroth zmuszony będzie postąpić, albo cała fabryka klapnie? O nie głupim!

Piotr machnął ręką.

— Wiecznie ta sama śpiewka! Niech sobie Niemcy strejkują, co nam do nich. Nie mam czasu teraz dłużej się na ulicy zatrzymywać, muszę jeszcze duchem wpaść do domu, by zdążyć na pół do siódmej do fabryki. Ale ciebie, Jędrku, chciałbym ratować, boś mi do serca

przypadł. Zajdź do nas, proszę, kiedy w niedzielę, pod wieczór, pogawędzimy o tem i owem.

Jędrek wydął pogardliwie usta:

— Ba! — zawołał — kiedyście już nie nasi, to mi nie po myśli zachodzić do was.

Zasunął czapkę na bakier, włożył ręce w kieszenie i począł gwizdać.

Piotr jeszcze rzekł:

— No to ostań z Bogiem, a jak ci będzie po sercu, to przypomnij sobie Bandurków.

Rozeszli się. Piotr idąc szybko, myślał: Szkoda chłopca! Znam go od dziecka i wiem, że się tylko tak jak ja dał wciągnąć i obałamucić przez namowę... Teraz mu się uśmiechają narady, strejki, wolność, później zwróci się przeciw Bogu i Kościołowi. Szkoda chłopca. Trza go koniecznie odciągnąć od złych przyjaciół.

I ten świeżo nawrócony grzesznik, ani wiedział, że już był apostołem, który bratnią duszę chciał na drogę prawdy pociągnąć!

Gdy Piotr przyszedł do domu, zastał Jagnę wyczesaną, odświeżoną, siedzącą w łóżku. Blada jej twarzyczka, na której cierpienie wyryło swe piętno, promieniała szczęściem. Gdy mąż się do niej zbliżył, zarzuciła mu ręce na szyję i ściskała go mówiąc:

— Pietrze! oj wiem ci ja, gdzieś ty był! Powiedziała mi to Najświętsza Panna! Kiedym się w nocy zbudziła, widziałam, jakeś się serdecznie modlił i duszę do Sakramentów sposobił... I zdawało mi się, że przy tobie, stała ona Matka Boża.

w niebieskiej jasności i uśmiechała się do mnie... a na rękach Jej bieluśkich, siedział Kubuś nasz kochany, ale nie mizerny i kaleka, jako był na ziemi, jeno śliczniuchny i różowy, niby kwiat jabłoni, rozkwitnięty na wiosnę... O jej, Pietrze! jakem ci ja rada!... Obaczysz, wnet całkiem przyjdę do siebie, będę ci pilnie gospodarzyła i będę miłowała z całych sił... Bo kiedym tę cudowną postać ujrzała nocką — i zmartwiona prosiłam ją: Zabierz mnie Matko do nieba — do Kubusia. A Ona ręką wskazała mi ciebie, skruszonego, modlącego się i rzekła: Ostań przy nim jeszcze na ziemi. — Więc teraz już wiem pewnikiem Pietrze, że żyć będę i nie ostawię cię sierotą, skoro tak rozkazała Najświętsza Matka.

. . . . . .

Minęło kilka miesięcy. Jagna wracała szybko do sił i do zdrowia. Piotr był cichy, spokojny i pracy oddany. Z razu nie łatwo mu przyszło wycofać się z koła dawnych przyjaciół i kolegów, którzy nachodzili go i namawiali, aby z „Związku“ nie występował, ale w końcu widząc, że żadne perswazye nie pomogą, dali mu pokój.

Jednego dnia Piotr wróciwszy wcześniej niż zwykle, spytał żony:

— No, cóż Jagna, zadowoloną jesteś ze mnie? — A gdy ona przytwierdziła z uśmiechem, rzekł: Mam też nowinę. Franciszek Woda opuszcza miasto i jedzie do kraju. Rają mu tam niewiastę i chce się żenić.

— Niech mu Pan Bóg poszczęści. Dobry to z gruntu człowiek.

— A cobyś ty mówiła na to Jaguś, gdybyśmy też powędrowali nazad do swoich? Gadaj, kobieto, chciałabyś?

— Czy jabym chciała, Pietrze? Oj! okrutnie miło byłoby obaczyć braterstwo, siostry, nasze wioski, nasze miasta i cmentarz, gdzie ojcowie nasi leżą, i stary kościół w Strzelcach! Jeno mnie by żal było opuszczać mogiłkę Kubusiową.

— Ot, co kobieto, nie wskrzesimy chłopaka! Będzie nad nim czuwał ten krzyż Pański, który postawiliśmy na wieczną pamiątkę naszego pojednania z Bogiem. Mnie się okrutnie chce do kraju... Młodziśmy jeszcze, we dwoje damy sobie wszędzie radę... Widzisz, to tak jakoś dziwnie się w sercu mojem ułożyło. Pókim był niedowiarkiem, przestawałem chętnie z obcymi i byłem im bratem, nie dłużyło mi się na obczyźnie, wśród innowierców. Odkądem się nawrócił, z Bogiem pojednał, jakoś mi tu nijako — tęsknota ciągnie do swoich... Coś szepce mi, że choć tu można, pracując pilnie, grosza uzbierać, jednak na zawsze ostać tu nie podobno!... Tam na ziemi rodzonej, inaczej się żyje, swobodniej bawi i lepiej miłuje. Tu, w wielkiem mieście, ze wszystkich stron człowieka kuszą, namawiają, ciągną, nieprzychylnie do Kościoła naszego usposabiają. Łatwiej też ma się okazyę do złego a rzadko kiedy sposobność posłuchania słowa Bożego. Więc mnie się widzi, Jagna, że nam

najlepiej będzie, porzucić te strony i poszukać w kraju zarobku.

Na te słowa męża, Jagna ucieszona, poczęła się tulić do niego miłośnie.

— O Pietrze! Jakiż to mądry człek z ciebie i dobry, to aż miło posłuchać! To co mi nieraz było na myśli, lecz czegom wytłomaczyć sobie nie umiała, toś ty mi teraz jasno wyłożył. O! masz wielką słuszność, tutaj, choćby się nie wiem jak dobrze powodziło, zawsze tęsknota źre za krajem. Wśród swoich inaczej się żyje, lepiej bawi i miłuje.

— Nie możemy, rozumie się, tak z dnia na dzień rzucić tutejsze obowiązki. Trza się rozpatrzeć, sprzedać nasze graty — ale tak na przyszłą wiosnę, to chyba pójdzie, — rzekł Piotr.

— Na wiosnę... — szepnęła Jagna, rumieniąc się, — tak to pójdzie... bo wiesz Pietrze, mnie się widzi, że Bóg nas wysłuchał i pobłogosławił nam.

Spojrzała jakoś słodko i rzewnie w oczy męża, a on uniesiony wielkiem szczęściem i większą jeszcze nadzieją szczęścia, porwał żonę w objęcia, mocno tulił i pieścił. A potem jednomyślnie oboje padli na kolana przed obrazem Matki Bożej i długo — długo — modlili się.

Jak się pan Amandus Fifirkowski zaręczył?

Humoreska.

Jakim sposobem ja się zaręczyłem, moi państwo, dotychczas — nie wiem; jak mogłem oświadczyć się Bolci Kiełdrzyńskiej, kiedy równocześnie, a może i więcej, podobała mi się Ewcia Solinek, — dotąd nie jest mi jasnem!! Wszystko bo się w życiu mojem tak dziwnie plotło — iż nigdy nie byłem i nie jestem w zgodzie z samym sobą. Wiecznie jestem ścigany, dręczony, męczony, przez coś, co we mnie tkwi, a czego wyraźnie określić nie umiem. Może to są nerwy? ta modna choroba, która ludzkość trapi? Ale przecież — widzicie — na chorego nie wyglądam. Objętość mojego gospodarza — ten tego — blednicy nie zdradza... Muszkuły mam, panie, jak olbrzym... i uważam, że gęś, to głupie stworzenie na talerzu — bo jedna, dla mnie za mało, a dwie trochę za nadto... Na brak snu także skarżyć się nie mogę, choć bywają noce, gdzie się rzucam na łóżku, jak piskorz w wodzie, a to przychodzi w chwili, gdy mnie czeka jaka ważna decyzya w życiu. I wówczas — zdaje mi się, że jestem słabszy od muchy... tak, od muchy, moi państwo, nie śmiejcie się — i bardzo, bardzo nieszczęśliwy człowiek. Bo co to są za katusze, co za nieszczę-

ście żyć dniami całemi, czasem tygodniami, w niepewności, w tem „nie“ i „tak“ — ten tylko wiedzieć może, kto jak ja przechodzi przez ten czyściec!...

Ja nigdy nie wiem, do ostatniej chwili, co zrobię lub czego nie zrobię, pójdę tam, czy nie pójdę, wyjadę jutro, czy zostanę w domu. Nigdy! Największym wrogiem moim, ten, który pare dni naprzód, ba, nawet w wilię, nawet dwie godziny przed odejściem pociągu, spyta mnie: „Będzie pan na zebraniu w X? Albo — „O której pan wyjeżdża? bo ja do ostatniej chwili, sam nie wiem, czy wyruszę o 7-mej z rana, w południe, czy wieczornym pociągiem. Dopiero gdy spojrzę na zegarek, widzę, że jest gwałt na kolej — chwyta mnie jakaś rozpaczliwa energia, stanowczość i chlasttrzask — raz, dwa, trzy — pakuję, biegam, krzyczę na służbę — i spędzony, zziajany, przyjeżdżam na stacyę, bardzo często w chwili — gdy pociąg już w świat wyruszył.

A!! państwo kochani, litujcie się nademną, co to za męka. Jak ja zmęczony wracam, po takiej ekspedycyi, po takiem naprężeniu woli! Mój przyjaciel Edward wówczas, śmieje się na całe gardło ze mnie.

Do czubków z tobą Amandusie — żeby ktoś z wszystkiemi klepkami mógł podobną komedyę urządzać — to coś kapitalnego! Człowieku! i ty się chcesz żenić!... Ty? który się nie możesz na krawatkę zdecydować, jakże postąpisz z wyborem żony?... Chyba że która śmielszej natury

sama ci się oświadczy... sama rzuci na szyję — inaczej, ty się nigdy nie zdecydujesz na tak ważny krok.

Ha! łatwo mu gadać, jemu, który miał już dwie żony, a teraz jest w poszukiwaniu o trzecią... Wie, jak to się obchodzić trzeba z kobietami, jak do nich zagadać, by im afekt objawić — a przedewszystkiem wie dokładnie, która mu się podoba. A w tem właśnie największa bieda moja, że ja nie wiem — i dla tego moje zaręczyny z Bolcią, dotąd mi nie są jasne — bo jak na złość równocześnie podobała mi się Ewcia — i gdy jednego dnia rano zdecydowałem się oświadczyć Bolci, już wieczorem przechodziłem na stronę Ewci. Co to były za męczarnie! Wśród bezsennej nocy zwłaszcza: „Ewcia — Bolcia — Ewcia — Bolcia, dwa imiona na przemian tłukły się w pamięci — dwie główki, jedna blondyna, druga bruneta, przesuwały się w wyobraźni.

Jestem pobożny z natury — pomyślałem raz. — „Niech mi Matka Boska żonę wybierze, — niech rozstrzygnie, którą z tych dwóch panien, mam pojąć za dozgonną towarzyszkę życia“.

Wziąłem dwie kartki białego papieru — napisałem na jednej Ewa Solinek, na drugiej — Bolesława Kiełdrzyńska — i umieściłem je pod obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, z postanowieniem, że nazajutrz gdy się obudzę, to imię, które wybiorę, będzie decydujące w wyborze żony.

Noc miałem przewyborną — spałem jak nowonarodzone dziecko. Nazajutrz... wstaję, ubieram się gorączkowo — krążę w koło obrazu świętego i... nie mogę się zdecydować wybrać...

A nuż Bolcia?... A nuż Ewcia?...

Cały ranek przeszedł, minęło południe... Nie mam odwagi.

Grzech! wstyd, obraza boska!...

Idę — wyciągam...

Ewa Solinek!...

Pot spływał mi z czoła, serce młotem waliło — przykro mi się zrobiło... żal jakoś Bolci.

Nie — raz, to za mało, to jeszcze nie wyraźna wola Matki Boskiej, to nic nie znaczy. Trzeba przynajmniej dwa razy tę samą kartę wybrać, aby się przekonać wyraźnie, którą mi Królowa Nieba na pewno przeznacza.

Zwijam papierki — kładę je na powrót pod obraz — wyciągam:

„Bolesława Kiełdrzyńska!...

No, teraz co począć? — Jeszcze, do trzeciego razu.

Ewcia! —

Jeszcze, teraz decydujące...

Bolcia!

Jestem zupełnie głupi, ciemny — ba! stokroć ciemniejszy niż wczoraj. Mam jakiś nieokreślony żal do tego cichego obrazu Bożej Matki za tę... nie dość wyraźnie mi objawioną wolę... Przecież tak łatwo za Jej cudownem zrządzeniem, mogło

wypaść trzy razy, Ewcia, Ewcia, Ewcia, albo Bolcia, Bolcia, Bolcia. A teraz co?...

Cały dzień chodziłem jak struty, markotny na moją świętą opiekunkę, z ciężkiem sercem i duszą zmęczoną.

Mógłbym ostatecznie nie wziąć ani Bolci ani Ewci — poszukać innej, trzeciej dziewicy — ale cóż, jutro kończę 50 lat, wiele czasu do szukania i namysłu już nie mam, a tak godnych panien, jak właśnie te dwie, tak porządnie wychowanych, miłych w obejściu i łaskawych na mnie, to się nie co dzień spotyka...

Wieczorem wyszedłem trochę na ulicę, by odetchnąć świeżem powietrzem, ale przykrym myślom opędzić się nie mogłem. Jutro — 50 lat! Hm — hm — jeżeli się w tym roku nie ożenię, skończyło się! finis! zostanę starym kawalerem. Więc trzeba w tych dniach zdecydować się: Bolcia — albo Ewcia. Dla czego w tych dniach? najlepiej, dziś, zaraz... Lecz z którą? Rozstąp się ziemio — żebym wiedział, z którą?... Więc daję sobie słowo honoru, że z tą, którą dziś pierwszą spotkam...

Szedłem z głową podniesioną, jak rycerz do ataku — dumny i pewny siebie, gdy nagle — na skręcie ulicy, jakieś dwie postacie mignęły mi — dwa kapelusze — jeden z czerwonem, drugi z niebieskiem piórkiem — i o zgrozo! ujrzałem pannę Bolcię Kiełdrzyńską ! pannę Ewę Solinek, idące razem, ku mnie...

Obiedwie razem! masz tobie! przepadło wszystko! Ach jaki ten los niegodziwy, nie chce mi przyjść z pomocą, zmusza mnie do decyzyi wyboru!...

Panienki chichocąc zbliżyły się do mnie:

— A... pan Amandus! Jak się pan miewa?

I Ewcia:

— Bardzo niełądnie, że pan nie był wczoraj na herbatce u nas, tatko się na wszystkie strony dopytywał i posyłał po pana.

A Bolcia:

— Było wesoło — tylko nam pana brakowało... ogromnie...

A ja:

— Strasznie żałuję — nie mogłem, obowiązki — interesa.

A w duszy:

— Którą wybrać? Ewcia stanowczo ładniejsza w dzień... na mrozie, Bolci czerwienią się powieki i występują na twarz różne plamki. Ale figurkę ma pełniejszą Bolcia!

Tymczasem panny poczęły coś szeptać między sobą, uśmiechać się — spoglądać ku mnie znacząco.

— Nie wypada — mówiła Bolcia, — co innego gdyby był żonkosiem...

— E! może nim być z dnia na dzień.

— Ale co powie ciocia Klemenia?

— Nic — ucieszy się... jeśli hm... hm...

— Nad czem panie tak deliberują? czy wolno wiedzieć?

— Powiem panu.

Bolcia przytrzymuje ręką usta Ewci:

— Nie — nie!... nie mów.

— Powiem, powiem, widzi pan. Już się nie długo ściemniać zacznie... Bolcia obawia się iść sama do domu — a ja nie mogę jak zwykle jej towarzyszyć — muszę iść do pani doktorowej Papiernickiej przymierzyć jej suknią... a czyby pan nie mógł Bolci, tego... ten...

— Towarzyszyć pannie Bolci? Ależ jak najchętniej, służę pani — będę najszczęśliwszym człowiekiem.

Bolci wystąpiły na twarz dwa ogniste rumieńce i patrząc na mnie z wdzięcznością, rzekła:

— Ach jaki pan dobry!... dziękuję i przyjmuję... pod jego opieką niczego się lękać nie będę...

A Ewcia rzucając mi ciepłe spojrzenie powiedziała:

— Spieszyć się muszę — do widzenia z panem, jutro — przyjdź pan koniecznie, koniecznie...

Uścisnąłem podaną mi rączkę tak silnie, że Ewcia aż jękła i odparłem znacząco:

— Przyjdę na pewno — jutro — tymczasem ścielę się do nóżek matuchny — ojcuszkowi uszanowanie.

Ewcia coś jeszcze szepnęła na ucho Bolci — zdawało mi się jak gdyby był usłyszał słowo — „łap“ — i prędko znikła nam z oczu, a mnie żal po niej został w sercu i myślałem:

— Dalibóg, śliczna szelmuszka — teraz wiem

na pewno — Ewcia! Jutro oświadczę się o nią — raz tę komedyę małżeńską zakończę.

Na dworze wiatr ucichł, — tu i owdzie gwiazdka poczęła ukazywać się na niebie i mrugać, jak gdyby chciała mówić mi: „dobrze, dobrze...“ czas był stworzony do cichych marzeń i zwierzeń.

Ale Bolcia nie dała mi marzyć w milczeniu. Uwieszona u mego ramienia, przytulała się trwożnie ile razy minął nas jaki przechodzień i gawędziła.

— Budzę pana!

— W kolorze?

— Różowym.

— Kocham nad życie.

— Na prawdę, nad życie? Ej, nie wierzę!

— A kto taki?

— Nie powiem.

— Powiedz pani. Ciekawość mnie pali... nie będę miał spokoju, dopóki się nie dowiem.

— To już powiem. Ta osoba jest bardzo blisko pana.

— Bardzo blisko? W tej chwili...

— Tak.

Szliśmy chwilę w milczeniu, — słyszałem nieomal przyspieszone tętno serca Bolci — a i mnie coś waliło w skroniach, coś rozpierało pierś.

Może to miłość?... Przed chwilą wydawała mi się stokroć ponętniejszą Ewcia, — ale teraz, ta Bolcia, garnąca się do mnie tak szczerze, tak ochoczo, wydała mi się bardzo bliską, bardzo

kochaną. Właściwie nigdy tak z panną nie szedłem we dwoje, tuż przy sobie, ręka w rękę, przy świetle miesiąca... Westchnąłem.

Nie uszło to uwagi mej towarzyszki.

— Dla czego pan tak westchnął głęboko, panie Amandusie? Czy panu co jest? Czy kto panu dokuczył? Powiedz mi pan...

— Dla czego? Ot moja, pani złota, westchnąłem nad swoją ciężką dolą?

— Pan? pan? ciężką dolą? Pan, który ma młyny znane z swej świetności na całą okolicę, któremu ludzie zazdroszczą powodzenia... Wolne żarty!...

— Eh! nie o to idzie... Ja myślałem, że człowiek jednak bardzo jest biedny, gdy samotny wlecze taczkę żywota... Pieniądz to nic... to miły dodatek do życia — ale to jeszcze nie szczęście...

Czułem, że wstąpiliśmy na grunt niebezpieczny, że jeśli nie zawrócę, zanim dojdziemy do domu państwa Kiełdrzyńskich, oświadczę się Bolci... A nuż jutro żałować tego będę? Żałować Ewci? Właściwie, to Ewcia była ładniejszą i młodszą i tak niby więcej „coś od czegoś". Postać jej, w kapelusiku podniesionym wysoko nad czołem, zamajaczyła mi nagle, poczęła kusić urokiem.

Ale Bolcia nie dała mi namyślać się dłużej:

— Panie Amandusie, — mówiła miękkim, czułym głosem, — pan jesteś zanadto nieśmiały... Ja wiem, co panu do szczęścia potrzebne... i kto się panu podoba...

— Patrzcie! — pomyślałem, — czyżby spostrzegła, że Ewcia więcej...

— My kobiety, jednem spojrzeniem nieraz umiemy zajrzeć w głębią serc męskich i czytamy tak dobrze, co się w was dzieje. I powiem panu jedno słowo — odwagi! Nie trzeba zwlekać, nie namyślać się zbyt długo, korzystać z chwili danej.

Chciałem wtrącić:

— Ma pani racyą — jutro — jestem gotów iść do Solinków... ale coś mi zamykało usta...

A Bolcia przytulając się do mnie, szeptała:

— Taka chwila po raz drugi może nie wrócić... Nie spotkamy się może już nigdy, tak we dwoje... pod gwiaździstem niebem...

— Pan milczy? O Boże! Czyżbym się myliła? Czy oczy pana kłamały?

I nie wiem, co dalej mówiła Bolcia, i nie wiem, co jej właściwie odpowiedziałem, — tylko to pamiętam, że zanim doszliśmy do domu jej rodziców — już było wszystko załatwione, a tak mi się coś zdaje, że nie ja pierwszy dałem hasło, że potem Bolcia przedstawiła mnie jako swego narzeczonego, — że potem pan Kiełdrzyński niósł buteleczkę wina, jak miód słodkiego, a matka, która nam się w nocnym czepeczku i brudnym szlafroku ukazała, prawiła mi kazanie o ważności aktu, do którego się zabieramy, o szacunku, jakim winienem otaczać żonę, — o wierności małżeńskiej, której brać przykład powinienem z jej męża — anioła dobroci.

W końcu popłakaliśmy się wszyscy jak

bobry, przyczem spostrzegłem, że mojej Bolci oczy mocno się od łez zaogniły i nosek poczerwieniał, że jakby nagle postarzała i okropnie do matki była podobną, że w pokoju rozlegał się niemiły zapach — niby cebuli.

Ale już było za późno... za późno!...

Nazajutrz cały Gostyń wiedział, że jestem szczęśliwym narzeczonym panny Bolesławy Kiełdrzyńskiej, — co chwilę ktoś znajomy wpadał do mnie, winszował mi, zacierał ręce — ściskał...

Byłem jak oszołomiony, trochę nie zdrów — nie swój. — Chciałem się od natrętnych wizyt wykręcić, — ale w południe musiałem przejść przez plac i główne ulice, pod rękę z Bolcią, w towarzystwie matki — opiekunki, spotkać Ewcię, jak na złość prześlicznie wyglądającą, z dwuznacznym uśmiechem witającą przyjaciółkę, i zjeść wspólny obiad, zaprawiony na margarynie, w gościnnym domu rodziców narzeczonej.

O szóstej pan Kiełdrzyński, zabrał mnie, na śmierć zmęczonego, niewyspanego, bo mi Bolcia nie dała zdrzemnąć się po obiedzie, — do księdza proboszcza, aby dać na zapowiedzi!

Brrrrrrrrrr!! —

Kasia.

Obrazek z życia wiejskiego.

Kasi dłużyło się we dworze. Choć państwo byli dobrzy i sprawiedliwi, a służba ani ciężka ani przykra — choć dostawała raz po raz to markę to dwie marki od gości, a od dziedziczki co rok na Boże Narodzenie nową suknią, mimo tych miłych dodatków coś się rozprzęgło w życiu Kasi, coś ją w świat porywało, nie dając spokoju.

Mówiono, że Kasia urodziła się chyba z tą ciekawością, z tą chęcią zajrzenia, co się tam dzieje daleko, daleko, za górami, za lasami, bo od małości lubiła oddawać się jakimś chorobliwym marzeniom, niebezpiecznym myślom, za które w szkole łajał pan nauczyciel, gdy zamiast uważać, błądziła wzrokiem po zielonej łące, po smugach rozległych, które z okien szkolnej izby, dojrzeć było można. To samo działo się na nauce katechizmu, we dworze, w pokoju panienki, gdzie się trzy razy na tydzień, liczne grono dzieci zbierało.

Kasia, acz dosyć zdolna, rzadko zasłużyła na nagrodę, — rzadko dostała przysmaczek, który przynosiła panna Wandzia najpilniejszemu uczniowi lub uczennicy. Choć dziewczę potrafiło

wypowiedzieć na pamięć, bez zająknięcia, „istotne powinności chrześcijanina“, ba, nawet „ośm błogosławieństw“, gdy wzrok jej padł na obraz, wiszący nad biurkiem panienki, gdzie było namalowane duże ciemnobłękitne morze, z kołyszącą się na niem łodzią, — Kasi myśl wędrowała w dal, bawiła się, bujała po falach, nie zważając wcale na słowa panienki, tłomaczącej prawdy wiary świętej.

Czasem panna Wandzia pytała: Moje dzieci, czy zrozumiałyście, „co to jest cnota?“ albo, „co to jest pycha?“

— Powiedz ty, Kasiu.

Kasi odpowiedzi były wtedy niedorzeczne: „Cnota, to jest wielka kareta, a pycha, to jest jak mnie Antek do rowu wpycha“.

Albo innym razem panna Wandzia tłomaczyła długo uczniom, jak to się nie trzeba z byle czego pysznić — na przykład, jeśli jeden z nich jest w tem szczęśliwem położeniu, że ma ładniejsze ubranie lub kapelusz, nie powinien się z tego wynosić, pysznić, bo to nie jego zasługa, tylko dar Boski. Nazajutrz przy grzechach głównych, gdy znów była mowa o próżności, o fałszywej dumie, Kasia zapytana, kto grzeszy pychą, — odpowiedziała: „ten który ma kapelusz“.

Cała klasa w śmiech, — ale panna Wandzia, choć jej się zrazu trochę kąciki ust podniosły, zasmuciła się na dobre, widząc, że wszystkie starania, poczynione w celu rozwinięcia umysłu Kasi, rozbijały się o jej straszną nieuwagę.

— Ej Kasiu! Kasiu, — mówiła, — źle z tobą! Ty nic nie uważasz! Zobaczysz, że cię ksiądz proboszcz odstawi aż do przyszłego roku i nie przyjmie do Spowiedzi świętej".

I zwracając się do całej klasy, rzekła:

— Bardzo się cieszę, moje dzieci, że umiecie już dobrze na pamięć mały katechizm — lecz najwięcej zależy mi na tem, abyście rozumiały to, czego was uczę — i dla tego zapowiadam wam, kto raz jeszcze odpowie niedorzeczność, grzechy główne pomiesza z cnotami, a cnotę z karetą, ten nie będzie zaproszony w niedzielę do lasku!

Do lasu!! — Teraz Kasi zrobiło się gorąco i całą uwagę skupiła, by głupstwa nie powiedzieć, bo nad wszystkie przyjemności przekładała ona niedzielną przechadzkę do lasu, dokąd najpilniejszych uczniów panienka zabierała z sobą, aby tam ich uczyć śpiewać ślicznych ojczystych piosenek. I gdy zielone brzózki drżały echem dziarskich krakowiaków lub rzewnych polskich dumek, Kasia, w oddali słuchająca pieśni, wyrywała się duszą całą do tego rozśpiewanego boru, płacząc z żalu, gdy jej panienka zabrać z sobą nie chciała. O, bo Kasia lubiła nad wyraz muzykę i piosnki! W jej dziwnej główce wciąż grały jakieś melodye podsłuchane, bądź w kościele, bądź na polu, lub w pałacu i grały tam, grały, to słodko i rzewnie, to hucznie i porywająco. Sama głos miała gdyby dzwonek i lubiła pośpiewywać sobie, czy jej wesoło, czy smutno

było na duszy. Wszyscy we wsi wiedzieli, że Kasia sierota przepadała za muzyką, a organista, posłyszawszy ją w kościele, obiecał, że weźmie ją do chóru dziewcząt, gdy podrośnie.

Dzisiaj choć Kasia była już dużą dziewuchą, i od dwóch lat służyła we dworze, jako pomocnica kucharza — jeszcze to jej upodobanie do muzyki, sprowadzało na nią raz po raz słuszne nagany dziedziczki; — bo gdy słyszała, że grają u owczarzów, nie mogąc oprzeć się pokusie, rzuciła robotę, biegła do ogrodu, by choć z oddalenia napawać się dźwiękami skrzypiec, owczarkowego syna. Zocha służąca także we dworze, jako pokojówka, starsza kilka lat od Kasi, rozpowiadała, że tam co innego pociągało Kasię, — że ten syn owczarzów, rudy Jędrek, ładny chłopak, zawołany tancerz, chłop rosły a zdatny do pługa, w sercu Kasi głęboko się zapisał!... Ale któż się kiedy dowie, co się w dziewczęcych sercach dzieje!... Byłyż to rude wąsiki Jędrka, byłoż to jego granie, co się podobało Kasi, nikomu się nie zwierzyła; — lubiła śpiewki muzykę i tyla! — To pewno, że dłużyło jej się we dworze, a dłużyło zwłaszcza, od czasu, gdy owczarzowy Jędrek w świat wywędrował do wojska, i nie miał wrócić jak za dwa lata. Nie było już słychać wieczorem dźwięków jego skrzypeczków, czasem tak ucieszných tak skocznych, że same nogi drgały do tupania i wywijania, że nawet czerwona Kordzina, choć jej się na sześćdziesiąty rok obróciło,

musiała w takt podskakiwać, gdy niosąc żer dla gulątek, słyszała Jędrkową muzykę, a stary Krzek, co łaskawy chleb miał we dworze, brał się pod boki ze śmiechu, siny nos wycierał i chropowatym głosem wtórował: „Hu, ha! dana dana!“

Wszystko to ucichło. Przyszła zima smutna i ponura. Drzewa w parku opadły z liści, biały śnieg rankiem przysypywał ziemię i trawniki, smutek wędrował po świecie i zajrzał też do duszy Kasinej. Przestała chichotać się z byle czego, jak to było u niej po zwyczaju — przestała pośpiewywać sobie — jakieś brały ją tęsknoty, ni to robota szła ochoczo, ni to pacierzy odmawiać się chciało.

Dziedziczka Załuszczyc lubiła ją bardzo, raz, że to matka nieboszczka Kasi, długoletnią i wierną sługą była u państwa Załuszczyńskich, powtóre, że Kasia, od dziecka chowana w oficynie dworskiej, miała układne wzięcie, do wszystkiego zdatność nie lada, nauczyła się w mig gotować i dzielnie wyręczyła kucharza, gdy ten szedł na polowanie, lub gdy się dużo gości zjechało do Załuszczyc.

To też szybko spostrzegła dziedziczka, że Kasi czegoś niedostawało i gdy dziewczyna przyszła wybierać mydło do prania ścierek, spytała ją:

— Powiedz mi Kasiu, co tobie jest? Od pewnego czasu widzę dziwną jakąś zmianę u ciebie; — blada jesteś, oczy spuszczasz ku

ziemi, jak gdyby ci co ciążyło na sumieniu. Powiedz mi otwarcie prawdę, — może potrafię zaradzić złemu.

Ale Kasia nie śmiała prawdy powiedzieć — oj nie! Oto od tygodni wielu, ktoś jej raił wyjazd za granicę, — obiecywał złote góry, wysoką płacę, wolne świątki i niedziele, istny raj na ziemi. I w duszy Kasinej walczyły dwa prądy, ścierały się dwa uczucia, wywołując w niej zamęt okropny. — Żal jej było opuszczać swoich, zacnych i dobrych państwa, i tę niską chałupkę chrzestnych, gdzie się wychowywała od dziecka i ten lasek brzozowy, gdzie szukała grzybów, w głos pośpiewując, i tę panienkę Wandzię, która ją nauczyła czytać na książce — ach! i pola i wzgórza zielone, kędy Jędrek, syn owczarzów, pasąc owce przygrywał na fujarce. — A z drugiej strony — nęcił świat daleki, paliła wprost ciekawość, jak to tam jest, w tym obcym kraju, gdzie ludzie myślą i mówią inaczej, — uśmiechała się do niej podróż koleją, w wesołem towarzystwie rówieśników, i drobne przygody podróżne i zapowiadany świetny a łatwy zarobek! A w innej chwili znów strach ją brał przed tą nieznaną przyszłością, — przypominały się słowa księdza proboszcza, gdy z ambony przedstawiał w dosadnych a strasznych kolorach, na co bywają narażone dziewczęta na oślep, w świat lecące za groszem! I wracając z kościoła Kasia mówiła sobie: Ej! nie pojadę w Saksy ni do Westfalii! grzech byłby narażać duszę. Wiem co tutaj mam, a nie wiem

jako tam będzie. Lepszy chleb razowy u swego, niż placek z rodzenkami u obcego. I Kasia brała się do roboty ochoczo, chcąc odpędzić pokusy podróżnicze. Ale zły duch nie zasypiał — czekał sposobności by na serce dziewczęcia zarzucić nową wędkę.

W Herdeke, w Westfalii, mieszkał wuj Kasi. Dawno wyniósł się był z Wielkopolski, a choć miał grosza sporo i mało kłopotu na głowie, nigdy się o los krewniaczki nie troszczył, ani nie dopytywał, jak jej się powodzi. Teraz, gdy drugą córkę był wydał za mąż, gdy po śmierci żony, został sam na świecie i w domu potrzeba było gospodyni, przypomniał sobie o sierocie.

A że ci, co z Załuszczowskich dóbr przywędrowali, mówili, że Kasia pięknie wyrosła, że umie prać i warzyć, że czytania i pisania uczona, że przyodziewek ma przystojny i nawet bogaty, pan Johann Durek zapragnął koniecznie wyzyskać na swoją korzyść te przymioty dziewczęcia i list za listem słał do Kasi, aby co prędzej do Herdeke przybywała, gdzie za nią tęskni rodzony z najrodzeńszych wujów i do serca swego pragnie ją przycisnąć.

Gdy Kasia pokazała list chrzestnej matce, ta aż się za głowę chwyciła.

— Dziewczyno, co ty masz za szczęście! Ady pamiętam Jana Durka jako młodego chłopaka. Grosza miał zawsze pełną kiesę i wielki był mądrala! Gadano, że i z żoną przygarnął moc talarów. Toż ciebie tam fajniste życie czeka

i pewnikiem swaty i wesele. Nie pytaj się nikogo, dziewucho, — jeno w świat dymaj pręciuchno.

Tak mówiła chrzestna Kasi, kobieta poczciwa lecz nieco ograniczona, w dobrej wierze, iż sierotę czeka los wielki, szczęście niespodziane. Ale chrzestny, inaczej się na tę całą sprawę zapatrywał. Człek to był stateczny i prawy, zwłaszcza Polak dobry, i niechętnem okiem patrzał na to, jak dzieci rodzoną matkę opuszczały i w świat uchodziły. On pamiętał jeszcze te dawne czasy, gdy w każdej chałupie moc dziecisków było i dla wszystkich starczyło mleka i chleba, tudzież zarobku. Pamiętał, gdy dziadek jego, otoczony wnukami szedł ze świtaniem w pole, każdemu wskazywał robotę, jak do zachodu słońca za pługiem chodzili, patrząc z lubością na przewracające się skiby i pachniącą ziemię! Potem zasie, gdy wracano hurmem z pola do domu, — jakież to były przyśpiewki, jakie wesele i śmiech między młodzieżą! Dudniły wózki, ryczało bydełko, gadały coś po swojemu gąsięta pędzone przez najmłodsze z dzieci i całe Załuszczyce trzęsły się od wiwatów i trzaskań biczysków. Było na co patrzeć, czem ducha uradować. Teraz praca na roli u wielu poszła w pogardę, — wmawiają w chłopa, że po za krajem, w fabrykach i miastach ma roboty mało a zysk wielki, — przewracają w głowach dziewczętom — lud karłowacieje w obcem powietrzu, bo mu brak słońca, powietrza, szerokich pól i lasów, a ziemia marnieje, z braku zdrowego, silnego robotnika.

To wszystko rozpamiętywał z bólem serca, chrzestny Kasi, stary Dudziak, i bardzo był przeciwny, aby dziewczyna opuszczała Załuszczyce, gdzie była lubioną we dworze, dobrze płatną i dobrą opieką otoczona, a leciała gdzieś, w obce strony, do krewnego wprawdzie, ale który nie miał dla niej serca, a w dodatku za młodu, słynął ze złych obyczajów. Dziś był starszy, mógł się z dawnych grzechów poprawić, to się jednak Dudziakowi nie podobało, że Jan Durek ożenił się z cudzoziemką, nigdy do swoich nie zatęsknił i dzieci w obcych wychował obyczajach.

— Jeśli mnie się będziesz pytać, dziewucho, — mówił do Kasi, — ja ci radzę, trzymaj ty się wszystkiemi siłami dworu i dziedziczki — mądra i zacna pani jest, że lepszej na świecie nie znajdziesz — doczekasz się męża, to ci i wesele wyprawi i pierza nie poskąpi i w gospodarstwie poratuje. Jeno wiernie służ, niech ci się w świat, do wuja, nie cni i pieczonych gołąbków nie zachciewa. Tuś się urodziła, tu pracuj z Bogiem, a wszystko się wedle twego dobra urządzi.

Kasia była dobrem dziewczęciem i łatwo można było przemówić do jej serca i rozsądku, ale z drugiej strony wyobraźnia jej zapalała się szybko, i również nie trudno było przeciwdziałać w wręcz odmiennym kierunku.

Korzystali z łatwowierności dziewczyny fałszywi przyjaciele, — samolub, który chciał na swoją korzyść wyzyskać umiejętność Kasi — i choć odpisała odmownie, nie dał za wygraną,

lecz słał do niej, coraz to innych posłańców, którzy mieli dziewczynę do wyjazdu nakłonić.

I znowu Kasia walczyła z sobą, niepewna, co począć.

Zdarzyło się, że w tym czasie zjechało się dużo gości do Załuszczyc; trzeba było ciasta, placki, bułeczki piec, drób oskubać, jarzyny z ogrodu znosić, a kucharz, mający sporo do roboty, marudził, złościł się, wyzywał pomocnice, a najwięcej Kasię, że to nie dosyć szybko idzie jej robota, że jest zaspana czy zamyślona, że naskarży dziedziczce, iż z Kasi nie ma pociechy. Dziewczyna, w innym czasie nie byłaby brała do serca gadania kuchty, wiedziała dobrze, że ją lubił, że był z niej zadowolony i często powtarzał: — Gdybym nie miał żony, Kasiu, ożeniłbym się z tobą, boś jest porządna dziewucha, nie pyskata, do roboty zdatna.

Ale zły duch skorzystał z tej chwili, aby Kasi podszepnąć:

— Masz ty rozum dłużej wysłuchiwać przezwisk złego humoru kucharza? Czy nie ma to gdzieindziej lepszej, wygodniejszej służby? Świat szeroki i daleki — bez harowania w pracy, przy ciągłym ogniu, będziesz miała i groszy więcej i swobody więcej. Głupia byłabyś siedzieć na jednem miejscu! Od czego młodość? Kasia zastanowiła się głęboko, — różne myśli ją napadły — i tej nocy nie wiele co spać mogła. Nazajutrz było znowu roboty dużo, zajmowanie we dworze, ostre przycinki kucharza, a pod wieczór, kazano

jej biedz do szewca na wieś, po trzewiki panny Agaty, zaufanej klucznicy, przytem stary Krzek wsunął trzy grosze, by wstąpiła do karczmy i przyniosła mu likieru.

Kasia szła markotna i nadąsana, bo jej głowa ciążyła i w krzyżach trochę łamało, a tu jeszcze przed wieczorem trzeba było statki pomyć, rądle wyszorować, kuchnią do ładu przyprowadzić, bo kucharz był wymagającym co do czystości i wielkiego porządku przestrzegał. Nie miała więc dużo czasu do zabawiania się z chrzestną, do której też na momencik wstąpiła i chciała wpaść tylko do gościńca — by dla starego Krzeka wódkę kupić. Ale tu zastała liczne grono ludzi, dużo znajomych, a między innemi jednego, który, dowiedziawszy się co za jedna, przypominał jej, że jest mężem Rozalki, przyjaciółki Kasi, że mieszka razem z jej wujem w Herdeke, że właśnie wybierał się do dworu, aby z Kasią pomówić, od wuja wręczyć upominek i do wędrówki w świat namówić.

Kilku innych mężczyzn i dziewuch otoczyło kołem Kasię, śmiano się, częstowano, pytano:

— Hej Kasiu, widzi nam się, gadałaś, że z wiosną radabyć wędrować z nami. Wybierz się dziewucho! Obaczysz, jak tam inaczej we świecie! Co tu będziesz gniła dalej w marnej służbie, urodna jesteś, to i chłopa najdziesz porządnego, a tu sierotę kto weźmie? My wszyscy ruszamy, Jagula Nowakówna, Tereska Szczypiorek, Antek Brzezak i Kaziu Ferenc! Jedź z nami!

Kasia oszołomiona rosnącym gwarem w karczmie, chciała uciec, ale jej nie dano, więc się przysiadła do dziewczyn i niby broniła, ale już coraz słabiej, bo ją nęcić począł wyjazd w inne strony, życie odmienne, wesołe towarzystwo.

— Kiedy Jagula Nowakówna, Teresa Szczypiorek w świat jadą, dla czegożbym ja bała się puścić z niemi — myślała — coby miało się mnie złego przytrafić, kiedy się z niemi trzymać będę, a do wuja wcale nie pójdę.

I poczęła wypytywać, kiedy jadą? jak wygląda to „obskie“ miasto, do którego ciągną? Czy tam aby jest ksiądz i w pobliżu kościół katolicki? A choć na to ostatnie pytanie nie bardzo jasno i wyraźnie odpowiadano jej, wszyscy poczęli wychwalać życie w Westfalii, a ów znajomy wuja, tak przemawiać i dogadywać, że ani się spostrzegła, jak ją dostali niby swoją, na listę wyjezdnych, i jak przyrzekła, że razem z całą kompanią wyruszy na wiosnę do Herdeke.

Zaraz nazajutrz, a było to krótko po nowym roku, poszła do dziedziczki po terminatkę i rada nie rada zmuszoną była wyspowiadać przed panią, że zamierza razem z innemi jechać w obcą służbę. Pani Załuszczyńska bardzo się zasmuciła tem postanowieniem Kasi.

— Szkoda cię, Kasiu, — powtarzała, — szkoda wielka! Zmarnujesz się tam! młoda jesteś i niedoświadczona, nie wiesz na jakie narażasz się pokusy, całe dni w towarzystwie młodych zepsutych chłopców i dziewczyn spędzać! Czy ci to

u nas źle, Kasiu? Czy masz jaką krzywdę w mojej służbie? Nieboszczka matka tyle lat spędziła w Załuszczycach i była szczęśliwą, zadowoloną. Za żadne skarby w świecie nie byłaby chciała stąd odejść — a ty, z tak lekkiem sercem chcesz nas opuścić?

Oj, nie z lekkiem sercem wysłuchała Kasia słów dziedziczki, ciężar wielki położył jej się na pierś i dławił ją, ściskał za gardło, łzy cisnęły się do oczu, a jednak raz powziętego zamiaru zmieniać nie chciała.

Prędko się też rozniosło po wsi, że Kasia wzięła terminatkę, i z wiosną chce wędrować do Westfalii. I niejeden dziwował się temu, bo wiedziano, jak Kasię kochano we dworze, jak była całe życie przykładną, na grosz nie chciwą i pustot nie lubiącą — a najwięcej dziwiono się w samym dworze, gdzie trzeba było poszukać zastępczyni Kasi.

Pani Załuszczyńska nie chciała brać do swej służby pierwszą z brzegu dziewczynę, więc upatrzyła sobie Antosię, córkę owczarza, człeka zaufanego, który 25 lat już służył w Załuszczycach i miał wielki mir na wsi. Gdy owczarz stanął przed panią, rzekła do niego:

— Mój drogi, słyszeliście pewnie, że Kasia nas opuszcza; — szukam w jej miejsce dziewczyny i przyszło mi na myśl, że wasza Antosia bardzo byłaby odpowiednią. Co mówicie na to? Mam nadzieję, że ona przynajmniej nie wywędruje

w świat? Cóż? Toż to, jak słyszę, prawdziwa zaraza padła na dziewczęta.

Owczarz aż poczerwieniał z oburzenia.

— Dałbym ja jej wędrówkę w świat! Niech sobie inne lecą na złamanie karku, gdzie pieprz rośnie. Ja mojej Antce nie pozwolę się barłożyć. Nie na to córkę mam, abym jej dał zmarnować się, tu się urodziła, tu niech pracuje przy ojcach.

— Słusznie, słusznie mówicie owczarzu i zobaczycie, pobłogosławi wam na dzieciach i wnukach sam Pan Bóg, który swój kraj kochać nauczał. Jakże tu ma się dziać dobrze u nas, kiedy najlepsze siły, młode, zdrowe ręce do pracy rzucają własną glebę, by na cudzej roli lub w fabrykach obcych dorabiać się chleba!

— Racya, racya, jaśnie pani, i mnie się tak widzi. Człowiek się zestarzał tu, zęby zjadł w pracy i dobrze mu było w Załuszczycach, grosza się dorobił i ma czem dzieci wyposażyć, — a dziś, to jeno każdy się ogląda za łatwym dorobkiem i zbytkiem. Młodym duszno w ojcowej chałupie, szerokiego świata im się zachciewa, już się z nimi i dorozumieć trudno... U mnie, dziękować Bogu, jeszcze nie zgorzej; Jędrek ma respekt dla starych i Antka posłuszna dziewucha.

— Jeśli wam to po myśli, dajcie mi Antkę do dworu — w miejsce Kasi. Wiecie dobrze, moi ludzie przykładni i sumienni, włos z głowy jej nie spadnie.

— Z największą chęcią jaśnie państwu dam Antkę — niech się warzyć nauczy — to jej się

przyda. Aleć, z przeproszeniem jaśnie pani, śmiem dorzucić jedno słówko, mnie dziwota, że to Kasia opuszcza dwór — taka porządna dziewczyna, nie letkiewicz . . .

Twarz dziedziczki powlokła się smutkiem.

— Tak, dobra, porządna dziewczyna! Szczerze mi żal puszczać ją w świat — dałabym nie wiem co, aby ją zatrzymać. Lecz cóż robić? gwałtu użyć nie mogę, skoro iść chce.

Owczarz uśmiechnął się i zniżając głos, poufnie:

— Z przeproszeniem — wiedziałbym, proszę jaśnie pani, jak ją zatrzymać. Gdyby jeno mój Jędrek tu był . . .

— Jędrek? wasz syn, wszakże on w wojsku służy?

— Onego już w wojsku nie ma. Jest na Marysinie.

— W Marysinie? — od kiedy? a cóż mu się stało?

— Koń go gierą kopnął — z przeproszeniem jaśnie pani — potrzaskał mu kolano. Leżał nieborak kilka niedziel w lazarecie niemieckim, zaś wzięli go napowrót, ale że mu noga cięgiem dolegała, więc dostał urlop. Ja zaś wyprawiłem go na Marysin, druga niedziela jak tam jest u braciszków, ma mu się ku dobremu, choć jeszcze kuleje.

— No, to się może niebawem tu zjawi — i cóż on, chciałby się z Kasią żenić?

— Jeszcze o żeniaczce nic nam nie gadał, ale

wiem pewnikiem, że dziewczyna ginie za nim, a on za nią.

— Taak? Nic nie wiedziałam o tem. Dobry gust ma Kasia, wasz Jędrek i do roboty i do zabawy.

— A no, chwalić Pana Boga, udał mi się. Zaś Kasi, mówię, spodobał się wedle tego grajania. Bo to, z przeproszeniem jaśnie pani, chłopak instrument z byle czego sporządzi i jak weń dmuchać pocznie a palcami przebierać, to taka muzyka idzie z niego, trąby jakieś czy basy czy piszczałki, że mnie samemu stare nogi drgają do tańca i gotowi braciszkowie na Marysinie habit podkasać i skocznego wywinąć.

Pani się serdecznie rozśmiała.

— No widzicie, jakiego to muzyka macie w rodzie! Przypominam sobie teraz, — wspominała mi o tym talencie waszego syna moja Wandzia.

— O, panna Wandzia to nawet raz rzekła Jędrkowi, że na jej weselu będzie musiał grajać.

— Bardzo dobrze — niech się tymczasem chłopiec wyleczy. Cóż on, czy też chciałby ciągnąć w świat?

— Jakoś się broni dotąd — i zawsze mu gadam, że tam raju nie ma. Nie na tom go wychował, nie chwaląc się, z przeproszeniem jaśnie pani, sam pomagałem na książce uczyć, aby zaś się przed panną Wandzią nie powstydził — nie na tom polską wiarę w sercu nosić uczył, od obskiej ziemi i obyczajów bronił, aby zaś po tem

miał rzucić kąt własny. Tu mu kawał gruntu dam — niech ziemię-matkę obsługuje, jak to wszyscy moi familianci, z dziada, pradziada robili.

Dziedziczka położyła serdecznie rękę na ramieniu owczarza i z rozjaśnioną twarzą mówiła:

— Dzielny, zacny, kochany z was człowiek, mój Frąckowiaku! Gdyby takich ojców było więcej, nie kurczyłaby się w bólu i opuszczeniu nasza ojcowizna. Ale niestety! i ci najlepsi, nie mogą oprzeć się pokusie zarobkowania na obczyźnie, i gotowi są niejedno podeptać, byle się majątku dorobić. Rzecz prosta, że każdy chce i chcieć powinien przysparzać grosza dla swoich, lecz się to dziać powinno w godziwy sposób, a nie z lekceważeniem praw i przepisów Boskich, — nie z uszczerbkiem dla duszy. — Ale my tu gawędzimy, mój miły Frąckowiaku, a czas leci. Więc żegnam was, zostańcie z Bogiem. Jak będę w Marysinie, odwiedzę Jędrka. A może, może, — uśmiechnęła się, — on przed wiosną wróci do Załuszczyc?

* * *

Dzień dwunastego marca, był to dzień wyznaczony na wyjazd dziewczyn i parobków do Westfalii.

Słońce od początku tygodnia przyświecało cudnie i w Załuszczycach wszystko poczęło budzić się do życia, jak to bywa z wiosną każdą, gdy ziemia po długim wypoczynku zrzuca z siebie biały płaszcz śniegu i poczyna błyskać tu

i owdzie zieloną barwą nadziei. Na drzewach, w parku dwór otaczających, już się ukazywały drobniutkie zawiązki listków, wietrzyk igrał po nich, pieścił je, muskał ciepłem tchnieniem, zwłaszcza w południe, gdy słońce przygrzewać mocniej poczęło, w złocistem świetle, cała przyroda stała, jako młoda oblubienica idąca na gody. Odzywały się też skowronkowe trele, klekot bociana, a czasem poryk bydła powracającego do obory, lub gwizdka fornali rozwożących gnój na polu. Wszędzie wrzało gwarem, swobodą i jakaś słodka uciecha łechtała serca mieszkańców Załuszczyc, patrzących na to budzenie się ziemi do życia, do słońca, do wiosennych godów.

Tylko Kasię idącą od wsi ku dworowi, na przekór tej ogólnej wesołości, chwytała za serce tęsknica wielka! Ot, niezadługo, za dni parę, przyjdzie jej opuścić te miłe strony, tę ukochaną chatę, gdzie tyle lat spędziła w szczęściu i spokoju! I lęk ją brał, co ją tam czeka, daleko — daleko — za sinym pasem borów, gdzie mówiono, była ta Westfalia! Inni cieszyli się do wymarszu — Jagula Nowakówna, Tereska Szczypiorek, szyły sobie istną wyprawę i były dobrej myśli, chłopcy obiecywali sobie złote góry, trochę pracy, trochę harania, a dużo, dużo monety. A Kasię, którą dawniej tak porywał i ciekawił świat nieznany, teraz strachem przejmował. Nie pokazała jednak nikomu, co się w sercu działo. Wstyd jej było zmiany uczuć. Jaśnie pani i panienka Wandzia z pewnością, widząc chwiejność,

byłyby namawiały do zostania, ale na wsi, wyśmianoby jej lęk i dziwne obawy. I czyż to honornie, cofać się bez powodu?

Bez powodu? A może znalazł się i wielki. Gadano, że na Marysinie uznał doktor, że Jędrek do służby wojskowej już nie zdatny, i że na mocy poświadczenia doktora dostał zwolnienie. Widziała go Marysia Grzelczakówna, co za pokojówkę służyła u pani komisarzowej na Piaskach, jak w niedzielę słuchał pobożnie Mszy św. w klasztorze, a choć był wymizerowany i jeszcze słaby, już doktór obiecywał go niedłużko wypuścić do domu. Kasi się serce ściskało na myśl, że może to prawda, że niebawem Jędrek wróci, gdy ona będzie daleko! Nie śmiała pytać owczarzów, bo jej wstyd dziewiczy zamykał usta, a zresztą, na cóż by się to zdało, dziś, gdy już wszystko gotowe do drogi, gdy niebawem wybije godzina wspólnego wymarszu...

Więc smutek Kasi rósł a rósł, na przekór cudnemu wiosennemu słońcu, które rozsiewało swobodę, budziło myśli weselne, gorączkę w żyły zaszczepiało! Nie mogła bez zaparcia oddechu słyszeć pędu kolei, lecącej sześć razy dziennie przez stacyę Załuszczyńską, bo ten przeciągły świst był smutnym sygnałem pożegnania.

Dwa ostatnie dni minęły. Kasia już wszystko miała przygotowane do drogi — w skrzynce schludnie poskładane spódnice i barwne sznurówki, z których jedna aksamitna czerwona obszyta bogato galonami, ostatni prezent dany jej przez

pannę Wandzię — w dużym miechu starannie zaszytą pościel i to wszystko chrzestny obiecał zawieść na dworzec i wysłać frachtem. Kasi pozostawał tylko mały tłomoczek, który chciała mieć przy sobie. Nazajutrz miano wyjechać o godzinie 6 z rana, na Jarocin, Berlin do Westfalii.

Ranek był śliczny. Wiatr zachodni, który całą noc dmuchał, przycichł zupełnie i żadna gałązka nie poruszała się na drzewach, nagich jeszcze, nie umajonych zielenią, ale już pachniących wiosną. Kasia wstawszy ze świtem, ubrana po podróżnemu, wracała z kuchni, gdzie kawę ranną wypiła i szła wolniutko, wolniutko w koło dworu, aż i przystanęła na schodach, rozmyślając smutno. „Za godzinę — już mnie tu nie będzie!“ — Spojrzała w niebo, ciche było, jasne, spokojne, więc szepnęła do siebie, jakby na pociechę:

— Bóg dał ładną pogodę. Przecie żem też nic złego nie zrobiła, to i Matka Boska mnie nie opuści. Wszak i tam mogę być uczciwą; tyla ich poszło i wróciło bez hańby i bez nijakiego wstydu. Zocha i Jula Borelaczki wyśmiały mnie zawczora, gdym im zawierzyła, co to mi nijako po sercu, wyjechać. „Głupiaś! gadały, tam ci będzie lepiej i za się pierścionek rychlej ci się nadarzy niż tu“. — Westchnęła. Kiej mnie się nie cni do pierścionka. Co mi tam! Jeszcze by mi się mógł przytrafić pijak albo zły człowiek!... W panieństwie ostanę lepiej. — A gdyby tak Jędrek wrócił... — coś jej szepnęło — i obrączkę dał?... cobyś na to rzekła?...

...Kasia wstawszy ze świtem, ubrana po podróżnemu, wracała z kuchni, gdzie kawę ranną wypiła i szła wolniutko, wolniutko w koło dworu (str. 128).

(Pow. dla ludu)

I jakby w odpowiedzi na to pytanie, które jej lica krwią zabarwiło, w ciszy rannej odezwały się nagle tony skrzypeczków, lekkie, rzewne, smętku pełne. Kasia stanęła niby wryta, rękami przycisnęła serce, które poczęło bić mocno, mocno, jak gdyby chciało wyskoczyć z piersi. — O la Boga! co to jest? co to jest? Nikt tak grać nie umiał — nikt w Załuszczycach i na całą okolicę!... To były skrzypce Jędrkowe! — Poznałaby je i na końcu świata, bo zrosła z niemi od dziecka! Tylko dziś te dźwięki nie były skoczne ni ucieszne, jak zawdy bywało dawniej, — ale takie jakieś przeciągłe, takie żałośliwe, kiejby na ostatnie pożegnanie...

Kasi łzy stanęły w oczach. Za chwilę ma wyjechać — już tam pewnie, koło domu ogrodnika, nad stawem, zebrali się do drogi Jagula Nowakówna, Tereska Szczypiorek, Antek Brzezak i Kaziu Ferenc, czekają za nią, dziwują się, że nie nadchodzi. Więc iść musi. Iść i nie zobaczyć Jędrka przez długie, długie miesiące. O Jezu! gorąco jej się robi — bo pewnikiem, on biedny, pewnikiem kuleje. Mówiono, że ma złą nogę. Wedle tego tak żałośnie gra... wedle tego i... kto go tam wie! a może i wedle tego, że Kasia w świat wędruje! O Jezu, Jezu! gdybyż już chciał przestać. Dziewczyna nie może dłużej słuchać tego grania. Pierwszy raz w życiu nie może, — aż uszy zatyka...

Ale skrzypeczki Jędrka nie cichną... zdają się bliższe... bliższe... Lecą tony coraz smęt-

niejsze, coraz rzewniejsze, lecą prosto, prościutko do serca Kasinego, obejmują je, pieszczą, trzymają mocno, mocno i zdają się szeptać coś, prosić...

I nagle głos smutny a miły podnosi się w ciszy rannej.

Nie odchódź Kasieńko — nie odchódź, kochanie!
Bo mi się po tobie ostanie płakanie....
Bo mi cię zabiorą dla inszego kmiotka,
A mnie świat bez ciebie, kiej ogród przez kwiotka.

Kasi łzy gęste spadają z oczu. Chciałaby uciec, nie słuchać tych słów słodkich a kuszących, które wraz z muzyką przypłynęły do niej... Lecz nie może, nie może się ruszyć z miejsca ani kroku postąpić.

A to już czas ostatni do wyjazdu, już dudni wózek od wsi zabierający młodzież w świat ruszającą. Co pomyślą o niej! Miała się spotkać z nimi nad stawem, zabrać do dworca i razem powędrować. Cóż kiedy coś się z nią zrobiło dziwnego. Stoi jak wrośnięta w ziemię... tylko serce wali i wali, wzrok zaś szuka, czy tam za drzew gęstwiną parku nie zobaczy miłego śpiewaka.

A w ciszy ranej głos płynie po rosie:

Nie odchódź Kasieńko, nie odchódź kochanie,
I cóż mi przez ciebie, na ziemi ostanie?
Jeno żałość sroga, jeno wielkie trwogi,
Żeś ty na obczyźnie, weszła na złe drogi.
Że mi cię dziewczyno, chłopaki zepsuły
I twoją duszyczkę docna tam zatruły,
Że ci już wianuszka z myrty nie uwiją
Ani ci spencerka doma nie uszyją.

Nie odchódź Kasieńko, nie odchódź kochanie,
I cóż mi przez ciebie, na ziemi ostanie?

Kasia rzuciła tłomok podróżny na ziemię. Już łzy z jej oczu nie płyną, znikła wszelka niepewność, żałość i wahanie. Ona już wie teraz, że w świat nie pojedzie! Ani dziś, ani jutro, za żadne skarby nie pojedzie. Urzekła ją muzyka Jędrkowa, muzyka; ... i te słowa, które pewnikiem on sam ułożył dla niej, zabrały jej duszę. Niech sobie odjeżdżają inne dziewuchy i chłopaki, ona zostanie w Załuszczycach, gdzie bije dla niej serce wierne i poczciwe.

Idzie cichutko za głosem Jędrka, mija aleje parku, grotę bluszczem porosłą, gdzie w jasnem słońcu szron połyskuje i bieli się, skrada się po maleńku za kępę wiecznie zielonych świerków, skąd płyną słowa serdeczne. Tam oparty o drzewo, stoi syn owczarzów, ale nie ten dawniejszy Jędrek, chwacki młodzian, tylko chłop blady, wyniszczony długą chorobą.

Kasia posmutniała na ten widok i wzruszona woła:

— Jędrek! to ty? — o Jędrek!

I zaraz chcąc rozpędzić przygnębienie chłopca, mówi:

— Nie bądź markotny, Jędrek, nie odejdę już w świat. Nie chcę ja twej żałości. Ostanę przy tobie, skorom ci jest miłą.

On ją w pół obejmuje i do serca przyciska.

— Kasiu! Kasieńko, szepce, więc ostałaś dla

mnie... dla mnie. Więc cię mój głos doszedł w porę i od wędrówki odmyślił!

A ona:

— Ty żeś ułożył tę śpiewkę dla mnie, — Jędrusiu, — jakożem mogła się jej oprzeć — kiedyś tak serdecznie prosił? A czemużeś pierw nie dał orędzia, kiej do dom wróciłeś?

On smutno spojrzał na dziewczynę.

— Nie mogłem, Kasiu. — Chorzałem długo i anim sam nie wiedział, czy jeszcze w życiu będę zdatny do roboty, czy ze mnie nie stanie się kaleka i dziewczynom wstrętliwy. Mało wiela byliby mi odcięli nogę.

Kasia aż wzdrygnęła się z przerażenia, ale zaraz dodała:

— A czyś to nie wiedział, że mam serce dla ciebie, że i kulawego miłować bym nie przestała?

On ją silniej do piersi przycisnął, lecz rzekł:

— Gadano, że ci się cni do świata.

— Cniło mi się, jeno dla tego, że ciebie w kraju nie było. Z mankolii byłabym to głupstwo zrobiła i poszła z innemi. Balcerkówna Jula przygadywała mi, że ty się z inną zmówisz, skoro z wojska przyciągniesz, że tu wszyscy wiedzą kiej jestem sierota, mało mam grosza i za nic mnie mają, tam zaś będę równa pannom w sukni i pieniędzy wnet uzbieram.

— Oj, co to za głupie gadanie, aż źle słuchać. A bo to tu nie wiedzą wszyscy, i ojcowie i syny, żeś jest porządna dziewucha, ani ci zalecanki, ani

hulanka w głowie, jeno zasie stateczność i praca. Umiesz gotować i prać silnie, we dworze cię lubieją i pewnikiem obdarzą. Aniś kłótliwa, aniś pyskata, jeno zgodna i urodna, to każdy widzi. Tyś mi od dziecka okrutnie miła, Kasiu i zawdym tylko o tem myślał, kiedy się zmówimy, ale wżdy byłabyś w świat się puściła i zaś tu po roku lub dwóch rokach nazad wróciła, choćby z dużym groszem, jużbym ciebie nie chciał za żonę... Mało wiela która się tam w cnocie ostanie i do śmierci miałbym ten frasunek, a niepewność...

— O Jędrku! jakoż się to dobrze stało, żeś ty w porę wrócił, i tem grajaniem a przyśpiewką do serca mojego tak trafił, żem ci się z lubości ruszyć nie mogła ani tyle, tyleczko postąpić, jeno w kamień czy drzewo zamieniona stojałam i słuchałam cię, a w sercu to mi się tak mięciuchno robiło, jakbym w kościele była... Jędrku! ale co teraz stanie się ze mną? Gdzie się podzieję? Toż mi wstydno okrutnie, żem słowa tamtym w Westfalii nie dotrzymała i dziedziczki też wstyd.

— E, co tam! Pójdziem najpierw do ojcowej chaty i powiemy jakośmy się dziś do dnia zmówili, a zaś jeno słonko wybije się barzej, a państwo powstaną, to i do panienki Wandzi zajdziemy i opowiemy, jako się to zrobiło, że zamiast ciągnąć do Westfalii, ostaniesz w Załuszczycach. Niech ci zaś wstydno nie będzie. Gorszy wstyd porzucać państwa sprawiedliwych, którzy ci matką i ojcem byli, gorszy wstyd wędrować do obcych,

kiedy tu tyla do roboty rąk uczciwych i zdrowych potrza.

— Jakiś ty we wszystkiem mądry i stateczny, Jędrek! tak prawisz, jak nie przymierzając ksiądz na ambonie, albo li chrzestny. Ani też z ciebie żaden bałamut, jenoś skromny i powściągliwy, a śpiewasz pięknie, jako ten ptaszek żółty w klatce u panienki.

Patrzała na chłopca rozmiłowanemi oczami, szczęśliwa i dumna z niego, bo choć nie miał już tej swojej dawnej junackiej postawy, za którą dziewczęta ginęły, biła od niego rzetelność i prawość, siła woli, co to z duszy pochodzi i serca podbija.

Przeciągły świst lokomotywy wpadł nagle w ciszę ranną i słychać było wyraźnie ciężki chód wagonów zbliżających się do stacyi Załuszczyc.

Oboje drgnęli. Kasia trwożnie przytuliła się do Jędrka, jakby szukała opieki przed czemś strasznem, co jej tam od tej kolei groziło. On jej głowę pogłaskał i rzekł:

— Teraz już jesteś moja. — Niech sobie w świat wędrują ci, co dla miłego grosza mają dusze w lekceważeniu i o swojej ziemi zapominają, my Kasieńko, ostaniemy zawdy na rodzinnej glebie i wedle sił, uprawiać ją będziemy. Widzi mi się Bóg nam w pracy dopomoże.

I poszli razem zwiastować dobrą nowinę do chaty ojcowej, szczęśliwi i ufni w tę przyszłość, która leżała przed nimi, jak ten ogród kąpiący się w blaskach słonecznych, jak ten ranek marcowy

jasny i pełen obietnic rozkwitającej w koło wiosny...

A tymczasem na stacyi Załuszczyckiej pociąg zabierał w świat kilku młodych chłopców i dziewczyn. Był tam gwar, płacz i lament zawodzących pozostałych matek. Jedni jechali śpiewając, już od rana podchmieleni, weseli, — dziewczęta fartuszkami oczy z łez wycierały, oglądając się na drogę jesionami wysadzoną, kędy Kasia miała nadejść.

— Spóźniła się! Nie ma jej, wołała Tereska Szczypiorek. — A to głupia dziewucha, że się też kupą z nami nie trzymie.

— Puśćmy ją w trąbę, kto wie, co ona tam rozmyśla taka wielka z niej pani. Cały tydzień była jakaś kiepska w sobie, ledwie do człeka gębę raczyła otworzyć...

— Gadano, że wczoraj pod wieczór Jędrek owczarzów wrócił, rzekł Antek Brzezak, to się może i Kasi język w gębie rozwiąże i do świata cnić przestanie.

— Fertig! — krzyknął konduktor i drzwiczki czwartej klasy zatrzasnął.

Tereska Szczypiorek i Jagula Nowakówna spojrzały tęsknie w stronę Załuszczyc i szepnęły do siebie:

— Hej! to ci szczęście ma Kasia!

Wspomnienie o mojej matce.

Wczoraj, kiedy chciałem nieco ładu zaprowadzić w biblioteczce, wpadła mi do ręki stara książka, na której świętej pamięci moja matka uczyła mnie czytać. Był to żywot św. Ludwika. Matka otrzymała go w nagrodę za pilność, w czasie, gdy jeszcze uczęszczała do szkół, więc ta podniszczona, skromnie oprawiona książka, przypominająca mi lata dzieciństwa, była także świadkiem jej najrańszej młodości.

Przewracałem pożółkłe kartki, przyglądając się uważnie tym wytartym nieco stronnicom, skąd czerpałem pierwszą umiejętność składania głosek, i nagle uderzyła mnie myśl nowa: oto dawno, dawno temu, nad temi samemi kartkami pochylała się główka małego dziewczęcia, a tem dziewczęciem była moja matka! — Dziwna rzecz! myśl, że i ona była także dzieckiem, nie powstała nigdy w mojej głowie, a dziś nietylko mnie zdumiewa, ale i rozrzewnia.

Kiedym przyszedł na świat, matka moja dobiegała już lat czterdziestu. Mówiono mi, że za młodu była ładną, okazałą i świeżą, lecz że jedyny portret, który po niej został, był malowany

na kilka lat przed jej śmiercią, więc jak tylko myślą sięgnę, zawsze ta twarz ukochana ukazuje mi się wiekiem steraną. Nie wiem, czy ci, którzy pamiętają rodziców młodych i pięknych, doznają przyjemnego uczucia, lecz mnie się zdaje, że ci są szczęśliwsi, którzy w sercu przechowali obraz nachylonej nad kolebką poważnej i już sędziwej matki, w których przekonaniu ona nigdy inną być nie mogła. Wówczas to wspomnienie jeśli nie jest droższem, jest świętszem i szacunek jaki w nas wzbudza starość, łączy się z dostojnością macierzyństwa. Więc chociaż ta podniszczona książka, która służyła już matce mojej, przypomina mi, że i ona była małą uczennicą, nie mogę sobie wystawić dziecinnych zabaw matki, ani jej nauk, ani snów dziewczęcych, ani marzeń wiośnianych, — wolę w niej widzieć tylko swoją starą, poczciwą matuchnę. Zdaje mi się, że gdybym czuł inaczej, nie wypełniłbym w zupełności czwartego przykazania: „Czcij ojca twego i matkę twoją", że ubyłoby trochę z tej wielkiej czci, z jaką pamięć jej otaczam, gdybym ją sobie wyobraził choć na chwilę, bez pierwszych siwych włosów, bez tych kilku drobnych zmarszczek starości, które już jej kochaną twarz były zorały, gdym ja jeszcze chodzić nie umiał. Zresztą nic dziwnego, że pamiętam ją zawsze powagą macierzyństwa otoczoną, skoro do końca życia pozostałem dla niej zawsze tylko dzieckiem.

Gdy umarła w siedmdziesiątym roku życia, miałem lat trzydzieści trzy. Byłem więc doj-

rzałym człowiekiem, człowiekiem, który już wiele przeżył, przepracował, który znał zapasy, boje i rozkosze życia, ale choć wypełnił najgłówniejsze obowiązki, przecie nie jedną winą obciążył sumienie. Matka dobrze wiedziała co o mnie sądzić, razem ze mną cieszyła się w chwili powodzenia, i razem bolała, gdy przyszła godzina smutku. Ale jeśli ta kobieta wyższego umysłu i duszy przemawiała do mnie jak do skończonego mężczyzny, gdym w ważnych sprawach zasięgał jej światłej rady, to znowu gdy w cierpieniu potrzebowałem jej czułego przywiązania, obchodziła się ze mną jak z biednem, a bardzo kochanem dzieckiem. Pielęgnowała mnie nie tylko wówczas, gdym na jej rękach spoczywał, gdy trzeba było tulić do łona zapłakanego chłopca, ale później, gdym dorósł, jej troskliwe macierzyńskie oko nigdy nie przestało czuwać nademną. Ileż to przestróg jej pamiętam: „A zejdź wolno, mój synku, tam jest próg na dole“. „Uważaj, abyś mi się tylko nie przeziębił“. „Z pewnością zapomniałeś zabrać z sobą chustki“.

Jej czuła opieka była mi tem potrzebniejszą, że w młodości kilka razy ciężko zapadłem na zdrowiu i trzeba było obchodzić się ze mną, jak z słabowitem dzieckiem.

Pewnego roku doktorzy dla poratowania zdrowia wysłali mnie na południe. — Spędziłem tam kilka miesięcy, lecz gdy powróciłem z tej dalekiej wycieczki, zastałem biedną matkę tak dziwnie zmienioną, tak smutną, że przyszłą zimę wolałem

spędzić uwięziony w jednym pokoju, jak ponownie z nią się na tak długo rozłączać.

Ona sama bardzo osłabiona, można powiedzieć nie wyszła z mojego mieszkania. Pamiętam jakie słodkie chwile spędziliśmy wówczas razem i w tym to czasie powstał wierszyk, który tu przytaczam:

„W pobliżu lampy siedzę co wieczór i piszę.
Dokoła spokój wielki — nic nie mąci ciszę.
Tylko ogień na kominku wciąż bucha i dysze.
Tam, na starym fotelu oparta cichutko
Spoczywa moja matka. Jej postać drobniutką
W czarne szaty odzianą, ledwie dojrzeć mogę.
Ona rozmyśla pewnie jak w daleką drogę
Wygnało mnie cierpienie, o tej samej porze
W zeszłym roku na zimę. Nie żal jej, broń Boże,
Że pozostałem w kraju. Gdy wietrzno na dworze
Nie opuszczam pokoju, jestem grzeczny przecie
I na wszelkie jej rady, posłuszny jak dziecię.

Wtem ona pamiętając, że zimno jest w nocy,
Podchodzi do kominka sama bez pomocy
Dokłada drew do ognia — cicho pochylona. —
O Matko moja święta — bądź błogosławiona!"

Wierszyk napisany kiedyś za młodu, dziś powtarzam sobie, przewracając kartki tej książki, na której matka uczyła mnie czytać i patrząc na nią, całuję ślad palcy, które mi wskazywały litery. Ach ileż smutku i niepokoju przyspożyłem jej życiu! Nie, iżbym miał kiedykolwiek zbłądzić względem niej brakiem szacunku lub miłości, ale w młodym wieku bywa się często porwanym przez niebezpieczne prądy, leci się w świat nieopatrznie, zapominając, że tam przy pustem

ognisku rodzinnem siedzi stara, opuszczona matka! Ona choć sama tak święta pobłażliwem okiem patrzy na życie, ledwie śmie dorosłemu synowi zrobić cichą wymówkę, ale się lęka, drży na samą myśl o niebezpieczeństwach, które go zewsząd otaczają i skoro zobaczy, że on upada, że szatę swojej niewinności kala, to nad nim płacze...

O jeśli kiedy te słowa moje wpadną do rąk jakiego młodego człowieka niechaj go zatrzymają nad brzegiem przepaści grzechu! Bo nikt przeczuć nie może, jaką goryczą zaprawiona jest w późniejszym wieku myśl, że choć się nie było złym człowiekiem, choć się sumienia nie obciążyło żadnym brzydkim czynem, to przecież nieraz było się powodem łez matki.

Oto dwadzieścia lat minęło, jak moja matka umarła, lecz mimo wszelkich win serce musiałem mieć przepełnione wielką miłością synowską, skoro w dniu tym coś bardzo słodkiego na zawsze w niem zagasło!

Nigdy częściej nie wzywałem imienia matki jak w czasie choroby, która każdemu poważne myśli nasuwa do głowy. Powtarzając pacierze, których ona mnie kiedyś przed laty nauczyła, dusza moja po raz pierwszy zwróciła się do Boga. A nadzieja, że ją zobaczę tam w lepszej ojczyźnie, słodziła niejednę chwilę rozterki. Teraz chciałbym użyć czas, który mi zostaje do życia, ku wypełnieniu wszystkich obowiązków, — chciałbym cierpliwością i pokorą wyprosić sobie, za-

służyć na tę wielką łaskę powitania jej kiedyś w niebie, a Pan Jezus, który powołał matkę moję do raju, będzie błogosławił modlitwie syna i chrześcijanina.

Ojczyzno wieczna! ty niewygasłe ognisko szczęścia i miłości!... nikt podobno słabym ludzkim umysłem nie może pojąć szczęśliwości wiecznie trwałej, która wybranych tam, w górze czeka, ale mnie biednemu grzesznikowi zdaje się, że miałem już przedsmak raju, wówczas, gdy niewinnem dziecięciem zasypiałem na twojem łonie, ukołysany rzewnemi dźwiękami twojego głosu, o ty moja najlepsza i najdroższa matko!

Marya — Aniela.

Opowiadanie z krwawych lat powstania 1831 roku.

W domu państwa Perzyńskich było gwarno i wesoło. Oto córka domu, piękna Zofia, oddawała rękę i serce bogatemu właścicielowi Górowa, Henrykowi Góreckiemu, który słynął z cnót rycerskich, dobroci i waleczności i wielu innych szlachetnych przymiotów. A nie była to wówczas jako dziś, epoka cichej pracy na roli, rozwagi i poważnych zapatrywań na świat, na życie, na dolę narodu zwłaszcza, ale chwile walk przeróżnych, wojennych zapasów, i porywów nadludzkiej odwagi i zapału. Krew w żyłach ludzi przeszłego stulecia wrzała, tętniała goręcej — wyobraźnie były bujniejsze, a wobec miłości ojczyzny, milkły, bladły wszystkie inne uczucia. To też waleczny pan Henryk Górecki, nacieszywszy się przez dwa tygodnie szczęściem małżeńskiem, widział się zmuszonym opuścić młodziutką wybraną serca i iść tam, dokąd go powoływała służba wojskowa, to jest na pole walki.

Trzy lata nie mógł na stałe powrócić do gniazdka rodzinnego świeżo poślubiony mał-

żonek. Wśród kul nieprzyjacielskich marzył nieraz o miłym dworku na polskich Kujawach, gdzie zostawił wierne, kochające serce Zofii, gdzie urodził mu się synek, aby zaraz zgasnąć, ku wielkiemu zmartwieniu matki, upatrującej w dziecku jedyną pociechę w czasie nieobecności ojca.

Między niebezpiecznemi wyprawami, życiem obozowem, raz po raz, gdy to było możliwe, Henryk Górecki wpadał do Górowa, aby do serca przycisnąć swą Zofię i lecieć znowu w ogień bitwy, zwyciężyć lub zginąć.

A wielki Bóg wojny, cesarz Francuzów, Napoleon I, korzystał z nieustraszonej waleczności polskich rycerzy, aby ich zagrzewać do boju i karmić cudnemi obietnicami odbudowania zabranej ojczyzny.

W tym czasie Henrykowi Góreckiemu drugi synek się urodził, — ale snać ciągły niepokój, w jakim żyła biedna Zofia, źle oddziałał na zdrowie dziecka — bo było to wątłe, blade stworzonko, któremu nikt długiego życia, ani rokować, ani życzyć nawet nie mógł.

Pani Zofia upatrywała w niem jednak podobieństwo do szlachetnych rysów ojca, pieściła i hołubiła z miłością i poświęceniem i gdy jedyny brat jej, Tadeusz Perzyński, który w nieobecności szwagra majątkiem zarządzał, zwrócił uwagę na wątły organizm dziecka i mało robił nadziei utrzymania go przy życiu, wprost żal miała do brata za to straszne przypuszczenie i z tem

większą pieczołowitością oddała się pielęgnowaniu synka.

Zaledwie atoli rok minął, i ten drugi potomek walecznych Góreckich zamknął na zawsze, smętnie patrzące na świat oczy.

Biedna matka długo chorowała po tem nieszczęściu i przyjść nie mogła do siebie, tem więcej, że krwawy rok 1812, rok pogromu wielkiej armii i świetnego oręża Napoleona, także nad polskiemi rodzinami zawisł ciężką niedolą. Tadeusz Perzyński za młody jeszcze, aby iść na bój, dotrzymywał towarzystwa znękanej siostrze, sam drżąc z niepokoju o los szwagra, który odbywał z innymi braćmi straszną kampanię.

Przychodziły stamtąd wieści wprost przerażające i ten, który dotąd wielką chwałą był okryty, który zdawał się niezwyciężony, wielki Napoleon, wracał z Moskwy pobity, zmiażdżony, a za nim wlokły się nieszczęsne rozbitki w strasznym zamęcie i rozkładzie, poniósłszy jednę z najokropniejszych klęsk, jakie zapisano w dziejach świata.

Wkrótce też potem, ciężko rannego Henryka Góreckiego przywieziono do Górowa; tutaj przyjęła go pełna tęsknoty żona i brat jej. Oboje cieszyli się całem sercem, iż skończą się nareszcie dni męki i udręki, które pędzili samotni na wsi, drżąc z obawy o życie ukochanego Henryka — bo choć pogrom w Moskwie nie ustalił jeszcze pokoju w Europie, choć zrywały się potem nawałnice i różne przewroty w świecie,

a Polska ogniem i mieczem znaczyła swoje istnienie, rotmistrz Henryk Górecki w walkach żadnego udziału już nie brał, brać nie mógł, gdyż odniesione rany przy przeprawie przez Berezynę uczyniły go na zawsze niezdolnym do broni.

Odtąd też osiadł na wsi, w rodzinnem Górowie, a tak jak był odważny w ogniu, i obowiązkowy w służbie wojskowej, tak z zamiłowaniem oddał się pracy na roli, chcąc i w ten sposób służyć Bogu i krajowi.

W tej zbożnej a cichej pracy dopomagała mu dzielnie całą duszą mu oddana Zofia, ale często oblicze młodej kobiety zasmucało się, kiedy myśl matki wędrowała nad zielone mogiłki, gdzie spoczywały zwłoki dwóch niemowląt. Najgorętszem życzeniem państwa Góreckich było mieć nowego potomka i w tym celu, aby uprosić niebo, czynili różne śluby, dawali jałmużny i bogate ofiary kościołom.

Aż i Pan Bóg wysłuchał ich serdecznej prośby; niebawem szczęście rozpromieniło oblicze Zofii a dusza rycerza zadrżała otuchą i nadzieją, że zacny ród Góreckich nie wyginie, i dostarczy ojczyźnie nowych obrońców.

Był to dzień 1 maja, zewsząd odzywał się wesoły świegot ptasząt — zewsząd wrzało życiem i młodością. Po ciężkiej zimie, zabłysło, a w pełni jego blasków zajaśniały kujawskie sioła i wioski.

W otoczeniu starych lip zamajaczył biały dworek górowski; musiało w nim zajść coś nie-

zwykłego, gdyż służba przesuwała się cicho, na palcach, po korytarzach wysłanych kobiercami, szeptała między sobą, skupiała się.

Na pokojach młodej pani zwłaszcza panowała głęboka cisza; na białych, szerokiemi koronkami zdobnych poduszkach, spoczywała cicho młoda matka, rozjaśniony wzrok zwracając często ku kolebce, tuż obok stojącej, w której spała nowo narodzona dziecina.

W drzwiach lekko uchylonych ukazał się pan Górecki.

Zofia uśmiechnęła się do niego wdzięcznie.

— Pójdź Henryku — szepnęła, — ja nie śpię. Jaki Bóg dobry, że nas wysłuchać raczył! Wprawdzie to nie syn, którego sobie tak bardzo życzyłeś — ale patrz, czyż nie śliczna nasza córeczka?

Uniosła lekko zasłonę wiszącą nad kołyską — a pan Henryk wysoką swą postać pochyliwszy nad niemowlęciem, rzekł wzruszony:

— Mogę zapewnić cię Zosiu, że również cieszę się córce i jedynem mojem pragnieniem, aby była podobną do ciebie pod każdym względem.

— O Henryku! ja mam nadzieję, że będzie lepszą i piękniejszą odemnie. Urodziła się w maju — w miesiącu poświęconym czci Królowej nieba — więc ją wychowamy na chwałę Maryi. Nieprawdaż Henryku, że damy imię naszej córeczce Marya-Aniela, jak to niegdyś obiecywaliśmy sobie, gdyż ona będzie aniołem pokoju i córką Maryi...

— Owszem, — odparł z dobrym uśmiechem Henryk — mam ufność, że i inne lepsze czasy nastaną dla naszej ziemi, gdy ta dziecina dorośnie. Właśnie pisałem do Tadeusza Perzyńskiego, zapraszając go w twojem imieniu na ojca chrzestnego córusi... Ale teraz najdroższa, staraj się zasnąć, jesteś bardzo wzruszoną, lękam się, abyś sobie nie zaszkodziła.

— O nie lękaj się o moje zdrowie — Henryku! Wielkie szczęście zaszkodzić nie może — a gdy po tylu doświadczeniach i smutkach Bóg zesłał nam córeczkę, z pewnością pozwoli ją wychować... Jednakże będę ci posłuszną, postaram się cichutko leżeć i marzyć o jasnej i szczęśliwej przyszłości, która nas czeka.

Pan Henryk przyłożył usta do czoła żony i wyszedł. A choć wielka radość rozpierała mu piersi — na te słowa Zofii „jasnej i szczęśliwej przyszłości, która nas czeka“ — westchnął i głęboka bruzda wyryła się na męskiem czole.

Czyż dziecię rodzące się w tych czasach mogło być szczęśliwe w ziemskiem tego słowa znaczeniu? Czy rodzice mogli żyć w ciszy i jasnym spokoju, gdy ojczyzna jęczała w niewoli, a Europa patrzała na to obojętnie, nie biorąc w obronę uciśnionych?

Pan Henryk nisko głowę spuścił i zadumał się — a wtem do kancelaryi pana wszedł Mateusz, „Koprosiem“ zwany, wierny, nieodstępny towarzysz jego wojennych wypraw.

— Co to powiecie mi, Koprosiu? — spytał Górecki.

— Z przeproszeniem, — rzekł, kłaniając się Mateusz, — chciałem dowiedzieć się, jak się jejmość pani miewa i dziecko?

— Chwała Bogu, nieźle, mój stary — widzieliście moją córeczkę?

— Nie widziałem, — odparł Koproski, trąc ręką czoło. — Bo to się przyznam panu rotmistrzowi, gdym się dowiedział, że nie syn, jeno córka na świat przyszła, tom z żalu ryczał prosto. Poleciałem na mogiłki chłopaczków i srogi ból mnie schwycił, że to oni, przyszli obrońcy nieszczęśliwej ojczyzny, pomarli, a Pan Bóg zamiast syna, zesłał wam panie córkę.

— Eh! mój stary — rzekł smutno pan Henryk — Bóg lepiej wie, co czyni. I ja z serca, z duszy, syna mieć pragnąłem — obiecywałem sobie chować go na chwałę przodków i pożytek krajowi — ale snać inaczej zapisano w księdze przeznaczenia. Kto wie co z nami będzie, od dziś za lat dwadzieścia! Może mój chłopiec doczekałby się jeszcze większego rozdarcia serca, jeszcze większej zgryzoty i niedoli, niż ta, na jaką my patrzeć skazani... Kto wie?... Nie, Koprosiu — nie buntujmy się przeciw Opatrzności — jeno dziękujmy jej, że matka zdrowa i prośmy, by naszej córce szczęśliwie chować się pozwoliła.

— A może Pan Bóg jeszcze jednem dzieckiem mości państwa obdarzy — i wtedy...

— I wtedy — oddam go pod wyłączną opiekę Koproskiego, — rzekł pan Henryk z uśmiechem i poklepał po ramieniu poczciwego sługę, — abyście wy mi chłopaka wyuczyli, jak machać szabelką. Tymczasem, czy wiecie Koprosio, kto tu na chrzciny zjedzie i kto córę moją do chrztu św. podawać będzie? Oto w pierwszej parze pan jenerał Ch. z imci panią podkanclerzyną Krasławską, w drugiej pan Tadeusz Perzyński z kuzynką moją Bronią Czempińską — a w trzeciej — wy mój przyjacielu i druhu najzacniejszy — z Nastusią, która mi żonę na rękach nosiła i wypielęgnowała.

— O rety! panie rotmistrzu — niegodzienem takiej łaski i zaszczytu! Gdzieżby mnie staremu słudze z takiem dostojnem państwem stawać razem...

— A, nie wolno się wykręcać Mateuszu. Nie żadna łaska to, jeno dowód mej wdzięczności za tyle lat wiernej, uczciwej służby, przytem wy macie przynieść szczęście dziecku — wyprosić u Boga, aby nam się dobrze chowało i wyrosło na Jego i naszą pociechę.

— Jużto na serca nasze mości panie rotmistrzu liczyć możecie, jakby na swoje własne. Niepodobna, aby Najświętsza Panienka nie zrobiła jakiego cudu, gdy ją wszyscy o to pokornie błagać będziemy. Nastka mówiła, że dziecię patrzy na świat tak mądremi oczkami, że się doczekamy czegoś dziwnego. Będzie to może królowa albo li księżna jaka, bo na niebie wi-

działem dużą gwiazdę i w koło niej koronę z mniejszych gwiazd, co musi mieć znaczenie...

— Aj! mój poczciwy Koprosiu, cóż wy koniecznie chcecie zrobić z mojej córy księżnę lub królowę! Niech ona tylko wyrośnie na zacną polską dziewicę, a potem zostanie godną i poważną matroną i obywatelką kraju, to najwyższe moje życzenie się spełni. Nie o zaszczyty ani o tytuły dla niej dobijać się będę... Całe życie gardziłem niemi, mam nadzieję, że i dziecko moje w czem innem szczęście upatrywać będzie.

— Panie rotmistrzu! co komu przeznaczone, tego nie minie — a nad kolebką waszego dziecka dziwne się zjawiska działy! Dla tegom tak był pewien, że to hetman jaki wielki, drugi Napoleon się urodził i wierzyć zrazu nie chciałem, że to jeno białogłowa. Aleć i niewiasty tęgie Polsce potrzebne... pewnikiem ta zasłynie daleko i szeroko...

* * *

Podczas gdy Henryk Górecki ze starym swoim powiernikiem o nowonarodzonej dziecinie rozprawiali, Zofia w ciszy swej komnaty, leżąc z otwartemi oczami, w wyobraźni stroiła przyszłość córki w najcudniejsze barwy.

A gdy pamięć przywiodła jej na myśl tamte dwa niewinne aniołki, spoczywające pod zieloną darniną, wzruszona złożyła ręce i z sercem przepełnionem otuchą, poczęła się żarliwie modlić.

— O Maryo! Królowo nieba, — prosiła — zostaw mi tę dziecinę przy życiu! Tobie ją poświęcam — Tobie oddaję. Weź ją w opiekę. Niechaj zawsze nosi godnie Twoje imię, niech się spełni to, co Ty jej przeznaczasz, a czystość i niewinność serca niech będą jej największą ozdobą, oraz puklerzem przed pokusami świata.

Rozjaśnione oczy modlącej się matki spoczęły z wiarą i ufnością na obrazie Częstochowskiej Pani, wiszącym po nad łożem chorej. I zdawało się Zofii, że najświętsze rysy powagą tchnące ożywiły się, a usta poruszyły uśmiechem pełnym obietnic!

* * *

Sierpień tego roku mniej był pogodny niż zwykle bywa w Polsce, deszcze przeszkadzały w sprzęcie, pochmurny czas martwił gospodarzy chcących jak najprędzej załatwić się z resztką pozostałych zbóż na polach.

Ale w białym dworku górowskim, mimo niepogody, mimo smutnych wieści napływających z stron różnych, miło było, swojsko, zacisznie.

Złotowłosa dzieweczka dziecięcym szczebiotem rozweselała wszystkich. Nieraz gdy chmura troski zawisła nad czołem Henryka Góreckiego, pani Zofia, posyłała mu Maryę-Anielcię i w kilka chwil potem słychać było w kancelaryi męża dźwięczny śmiech dziecka, którego urokowi nikt oprzeć się nie mógł, tem mniej ubóstwiający ją ojciec.

Częstym gościem w Górowie bywał Tadeusz Perzyński i zawsze przywoził z sobą młodszego kolegę Zygmunta Smoleńskiego, którego rodzice mieszkali w Marzeniu, wsi położonej tuż niedaleko Górowa i żyli w serdecznej przyjaźni i zażyłości z Góreckimi.

Wkrótce brat pani Zofii, odziedziczywszy po stryju majątek ziemski w Wielkopolsce, przeniósł się na stałe do swej nowej siedziby, więc Górowo rzadko kiedy miało przyjemność goszczenia go w swych murach, natomiast młody Smoleński, „pan Muś", pan „Mutek" jak go Marya-Anielcia nazywała, często odwiedzał państwa Góreckich i tak jak wszyscy, śliczną dziewczyneczką się zachwycał.

Pani Zofia wielką miała sympatyę do syna przyjaciółki. Zygmunt był nietylko urodziwym chłopcem, ale męstwo, odwaga i niezwykła dziarskość biły z jego twarzy. Stary Koproski aż trząsł się cały z radości i tajemnych myśli, gdy widział, jak chłopak wskakiwał na najdzikszego źrebaka, sadził przez rowy i płoty, jak celnie strzelał i znosił trudy myśliwskie — jak się rzucał w pław do wody, i niby kaczka ginął w przepaściach fal, aby potem gdzieś na drugim końcu jeziora się ukazać.

— Jezu! Panie! — królu mój — takich więcej, a odbijemy, co nam obca przemoc wzięła!

I stary wiarus brał się za boki i w takt podskakiwał, jakby naprawdę już się „coś święcić

miało“ — i grała pobudka najmilsza dla polskiego ucha: „Jeszcze nie zginęła“.

Pani Zofia patrząc na młodego Smoleńskiego, zwyczajem matek snuła inne, serdeczne plany... Chłopak zdobył ją sobie całą, w chwili, gdy rzec można uratować życie Maryi-Anielci.

Stało się to przed kilku laty, gdy córeczka jej była jeszcze niemowlęciem a Zygmunt Smoleński 15-letnim wyrostkiem. Marya-Anielcia w nieobecności bony, wydostawszy się z kolebki na wolność, pełzała sobie „po czworaku“ w ogrodzie, na drodze prowadzącej do podwórza pańskiego. Zygmuś niedaleko wszedł był na drzewo, aby zanieść napowrót do gniazdka maleńkiego ptaszka, który przed chwilą z wielkim piskiem zleciał był na ziemię. Kiedy był u góry — nagle usłyszał głuchy jakiś tentent — trzask i przedzieranie się przez gałęzie i ujrzał młodego byczka pędzącego w podskokach w stronę, gdzie najspokojniej czołgała się i głużyła Marya-Anielcia.

Chłopczyk w mgnieniu oka zeskoczył z gałęzi i porwawszy dziewczynkę na ręce, napowrót wdrapał się z nią na drzewo i tam z wysokości mógł widzieć, jak zwierzę podrażnione szukało ofiary, jak czterech ludzi goniło je z łańcuchami, widłami i innemi narzędziami, jak przerażona piastunka biegła z okrzykami grozy, a za nią Nastusia i pani Górecka w śmiertelnej trwodze, z imieniem Maryi na ustach...

Dziewczynka bezpiecznie przytulona do szyi Zygmunta, patrzała z góry mądremi oczkami na

całą tę przygodę, nie pojmując doniosłości chwili, ale pani Zofia nigdy zapomnieć nie mogła okropnego przestrachu i tego, że odwadze i przytomności umysłu Smoleńskiego zawdzięczała życie dziecka. Chłopczyk odtąd wyrósł w oczach domowników i sąsiadów Górowa na małego bohatera, był ulubieńcem Henryka Góreckiego, pani Zofii, a i Marya-Anielcia nad wiek roztropna, niezwykłą głębię uczuć już w dziecięcych latach zdradzająca, okazywała mu serdeczne przywiązanie.

W owym czasie okropny cios spadł na cichy domek górowski i kochającą się rodzinę. Henryk Górecki w pełni sił zmarł po krótkiej chorobie. Smutek strapionej żony był tak wielki, że o mało i jej nie wpędził do grobu; tylko czułe pieszczoty dziesięcioletniej córeczki uchroniły ją od choroby, przytrzymały silną wolą przy życiu.

Odtąd matka z córką złączone jeszcze większą miłością, żyły razem w zaciszu domowem, oddane pracy i miłosiernym uczynkom. Marya-Anielcia wyrastała na piękną dziewicę — a zewnętrzne przymioty jej niczem były w porównaniu do bogatych darów rozumu i serca, które się w niej niby harmonia łączyły i sympatye ludzi zjednywały.

Chmury, które się na horyzoncie Polski zbierały, jeszcze w owym czasie burzą nie wybuchły, ale społeczeństwo potrzebowało bardzo silnej wiary, aby się oprzeć prądom antyreligijnym,

które od rewolucyi francuskiej wiały z zachodu i złe uczucia zaszczepiały w sercach młodzieży.

Pani Zofia tem baczniej czuwała nad dzieckiem swem i chroniła od zgubnych wpływów. Z bolesnem ściśnieniem serca spostrzegła, że jeśli córka jej wychowana zdala od świata, zahartowana na duchu i umocniona w wierze, nawet nie tkniętą została żadnym złym powiewem, to ulubieniec jej, syn najmilszej przyjaciółki, Zygmunt Smoleński, przeszedłszy próbę ogniową, utracił wiele z dziecięcej dawnej niewinności serca i zobojętniał dla świętej wiary przodków. Młodzieniec nigdy w obecności Maryi-Anielci nie pozwolił sobie na uwagi uwłaczające jej nabożeństwu — ale czujne oko matki dostrzegło to, co się działo w głębi duszy młodego człowieka i szczerze bolało nad tem. A że Zygmunt od dwóch lat był zupełnym sierotą, pani Zofia tem bardziej widziała, jakie niebezpieczeństwo grozi młodzieńcowi rzuconemu na pastwę szalejącego świata.

* * *

I znowu kilka lat minęło. Biały dworek górowski wyłaniał się wśród drzew zieleni, tak samo jak przed laty... tylko coraz bujniej wiły się łodygi róż po słupach balkonu — a kasztany stojące przed domem coraz zdawały się sędziwsze...

Był to dzień 15 maja — dzień urodzin Maryi-Anielci, która dziś szesnasty rok życia kończyła i dzień imienin pani Zofii. Choć wdowa po Hen-

ryku Góreckim żyła dotąd na uboczu, mało widując ludzi, dziś, gdy córka dorastała, sprosiła liczniejsze grono, aby Maryę Anielcię trochę rozerwać.

Dziewczynka ze swą niezwykłą urodą często budziła niepokój w sercu matki, zwłaszcza gdy cudne jej oczy płonęły jakimś niezwykłym blaskiem, a wiotka, smukła postać zdawała się do innego świata stworzoną. Marya Aniela była też zupełnie odrębną od innych rówieśniczek — nie lubiła gwaru ani wesołych zabaw, — czcze, puste, światowe rozmowy męczyły ją. Gdy panienki w jej wieku zazwyczaj cieszą się nową sukienką, zajmują strojem — dla niej to było zupełnie obojętne. A jednak przyroda nie poskąpiła jej darów!

Dziś w białej, powiewnej muślinowej sukience ujętej złotą przepaską, z puklem złotych włosów nisko upiętych na kształtnej główce, wyglądała wprost czarująco. Oczy jej miały ten dziwny nieziemski wyraz, który nieraz kochającą matkę trwożył, jak gdyby to dziecię było tylko pożyczone ziemi, a dusza już na poły zawisła w niebie.

Marya Aniela już ze świtem wybiegła do ogrodu, aby nazbierać kwiatów dla matki i z pękiem świeżych konwalii i białego bzu wsunęła się do sypialni pani Góreckiej.

— Już jesteś ubraną! — wykrzyknęła pani Zofia — a to ranny ptaszek z ciebie!

— Chciałam wyprzedzić wszystkich, matuchno, aby najpierwsza złożyć ci moje życzenia. Ty wiesz, najdroższa, jak ciebie kocham, jak proszę, błagam co dzień dobrego Boga, by oddał tobie za mnie wszystko, wszystko... by biedne serce twoje ukoił... i pozwolił, abym była dla ciebie prawdziwą pociechą.

— Jesteś nią, dziecko ukochane — szepnęła przez łzy pani Górecka — nigdy jeszcze nie sprawiłaś mi kłopotu ni zmartwienia, ty córuś moja jedyna — pragnę tylko całem sercem, abyś i ty ze mną czuła się zupełnie szczęśliwą.

— O jakże mogłoby być inaczej, najdroższa matusiu, czyż mogłabym się nie czuć szczęśliwą tu, przy tobie... Ja czasem myślę, że u nas chyba wszystko jest za piękne... za...

Urwała, oczy jej przybrały marzycielski wyraz, jak gdyby myśl powędrowała gdzieś w zaświaty...

— Mów dalej, Maryo Anielo, — nalegała matka, — ująwszy ją w pół czule.

Dziewczę położyło główkę na jej ramieniu i rzekło:

— Lepiej już nic nie powiem, — bo może — może — wyrwałoby się z ust moich jakie słowo, któreby moją matuchnę zasmuciło...

— Zasmuciło? — jakim sposobem, kochanie? czy to coś tak złego?

— Nie mamo, — nic złego, przeciwnie, tylko widzisz, im więcej w koło nas kwiatów, im piękniejsza wiosna nastaje, tem ja więcej muszę

myśleć o wieczności i o tem, że to wszystko trzeba będzie raz opuścić. A potem, matuchno droga, ty wiesz, jakie dla całej ludzkości nastały czasy, czyż możemy się weselić, gdy wkoło nas chmury się gromadzą, lud cierpi, ojczyzna płacze?

— Naturalnie, moja córko, że ani nie trzeba przywiązywać się zbytecznie do ziemskich, przemijających dostatków, ani bezmyślnie bawić, gdy inni gotują się do walki, aleś ty jeszcze tak młodą, przed tobą życie leży otworem, więc dlaczego nad wiek poważne i smutne myśli zaprzątają twą główkę? Dla czego?

— Dziś proszę mi być wesołą, wszakże to dzień twych urodzin, — zaprosiłam kilka osób i pewną jestem, że się moja córeczka przyczyni, aby ten wieczór upłynął gościom przyjemnie.

Marya Aniela uśmiechnęła się słodko i całując ręce matki, odparła:

— Dobrze matuchno, — będę się starała zabawić naszych gości, jak najlepiej potrafię.

— A wiesz kto dziś przyjedzie? — Pani podkanclerzyna Krasławska, twoja chrzestna matka, wuj Tadeusz Perzyński, bawiący w Marzeniu i naturalnie pan Zygmunt.

— A!... pan Zygmunt — rzekła Marya Aniela niezmieszana, nie sądziłam, że jest w domu.

— Tak, od dni kilku powrócił. — Już tam Koproski był, widział się z nim. Zawsze mają ze sobą jakieś poufne narady, tajemnice. Często mnie one lękiem przejmują...

— I ja słyszałam, że oczekują w Marzeniu jakiegoś tajemniczego gościa, emisaryusza...

— Ach! lękam się tych młodych zapaleńców — powtórzyła pani Zofia... — cóż pomoże kilku patryotów?... za mało ich na odbudowanie Polski, za wielu, aby się mogli ustrzedz przed pościgiem władzy.

— A jednak mateczko, — może najsmutniejsze z wszystkiego byłoby, gdyby naród miał zgnuśnieć w apatyi, gdybyśmy nie mieli tęgich i dzielnych ludzi, których zadaniem budzić z uśpienia ducha... Pan Zygmunt mówi...

— O ja wiem, że Zygmunt Smoleński ożywiony najszlachetniejszemi ideami, rozumiem go, podziwiam — a jednak się lękam... Tylu szpiegów się kręci... tak jesteśmy z stron wszystkich osaczeni... pilnowani... jeden fałszywy krok może dużo złego zrobić. Ale my tu politykujemy córeczko, a czas leci... Czy wszystko w pokojach gościnnych przygotowane?

— Tak matuchno — wszystko w najpiękniejszym ładzie czeka na gości.

— To dobrze — idź, poczekaj na mnie w salonie, za chwilę będę i ja gotową.

Marya Aniela weszła do dużej sali, graniczącej z werandą, i zbliżywszy się do fortepianu, uderzyła kilka akordów.

Jakiś dziwny smutek osiadł na jej ślicznej twarzyczce, myśl powędrowała nad pola i lasy kujawskiej ziemi... słowa matki w uszach brzmiały...

— To maj! miesiąc Maryi — rzekła do siebie. Na cześć królowej nieba zaśpiewam piosenkę i dźwięcznym głosem poczęła nucić:

Piękny miesiąc Maryi
Na cześć cudnej lilii
Chwałę Jej nam głosi,
Niech się głos nasz wznosi.
Ubraliśmy ołtarze
Na cześć cudnej matki
Niesiemy dziś Jej w darze
I serca i kwiatki....

Pani Górecka słysząc śpiew córki, spojrzała ku niebu:

— O Matko! — szepnęła, — zachowaj mi ją tak piękną i niewinną, jaką jest dzisiaj... Strzeż ją od nieszczęść... Ja się tak lękam ciągle... Zdaje mi się wciąż jak gdyby czyhały na nas troski jakieś... chwile straszne... O Matko! weź nas pod płaszcz Twej opieki.

— Muszę koniecznie postarać się rozrywać trochę Maryę-Anielcię, — myślała dalej pani Zofia. — Ona zawsze ze starszymi, nad wiek swój jest poważną... Powiem Tadeuszowi, aby ją zabrał z sobą do Wielkopolski — żona jego dobra i roztropna kobieta, strzedz ją będzie jak oka w głowie... Tam zresztą bezpieczniej niż tu...

* * *

Wieczorem cichy dworek górowski zapełnił się niezbyt licznem lecz doborowem towarzystwem... Ale mimo wysiłków pani domu i uroczej jej córki, jakiś ciężar, niby chmura jakaś wisząca

w powietrzu, przytłaczała umysły. Unikano starannie tematu o tem, co paliło się w duszach i sercach... wszyscy wiedzieli jednak, że jedna myśl tylko przejmowała zebrane gronko.

Zygmunt Smoleński, dziś już młodzieniec w pełni rozwoju męskiego wieku, zwracał na siebie powszechną uwagę. Po śmierci Henryka Góreckiego, on jako najbliższy sąsiad Górowa, zajmował się i kierował interesami pozostałej wdowy, otaczając p. Zofią serdeczną i pełną szacunku przyjaźnią.

Później studya naukowe, służba wojskowa odwołały go od wiejskich obowiązków i panie z Górowa długi czas nie widywały sąsiada. Z wiosną dopiero zjawił się znów, by ofiarować usługi pani Zofii, a ona przyjęła go z otwartemi rękoma, bo młody człowiek cieszył się wielką jej sympatyą i pewną była, że mimo niektórych błędnych pojęć — grunt charakteru pozostał zacny i prawy.

A miły dworek górowski, w oczach Zygmunta nabierał coraz więcej uroku, nie znał milszego na świecie, bo tam rosła i rozwijała się, śliczna dziewczynka o anielskim wyrazie twarzy, która mu całą duszę zajęła...

W owym czasie rozruchów i walk narodowych o niepodległość, młodzi rycerze nie mogli oddać się wyłącznie serdecznym uczuciom.

Z dnia na dzień ojczyzna zawołać mogła na pole walki. Trzeba było rzucić wszystko, matkę, ojcowiznę, żonę lub ukochaną i iść w szeregi, bić

się za sprawę narodu. Ale najdzielniejszy wojak w głębiach serca, pieścił zwykle obraz jakiej dzieweczki i marzył o tem, by wysłużyć sobie krzyż, aby przed wybraną stanąć z odznaką za męstwo i tem łatwiej zdobyć serce panieńskie.

Zygmunt Smoleński gdy po długich latach służby pierwszy raz spojrzał w oczy Maryi-Anieli, uczuł się podbitym. Nie była to jedna z tych przelotnych miłostek, któremi się już nieraz odurzał w wczesnej młodości, dziś budziły się w nim szlachetniejsze porywy, tkwiące w jego duszy, a które się zatarły przez życie w gronie lekkomyślnych przyjaciół. Marya-Aniela miała być jego aniołem opiekuńczym, broniącym go przed wpływem zgubnych rozkoszy świata. W obcowaniu z nią, pragnął odnaleść dawno stracony spokój i wypoczynek po życiu wśród niebezpieczeństw różnego rodzaju.

A Marya-Aniela?

Ona obchodziła się z dawnym towarzyszem zabaw z dziecięcą ufnością i skromną dziewiczą nieśmiałością, nie przeczuwając jak gorącej miłości była przedmiotem.

Zygmunt starannie ukrywał swe uczucia. Choć miał nadzieję, że z czasem pani Górecka powierzy mu córkę, to lękał się, iż wobec jej wielkiej młodości, matka nie prędko zechce rozłączyć się z córką, przytem coraz groźniejsze chmury zbierały się na widnokręgu politycznym. Polska jęcząca w niewoli, zbierała siły, by zrzucić z siebie obce jarzmo. W Warszawie i Królestwie

uwijali się agenci, ściągający do spisku młodzież... kto żyw, chwytał za broń, aby lecieć na pole walki. Sprawy prywatne, rodzinne szły na bok. Nie była to więc chwila stosowna, aby myśleć o ożenku, zakładać gniazdko rodzinne wśród nawałnic ryczących w koło.

Wiedział o tem dobrze Zygmunt Smoleński, mimo to, kiedy na chwilę uciszyło się w kraju skorzystał z tego czasu, aby zaprowadzić nieco ładu w rodzinnym majątku, przytem zajrzeć do Górowa dokąd go dusza i serce ciągnęły. Młody Smoleński nie odstępował Maryi-Anieli, jak gdyby chciał korzystać z każdej chwili wolnej, napawał oczy widokiem ślicznej dziewczyny — przeczuwając, że maluczko a inne straszne obrazy roztaczać się będą przed jego oczami. Dostrzegłszy ją stojącą samą na werandzie zbliżył się do niej i rzekł z lekkim wyrzutem w głosie:

— Czy pani pogardziła kwiatami, które jej dziś rano w hołdzie przesłałem? Sądziłem, że choć jedną różyczkę pani wybierze i ozdobi nią swoją śliczną główkę.

Marya-Aniela lekko zapłoniona, spojrzała na mówiącego:

— Dwie różyczki zostawiłam dla siebie, ale pewną jestem, że pan będzie zadowolony gdy się dowie, iż piękne jego kwiaty złożyłam u stóp Królowej Nieba. Tam będzie im najlepiej... a Matka Boska zechce błogosławić kwiatom i... panu.

Na ustach Zygmunta przemknął dziwny uśmiech. Ach! bo w sercu jego gorąca wiara Maryi-Anieli nie znalazła oddźwięku. Dawno ją wśród burzliwego życia utracił. Jak się to stało sam nie wiedział i byłby się wstydził przyznać do tego, w tej chwili zwłaszcza, gdy głęboko myślące oczy dziewczęcia spoczęły na nim badawczo.

Wspomnienie umierającej matki, gdy kładąc dłonie na jego głowę, zaklinała go, by pamiętał wiernie służyć Bogu i bronić prawd wiary św. stanęło przed nim jak żywe... Więc uśmiech szyderczy zamarł na ustach i spytał tylko Maryi-Anieli:

— Czy pani wierzy w cuda? Czy sądzi, że to, co raz zgubiliśmy możemy jeszcze odnaleść, z pomocą modlitwy?

— Modlitwie kornej, prostej i ufnej, nigdy Pan Bóg się nie opiera, jeśli to o co go prosimy, zgadza się z wolą jego najwyższą i przynieść może korzyść naszej duszy.

— Ach! jabym się cały w modlitwę zamienił, rzekł Zygmunt, gdybym wiedział... że... potrafię wyprosić u Boga wolność dla mej ziemi... gdybym mógł zerwać te pęty, które nas krwawią... i ujrzeć kraj mój ukochany oswobodzony, wolny... szczęśliwy! Jabym Bogu złożył w ofierze wszystko co mam...

— A dla czego nie ufać, że taka chwila dla nas nadejdzie? przerwało mu dziewczę... Bóg wszystko może... tylko nam trzeba iść naprzód

z wiarą i z poddaniem się, że to co on nam ześle i przeznaczy jest najlepsze... i nigdy nie buntować się...

— Ach! zawołał Zygmunt biorąc dłoń Maryi-Anieli w swe ręce i patrząc jej z czcią i miłością w oczy... gdybym mógł tak ufać i wierzyć, jak pani! Lecz skąd się bierze tyle rozwagi i poważnych myśli w główce twojej? Jesteś jeszcze tak młodą, dzieckiem prawie, powinnaś myśleć o szczęściu i radości życia...

— A pan także przecie jeszcze młody — odparła.

— Ja co innego... my żyjemy wciąż jak na wulkanie... Nie mogę przed panią wyjawić wszystkiego na co się zanosi... co nas wszystkich przejmuje... ogarnia zapałem... rozpiera piersi wielką, olbrzymią nadzieją... Ale pani przecie wyrosła na tej ziemi i odczuwa to wszystko... słyszy tę cudną pieśń wolności, która dźwięczy w nas i koło nas... pcha nas do czynu...

— Wobec niej milkną inne głosy... I ja dziś milczeć muszę choć patrząc na ciebie Maryo-Anielo, trudno powstrzymać słowa cisnące się na usta... trudno nie wyjawić ci tego, czem serce dla ciebie przepełnione...

Zatrzymał się chwilę wzruszony i czułym wzrokiem objął jej postać — ale ona główkę nisko spuściła ku ziemi i szepnęła:

— Pan ma słuszność. Powinnością naszą zapomnieć o sobie w takich chwilach... Gdy

serce wzniesie się raz wysoko — jakże wątłe i nikłe zdają mu się ziemskie uczucia.

— Wątłe i nikłe? o nie, Pani! — tego ja o swoich uczuciach ciebie tyczących powiedzieć nie mogę... Tylko mnie dziś nie wolno myśleć o... szczęściu... nie wolno mi...

Odstąpił od niej i chciał się oddalić, jakby się lękał, by nie uledz pokusie, nie powiedzieć jej, że ją nad życie kocha... a potem, raz jeszcze zbliżył się do niej i ująwszy zimne jej rączki, rzekł pospiesznie:

— Maryo-Anielo, gorącą prośbę zanoszę do ciebie... gdy będę już... daleko... w niebezpieczeństwie może, módl się za mnie! Bóg, takiego jak ty anioła wysłuchać musi... módl się za mnie... gdyż ja jestem niedowiarkiem!

— Pan niedowiarkiem! — jęknęło dziewczę i twarz ukryło w dłoniach... To straszne! Panie Zygmuncie! nie godzi się robić tak bolesnych żartów!

Ale jego już nie było na werandzie. Marya-Aniela długą chwilę stała jeszcze w głębokiej zadumie, a potem wolno skierowała swe kroki do salonu, gdzie otoczyło ją grono osób z prośbą, by zanuciła jaką piosenkę.

I posłuszna woli matka stanęła przy fortepianie, a pani Górecka chcąc rozweselić towarzystwo, razem z córką zaśpiewała:

Będzie pobór na panienki —
raz dwa trzy.

Maryi-Anieli oczy, gdy stała tak powiewna, w białej szacie, przybrały znów swój zwykły, marzycielski wyraz. Całe towarzystwo patrzało na nią z zachwytem, ona jedna nie wiedziała nic o wrażeniu wywołanem na przybyłych, nie wiedziała, że każdy, kto ją ujrzał, przesuwającą się wśród gości, z uprzejmem słowem na ustach, spoglądał z zachwytem na tę postać dziecinną jeszcze, a już tak poważną, tak dojrzałą, jak gdyby życie jej było przyniosło dużo rozczarowań. A przecież dotąd było ono pasmem powodzeń, otaczał ją materyalny dobrobyt, więcej nawet, bogactwo, posiadała młodość, urodę, nazwisko dobrze zapisane w dziejach narodu. Wielkie polityczne przewroty, spiski... tajemne knowania i nadzieje nie mogły przecież zajmować jeszcze umysłu tego dziecka! Dla czego więc młoda główka chyliła się niby pod trosk brzemieniem? Dla czego w ciemnych oczach palił się taki płomień powagi? Dla czego?

Niejeden z grona zebranych gości zadawał sobie to pytanie i mimowolnie szukał rycerskiej postaci pana Smoleńskiego, który się często w pobliżu panienki znajdował.

Świat, który nieraz sądzi z pozorów, przypuszczał, że serce dziewczyny ziemską miłością było przejęte, nikt z otaczających gości nie wiedział, że ją unosiło inne stokroć wznioślejsze uczucie, że ta strojna panienka dziś rano jeszcze przy łożu umierającej kobiety pełniła najprostszą służbę, że te białe ręce opatrywały wstrętne

rany, a czyniły to z taką radością i błogiem uczuciem, jak gdyby usługi, oddane chorej, nie były poświęceniem ale raczej przyjemnością.

A kiedy wieczorem, chcąc zadowolić matkę i spełnić wszystkie jej życzenia, zabawiała gości, nikt znów nie poznał po niej, że ten pierwszy występ nie zostawił w jej sercu miłego wspomnienia. Czcza, pusta, światowa rozmowa nużyła ją. Raz po raz dolatywały ją słowa lekceważące to, co uważała za święte, albo uszczypliwe zdania o bliźnim, które nie mogły podobać się jej na wskroś dobremu serduszku.

A była tem smutniejszą, że jak gorżkie echo, odbijały się w jej pamięci słowa młodego Smoleńskiego:

— Módl się za mnie... gdyż ja jestem niedowiarkiem!

— Co to miało znaczyć? — czyżby ten jej przyjaciel lat dziecięcych, nie kochał tego, co było najwięcej kochania godnem, albo był słabej, chwiejnej wiary? Marya-Aniela, głęboko religijnie wychowana, jeszcze w kolebce poświęcona Maryi, była tak pobożną, iż cień złego nie padł na czystą jej duszyczkę.

I oto nagle po raz pierwszy zetknąwszy się ze światem, usłyszała słowa, które wstrętem przejmowały serce.

Kiedy się towarzystwo późnym wieczorem rozjechało, Marya-Aniela pożegnała matkę, spoglądającą na nią z pewną troską, ale zasnąć nie mogła.

Noc była piękna, majowa, księżyc rzucał jasne blaski i nagle oczy Maryi-Anieli opartej w oknie, padły na figurę Matki Boskiej, która w aureoli światła miesiąca, jak białe zjawisko stała czysta, nieskalana i zdawała się uśmiechać do niej...

Serce dziewczęcia zabiło gwałtownie. Zarzuciła chusteczkę na ramiona i cichutko, by nie zbudzić matki, otworzyła podwoje werandy.

Woń rozkwitłych róż doleciała ją i nagle, gdy przypomniała sobie, że brakło dwóch najpiękniejszych pączków, łzy stanęły w jej oczach. Rzuciła się do stóp Matki Bożej:

— O Maryo! — przebacz mi, — zawołała, — te róże zwiędły w moim pokoju. Już ci ich przynieść nie mogę w ofierze. I zafrasowana dzieweczka poczęła się modlić a w miarę, jak usta szeptały pokorne prośby, dusza na skrzydłach modlitwy wznosiła się ku niebu!...

Przebrzmiały echa słów pochwalnych ludzi, pogasły światła w salonach, a cisza była dokoła. Na dalekich krańcach widnokręgu budziły się dziwne jakieś odgłosy... Niby tentent koni jadących rycerzy — niby pobudki wojenne — a potem jęki rannych, w nocnej ciszy płynęły...

Marya-Aniela przypominała sobie, że dziś stary wiarus Koprosio, który z jej ojcem odbył kampanią w Moskwie, mówił jej, iż w kraju zanosi się na wielką zawieruchę... Wprawdzie nie żył już Kościuszko, ale był jeszcze w pełni sił Dąbrowski, ale Łukasiński kręcił się po świecie,

werbował ochotników, rozwoził tajne skrypta. Nie długo patrzeć jak się młódź ruszy, zagrają trąbki wojenne. Marya-Aniela ze zgrozą pomyślała, ile nowych smutków, nieszczęść spadnie na polską ziemię. Ilu braci zginie, ile sierot przybędzie! Serce strwożone nie myślało o zwycięstwie, o chwale narodu i wydobyciu się z pod jarzma niewoli. Widziało tylko pola zasłane trupami, krwią obryzgane twarze, konające usta. I nagle u stóp pogodnej postaci Matki Boskiej ujrzała przed sobą drogę dziwnie wązką, lecz promienną, po której szedł ku niebu zastęp dziewic ubranych, w prostych zakonnych szatach, każda z nich niosła kryształowe naczynie łez pełne, łez otartych z oczu sióstr i braci, każda szła uśmiechnięta, jasna, pogodna i w miarę, jak zbliżała się do wrót niebieskich, była co raz czystszą, jaśniejszą, promienną. Marya-Aniela wyciągnęła ręce w niemym zachwycie, coś ją rwało, by iść za tym anielskim zastępem, oczy rozgorzały świętym zapałem, usta składały przysięgę dobrowolnej ofiary życia.... Szmer zbudził ją z zadumy:

W drzwiach balkonu ukazała się pani Górecka.

— Anielciu, dziecko moje najdroższe, co ty tu robisz? Ach jaki niepokój sprawiłaś mi... Nie zastawszy cię w sypialnym pokoju, szukałem w całym domu. Jakże możesz o tej porze siedzieć na werandzie! Boże mój, zaziębisz się, noc taka chłodna.

I wziąwszy córkę za rękę, otuliła ją szalem i pociągnęła szybko do pokoju.

— Niedobre dziecko, teraz mi się wyspowiadaj, co masz na sercu. — Jakże można straszyć tak matkę! co ci jest? Wyglądasz tak dziwnie jak w gorączce?

Marya-Aniela przytuliła usta do ręki matki.

— Przepraszam cię mamo za sprawiony niepokój. — Sądziłam, że mama śpi i cichutko wysunęłam się na balkon. Spać nie mogłam, a ta noc taka śliczna, gwiaździsta, zwabiła mnie. Chciałam się trochę pomodlić przed figurą Matki Bożej.

I widząc niepokój na twarzy matki, zawołała:

— Mnie nic nie będzie, mateczko, nie lękaj się — Matka Boska uchroni mnie od złego, tak tam było ślicznie u stóp Jej, ach tak błogo na sercu...

I uniesiona ujrzanym przed chwilą obrazem, zakryła twarz dłońmi i szeptać poczęła:

— Wszystkie były tak czyste, jasne i promienne — wszystkie miały białe szaty niewinności i wołały na mnie... wołały...

Pani Górecka z niepokojem dotknęła ręką główki swej córki.

Ale ona uśmiechnęła się i całując tę dłoń troskliwą, rzekła:

— Ja nie mam gorączki, matko najdroższa, jestem zdrowszą, niż kiedykolwiek. — Jutro wytłomaczę ci to, co mi serce tak dziwnie przejmuje...

— Dla czego nie dziś? w tej chwili? nie będę miała spokoju, dopóki nie zwierzysz mi się, co cię tak nagle przejęło. A może się domyślam,

— czy twoja modlitwa ma związek z dzisiejszym wieczorem? Czy może ktoś... do młodego serduszka rzucił pierwszą iskrę serdecznego uczucia, powiedz, czy odgadłam?

— O nie! — nie mamo, to zupełnie co innego... zupełnie... ja lękam się, że cię zasmucę moją spowiedzią, bo ja od ciebie mamo — zażądam wielkiego poświęcenia!

— Wielkiego poświęcenia? dziecko najdroższe, — wiedz, że nie ma na świecie takiego poświęcenia, któregobym dla twego szczęścia nie poniosła!

Aniela spojrzała z wdzięcznością na matkę i jeszcze bliżej przytuliła się do niej.

— Matko! tu chodzi rzeczywiście o całe szczęście moje i nie pierwszy to raz ta myśl powstała w mem sercu... matko! ja oddawna marzę o tem, aby się oddać na usługi bliźnich. — Dziś wyraźniej, niż kiedykolwiek miałam jasnowidzenie. Widziałam szereg dziewic w prostych, zakonnych sukniach, płynących ku górze, ku niebu i porwała mnie chęć nieprzeparta iść w ich ślady. O matko! ja pragnęłabym wziąść taką sukienkę, być takim aniołem miłosierdzia, który koi cierpienia bliźnich, przynosi im pociechę i słowo Boże... Tyle biedy, tyle nędzy na naszej ziemi, niezadługo pewnie jeszcze cięższe nastaną czasy, nasi chcą podjąć na nowo sztandar wolności... O mamusiu złota, czyż może być szczytniejsze powołanie, większe szczęście dla polskiej dziewicy, jak nieść pomoc braciom? Moje życie

było dotąd jednem pasmem pokoju, wygód i szczęścia, tyś mi była najlepszą matką i opiekunką najlepszą. Bóg mi dał majątek, nazwisko, powodzenie w świecie, czyż nie byłoby słusznem, abym tem szczęściem podzieliła się z biednymi i gdy ojczyzna w potrzebie, abym w zamian za tyle darów, poświęceniem życia wypłaciła się Bogu i krajowi?... O matko nie opieraj się moim prośbom, pozwól mi iść za tym głosem Bożym, który mnie woła — pobłogosław twej córce — nie chciałabym nigdy sprzeciwiać się twej woli, ale proszę cię, zaklinam, wysłuchaj mnie.

Głucha cisza zaległa pokój, słychać było tylko miarowe uderzanie zegara wygłaszającego dwunastą godzinę — i łkanie, które się z piersi matki wyrywało. — Biedna kobieta!

Zakryła twarz dłońmi, chcąc ukryć przed córką walkę rozdzierającą jej serce, ale poprzez palce łzy przeciskać się poczęły i spływać po dłoniach.

Marya-Aniela wzruszona, rzuciła się na szyję matki i ściskając ją serdecznie, wołała:

— Nie płacz mamo, — zostanę z tobą, jeśli chcesz, zostanę, — przebacz mi, — zapomnij o tem, co przed chwilą mówiłam.

Ale teraz odwaga córki udzieliła się matce.

— Nie moje dziecko! nie możesz z miłości dla mnie poświęcać Boga i bliźnich. Nie! — nie godziłoby się, abym ja, która cię nauczyła Boga i kraj kochać, dziś serce twoje odwracała od jego służby. To co mówisz, zaskoczyło mnie tak

nagle — tak niespodzianie. — Pozwól, niech się z tem oswoję. — Otarła oczy a potem patrząc miłośnie na córkę, ciągnęła dalej: Czuję straszny ból serca, a jednak, dziecko moje, jeśli się przekonam, że twoje powołanie jest prawdziwe, głębokie, nie będę się opierała twemu postanowieniu. Czy jednak przez usta twoje nie przemawia chwilowy poryw wzruszonego serca? Byłaś dziś u chorej Sochatki, patrzałaś na pasowanie się życia i śmierci — słyszałaś słowa Koprosia o nowych nadziejach i zapałach wojennych... potem otoczył cię świat, pierwszy raz ukazałaś się w liczniejszem kółku, może te różnorodne wrażenia odbiły się na wyobraźni i jesteś podnieconą? W kwiecie wieku chcesz poświęcić życie służbie chorych? A czy jesteś pewną, że później serce nie upomni się o swe prawa, że ono nie zapragnie ziemskich uczuć, gdy już będzie za późno? Nie mówiłabym ci o tem dzisiaj, jesteś jeszcze tak młodą i tyle masz czasu przed sobą, ale skoro tak poważne zrobiłaś wyznanie, więc i ja tobie powiem, że jest ktoś, który o tobie serdecznie myśli... ktoś bardzo szlachetny, młody, piękny, rycerski, który gotów cię poślubić i szczęście na ziemi zapewnić. Czy ta wiadomość nie wpłynie na zmianę twych postanowień?

Marya-Aniela lekko zapłoniona odpowiedziała szeptem:

— Wiedziałam o tem, — matko, — przeczucie serca mówiło mi, że nie jestem obojętną panu Zygmuntowi, a dziś on sam się odezwał... a jednak,

mamo najdroższa, choć nie taję przed tobą, że z wszystkich ludzi, jakich znam, ten mi po tobie najmilszy, to przecież, gdy porównam uczucia, jakie żywię dla niego z tem morzem miłości bliźnich, które przepełnia serce, to ono mi się wydaje bardzo nieznaczne, bardzo wątłe i bledziutkie.

— Za mało go dotąd widywałaś, ale z czasem może obudzi się w tobie większa skłonność, a przytem, moje dziecko, miałabyś też piękny cel przed sobą, to jest nawrócenie tej duszy ku Panu Bogu. Zygmunt Smoleński jest nad wyraz szlachetny, prawy młodzieniec, ale nie posiada silnej wiary. W sercu jego ścierają się wciąż dwa prądy złego i dobrego, gdybyś stanęła przy jego boku, poprowadziłabyś go drogą prawdy wiecznej. Czy tak wzniosły cel cię nie pociąga?

— Owszem, mamo, — ale tam, dokąd ja dążę, nie ma jednej, lecz są całe zastępy dusz potrzebujących opieki, spragnionych i łaknących słowa Bożego. Chętnie ofiarowałabym życie moje dla zbawienia duszy Zygmunta... lecz sądzę, że Bóg łatwiej wysłucha moje prośby, gdy uczynek z modlitwą pójdzie w parze.

Oczy pani Góreckiej zalały się łzami:

— Ach, moje dziecko! — to wszystko, co mówisz, jest tak słuszne i wzniosłe, iż niepodobna nie przyznać ci racyi, a jednak nie o tem marzyłam dla ciebie... Modliłam się gorąco, aby Bóg dał tobie to szczęście, które mnie odebrał, abyś żyła otoczona kochającą rodziną na ziemi.

— A czyż Bóg nie wysłuchał matki? Czyż serca mego po same brzegi nie przepełnił szczęściem miłości wielkiej — wielkiej, polskiej rodziny? Czyż nie gotuje mi wieńca, chwały niebieskiej? — I jeszcze serdeczniej objąwszy matkę, przytuliła złotą główkę do jej piersi a łzy szczęścia lekko poczęły spływać z jej oczu.

Wówczas pani Górecka na tę przytuloną główkę dziecka położyła dwie dłonie i łkając, szepnęła:

— Niechaj ci Bóg błogosławi! niechaj się spełni Jego wola święta. Dziś jeszcze jesteś za młodą, aby swym losem rozporządzać, lecz jeśli wytrwasz, za dwa lata pozwolę ci iść za głosem powołania!

* * *

Rok 1831!... W każdem polskiem sercu, wspomnienia onego krwawego dramatu, który nieszczęśliwy kraj pogrążył w większą jeszcze niedolę, odzywa się bolesnem echem. Były to chwile wielkiej chwały naszego oręża, ojcowie nasi w nadziei odzyskania napowrót zabranej nam przez wrogów ojczyzny, cudów waleczności dokonywali, lecz niestety! były to tylko przebłyski nadziei... które krótko świeciły i zgasły w bezsilnej walce powstania.

Pani Górecka w osamotnionym dworze pędziła żywot pełen trosk i niepokoju. O dawno, dawno temu rozlegał się dźwięczny głos jedynej

córki, tej ślicznej, dobrej córki, która w zaraniu młodości oddała się na służbę cierpiących braci.

Przypominała sobie ostatnie chwile spędzone razem, gdy nie odstępowały się wcale, by nie tracić drogocennego czasu, pamiętała dobroć dziewczęcia, z jaką chciała matce osłodzić rozstanie i ten szary, listopadowy wieczór, gdy młody Smoleński przybył rozmówić się, wyznać jej miłość, a potem jak odjeżdżał z rozpaczą w duszy żegnając się z tą, której kochać nie przestał a czcić poczynał jak świętą. — Pamiętała ten wieczór — biedna matka i ów smutniejszy jeszcze, choć go poprzedzał tak jasny, słoneczny dzień majowy, gdy w wąskiej, ubogiej kapliczce szaretek poznańskich młode, pełne uroku i wdzięku stworzenie przekształcone na skromną szaretkę, wykonywało śluby zakonne, dzielące ją na zawsze ze światem żyjących ludzi! Ach! pamiętała tę najcięższą chwilę rozstania, gdy stanęła na progu zakonnego domku i poraz ostatni ręce jej dotknęły się schylonej głowy szaretki. I na myśl o tych chwilach serce jej zalewało się bądź cierpieniem bądź wielką pociechą. Bo i czemże wysłużyła sobie u Boga tę łaskę nad łaskami, że jej dziecko poszło tą promienną drogą zaparcia, posłuszeństwa i doskonałości chrześcijańskiej?

A dziś, gdy echa powstańcze brzmiały w całym kraju, gdy każdy kto mógł, biegł na pole chwały umrzeć lub zwyciężyć, dziś między zastępem bohaterów przesuwała się cicha dzie-

wica, niosąc pomoc i radę walczącym braciom, zagrzewając ich do wiary i do modlitwy.

Pani Górecka niemocą przykuta nie mogła opuścić domu; jedyną pociechą były wiadomości, które odbierała z pola bitwy od brata walczącego w szeregach i raz poraz króciutkie liściki od córki, gdy ta między jedną czynnością a drugą, kradła parę chwil spoczynkowi, by matce donieść, że żyje, że zdrowa i szczęśliwa. Pani Zofia brała te świstki papieru, będące całemi poematami miłości i zaparcia i całując je, układała w jedną wiązankę, wstążką białą przepasaną. I gdy mijały dni pełne trwogi i niepokoju o ukochanych, a nie nadchodziły żadne wieści z oblężonej stolicy, to odczytywała listy córki prosząc Boga, aby nie były ostatniemi...

— Matko! módl się za nas, — pisała Marya-Aniela w jednym z pierwszych listów, bo potrzeba nam wiele siły i odwagi. Kiedy wstępowałam do zakładu, by przyjąć welon, nikt z nas nie wiedział jeszcze napewne, że niebawem rozpocznie się walka o niepodległość i nastaną tak ciężkie chwile dla naszego kraju. Czyż Opatrzność Boska nie kierowała mojemi krokami? O jak jej wdzięczną jestem, że mnie powołała do tak wzniosłego dzieła. Cóż byłoby straszniejszego dla mnie, młodej i sił pełnej, jak żyć bezczynnie, w chwili, gdy bracia idą krew za kraj przelać! Tu w koło tyle nędzy — tyle nędzy... Ileż matek pozostanie osieroconych! W polskiem wojsku duch karności się utrzymuje — wszyscy

jednomyślnie zdecydowani są „umrzeć lub zwyciężyć".

O niechaj będzie, co Bóg przeznaczył! Nie dość mieć męstwo, zapał i ufność, trzeba jeszcze mieć poddanie! O to błagam co dzień Boga, dla ciebie matuchno, dla braci mych i dla siebie... Żegnaj matuchno i bądź o mnie spokojną.

Twoja córka Siostra Barbara.

A w drugim liście pisała:

18/2 31 r.

Matko najdroższa, trzeba, abyś się dziś goręcej jeszcze modliła — bo dziś wre walka, która ma stanowić o naszej przyszłości. Boże! daj nam tyle męstwa, abyśmy znieść mogli to wszystko, co nas dręczy. W Bogu jedyna ufność nasza... On jeden może nas wyrwać z tej okropnej przepaści. Pod Grochowem nasi się dzielnie biją. Dziś zwyciężymy — ale co będzie jutro?

Huk dział rozlega się w całem mieście, gwardya narodowa pod bronią i na wałach dużo mamy jeńców. Ach! droga matko, nie wystawisz sobie tego okropnego widoku... jaka tu ilość rannych, jak się serce rozdziera, widząc tylu więźniów. Wuj Tadeusz Perzyński był tu dziś za furażami, trzy dni trwał w ogniu i szczęśliwie uszedł, ale teraz znowu się bije. Boże! jak się to wszystko skończy! Mateczko najdroższa! módl się za nich i kochaj Twą do grobu przywiązaną córkę Barbarę.

21/3 31 r.

Byłam dziś na Pradze u rannych, mnóstwo ich tam leży, serce się kraje, ale oczy już łez wylewać nie mogą... Widziałam wuja Tadeusza, dostał krzyż za waleczność. Zygmunt Smoleński ciągle w największym ogniu, wszystkiem komenderuje, a dziś dwóch jego stryjecznych braci zostało rannych, przewieziono ich do Mienia. — Jeden utracił dużo krwi, drugi został rannym w głowę. — Rana nad samem okiem, obawialiśmy się, aby oka nie stracił, ale dzięki Bogu, tylko mu blizna zostanie na pamiątkę. Boże daj nam tyle siły, byśmy mężnie znieśli ciężkie próby. A Ty, mateczko droga, bądź dobrej myśli i o mnie się nie troszcz, gdyż mimo, że serce się wciąż ściska, jestem zadowoloną...

Twoje szczęśliwe dziecko
Siostra Barbara.

21/4 31 r.

Wczoraj pismo najdroższej matuchny odebrałam, a choć czasu nie wiele, żeby matuchnę zaspokoić zaraz odpisuję. Rzeczywiście cholera zaczyna się tu pojawiać, ale dotąd mało ofiar zabrała. Bóg ma nas w swojej opiece! Wuj Tadeusz i Zygmunt Smoleński byli w okropnym ogniu pod Liwem, ciągle na czele i w największych niebezpieczeństwach, mimo to wyszli z tej walki nietknięci, tylko okryci chwałą. Miło mi, że mogę tak przyjemną wiadomość donieść matuchnie. Zabrano nieprzyjacielowi 20 armat i 5

sztandarów, dużo jeńców. Nasi cuda waleczności dokazywali. Żegnam cię, matko, i Bogu polecam.

Twoja do grobu wierna córka
Siostra Barbara.

9/5 31 r.

Niech się mateczka nie lęka — mnie ciągle zdrowie służy. Wprawdzie cholera jeszcze tu nie ubita, lecz nie jest znów tak groźną i przy prędkiem zaradzeniu można się z niej wyleczyć. Kilku z naszych już na nią chorowało, ale oprócz trzech szeregowych, żaden nie umarł. Jeżeli grasuje, to między żydami i tam zabiera dużo ofiar, bo wszyscy się jej boją i jeden drugiemu nie chce nieść pomocy. Teraz dobry przykład ich przekonał i mają trochę więcej miłości bliźniego. Życie nasze bardzo czynne, ale Bóg daje siłę i spokój wewnętrzny.

Do śmierci najprzywiązańsza córka
Barbara.

14/6 31 r.

Droga matko! Wszyscy nasi jeszcze żyją i zdrowi. Bóg czuwa nad nimi. — Ja jestem zdrową i bardzo zatrudnioną — codzień modlę się za Ciebie, mateczko najdroższa, jeżeli jest jakie poświęcenie z mej strony, to to, że z Tobą się musiałam rozłączyć i zostawić Ciebie samą. Wczoraj przyszła wiadomość, że Dybicz zakończył życie. Cesarz przysłał adjutanta na zrewidowanie wojska, przy rewizyi znalazł je w daleko

gorszym stanie, aniżeli Dybicz w raporcie doniósł cesarzowi. Wówczas adjutant powiedział mu, że przymuszony będzie odkryć prawdę, przed najjaśniejszym Panem. W dwie godziny później znaleźli Dybicza nieżywym i sądzą, że się otruł. Stało się to w Pułtusku. Biedny nieszczęśliwy człowiek! Jakże mi żal jego duszy.

15/6 31 r.

Już pewnie doszły matkę najdroższą wieści o nowych porażkach. Wczoraj walka była okropna i krwawa. Nasi bili się jak lwy, ale i Moskale dobre dawali odparcie. Dziś amputowali rękę panu Franciszkowi K., trzymałam go i zdumioną byłam jego cierpliwością. Nie może sobie matuchna wystawić, ile mnie to kosztowało, choć już teraz mam daleko twardsze serce, ale słaba natura jeszcze się odzywa! Wuj Tadeusz pojechał na Litwę, niestety! szczęście się od naszych odwróciło i mówią, że Wilno w rękach nieprzyjacielskich. Co jest najboleśniejszem, że długi czas upłynie, zanim się dowiedzieć będziemy mogli, jak im się powodzi. Lecz matko droga, nie traćmy nadziei — módlmy się, ufajmy, to co Bóg nam przeznaczy, to zawsze najlepsze. — Wdzięczna i kochająca córka B.

22/6 31 r.

Najdroższa matusiu! — Dziś list mój Cię nie ucieszy, bo smutne nowiny nadeszły z Litwy. Generał Giełgud nie zdobywszy Wilna, cofa się ku granicy pruskiej, osaczony nieprzyjacielem

z wszystkich stron. Wojsko szemrze przeciw niemu. Jak tylko się jutro co dowiem, a czas znajdę do napisania kilku słów, nie zapomnę donieść matuchnie. Bóg z Tobą i Matka Najświętsza!

Twoja córka
Siostra Barbara.

12/7 31 r.

Bóg nad nami czuwa, mateczko! — Już wiemy, że wuj Tadeusz pod rozkazami generała Dembińskiego przedostał się szczęśliwie przez kordon nieprzyjacielski i zbliża się do Warszawy. Na Litwie dzieją się straszne rzeczy, kraj cały w ogniu. Boże zmiłuj się nad nami!

— Boże zmiłuj się nad nami — to były ostatnie słowa siostry Barbary — ostatnie...

Od tej pory minęło siedm dni, — siedm dni — strasznych wyczekiwań. Znikąd nie nadchodziły wieści! „Boże zmiłuj się nad nami!“ powtarzały blade usta pani Góreckiej, a każda chwila zwiększała trwogę o ukochanych.

Czy o tej porze brat jej jedyny, filar rodziny, brat, który miał jej zastąpić nieobecną córkę — żyje jeszcze! Codzień donoszono o nowych klęskach i krwawych potyczkach, codzień nowe ofiary, kwiat rycerstwa, młódź, zaledwie od ziemi wyrosłą, zabierała śmierć nieubłagana. Kto wie, jaki los czeka jej ukochanych? W szeregach walecznych walczyli brat jej Tadeusz najstarszy z rodzeństwa, dwóch siostrzeńców i wielu innych krewnych, przyjaciół a na czele Zygmunt Smo-

leński, którego kochała jak syna, tyle węzłów, tyle wspomnień przeszłości łączyło ich serca. Wszyscy poszli na pierwszy odgłos wojenny, za swojem przeznaczeniem. Czy tylko przeznaczeniem? Czy od kolebki nie wpajano w ich serca miłości do kraju?

Czyż Marya-Aniela z piersi matki nie wyssała tych szlachetnych uczuć, które ją parły tam, gdzie ofiara i poświęcenie?... A brat i siostrzeńcy czyż nie byli potomkami rycerzy, bohaterów z Somosierry — Racławic!

Pani Górecka wiedziała dobrze, że gdyby raz jeszcze urodzić się miała, te same zasady świętej i wzniosłej miłości ziemi wpajałaby w młode serduszko córki, że stokroć milszym był jej niepokój i trwoga o życie brata, niż gdyby go tu miała przy sobie, opływającego w dostatki, podczas gdy inni krew i mienie kładli w obronie ojczyzny.

A jednak ciężkie było osamotnienie biednej wdowy. Jedyną pociechę wlewały w serce listy córki, która upadając ze zmęczenia, znajdowała jeszcze chwilkę czasu, aby matce donieść o tem, co ją uspokajać mogło, pocieszać i do życia przywiązywać.

Nagle korespondencya ustała — Siostra Barbara umilkła. Tysiąc złych przeczuć padło na zbolałe serce macierzyńskie, bo rozpaczliwa walka trwała jeszcze i każda godzina mogła przynieść wieść straszną!

* *
*

Podczas gdy w cichym dworze górowskim, samotna wdowa korzyła się przed obrazem Pana nad Pany, pod murami Warszawy leciały w zwartych szeregach pułki polskie naprzeciw wrogowi.

Słońce krwawą łuną zaszło, rzucając smugi czerwonego światła na pole trupami zasłane. Legł pokotem bitny żołnierz polski, zrywały się jęki konających, krzyk bólu i rozpaczy płynął ku niebu, czasem przekleństwo, często westchnienie przedzierało się ze zdławionych krtani. Przepotężna siła nieprzyjaciela mordowała bezbronnych. W dali grały jeszcze zwycięskie armaty moskiewskie, lecz choć coraz słabiej, słabiej, raz poraz jeszcze kartacze spadały na ziemię, siejąc spustoszenie.

Boczną ścieżynką ku temu polu śmierci zmierzały pod gradem kul dwie Siostry zakonne, służebniczki chorych. Z twarzy ich widniał smutek, młodsza zwłaszcza nie mogła oprzeć się wzruszeniu, a z ócz jej, raz poraz łzy spływały...

— Boże mój! — szeptała, — ilu rannych, ile trupów! Dziś pogasną chyba wszystkie nasze nadzieje — Warszawa wzięta, wojsko w rozsypce, kwiat rycerstwa zginął. Nie pomógł silny duch, miłość ojczyzny, zapał, poświęcenie, przemoc nas zgniotła!

Obiedwie Siostrzyczki poczęły się schylać, oglądać czy między trupami kto żyw nie leży, komuby można jeszcze przyjść z pomocą. Ponad ich głowami, raz poraz świstały granaty, skorupami pryskały lub z trzaskiem ryły się w ziemi,

one niepomne na grożące im niebezpieczeństwo, szły mężnie naprzód, szepcąc słowa modlitwy:

— Pod Twoją obronę...

Marya-Aniela a raczej Siostra Barbara z trudem poczęła się przeciskać przez porozrzucane baterye, bagnety, karabiny, kolby, przez kałużę krwi i rów trupami zawalony, gdyż zdawało jej się, że kędyś od południowej strony dochodziło ją jakieś wołanie.

Szła coraz szybciej, kiedy niekiedy przystawając i nasłuchując, a wtem głos jakiś przyciszony lecz niby jej znany, zawołał tuż przy niej:

— Ratuj! Ratuj, Siostro!

Serce jej stanęło na chwilę z przerażenia, ujrzała jakąś olbrzymią masę końską, a gdy się pochyliła nad trupem zwierzęcia, poznała pod nim leżącego rycerza.

— Boże najwyższy! Pan Zygmunt Smoleński! — krzyknęła.

Tak to był on! Oczy jego rozszerzone trwogą i błagalnym wyrazem spoczęły na niej:

— Ratuj! — powtórzył.

— Pomóż mi wydobyć się, odetchnąć!... jestem ranny... już mi nie wiele do życia. — A cóż dywizya Bogusławskiego? gdzie on? gdzie nasi? czy mój oddział zwyciężył?

Marya-Aniela silnie ująwszy za ramię Smoleńskiego, poczęła mu pomagać wysunąć się z pod konia. Ale nie była to łatwa sprawa. Krople potu spływały z jej czoła, żyły na skroniach krwią nabiegły, serce zamierało w piersi, ale

gorąca chęć ratowania rannego podwajała słabe siły kobiety.

— O dzięki, dzieki! — szeptał Zygmunt. — Już trochę lepiej, lżej oddycham, chciałbym Siostrze coś powiedzieć... tu testament... tu rana głęboka... krew ucieka...

A gdy zakonnica ostatnim wysiłkiem woli uwolniła ramię rycerza z pod ciężaru końskiego, spojrzał na nią z bezgraniczną wdzięcznością i — zadrżał...

— Marya-Aniela! Pani! — wydobyło się z jego piersi. — Co za szczęście!... Ty przy mnie! bez ciebie byłbym zginął. Ach! jak mi lekko — oddycham, gdzie nasi?...

— Tak, ja przy tobie, panie Zygmuncie, — modliłam się codzień za ciebie... Widzisz Bóg jest wielki, wszechmocny, on mnie tu zesłał. — Bez Niego nic się na świecie nie dzieje — powiedz, co mam dla ciebie uczynić? Czy nie chciałbyś pomodlić się razem?

— O tak, chętnie, — ale ja modlić się zapomniałem! Tak mi słabo... pić! Krew mnie ubiega, a ja chciałbym żyć — z Bogiem się pojednać — przebłagać, byłem niedowiarkiem, za późno!...

— Nie! nie za późno, — zawołała Siostra. — Mam przy sobie watę opatrunkową — zawiążemy ranę — pobiegnę po pomoc, po księdza.

Szybko zrobiła opatrunek choremu i wlała do ust kilka kropel likieru, a kładąc mu w rękę medalionik Matki Boskiej Częstochowskiej rzekła:

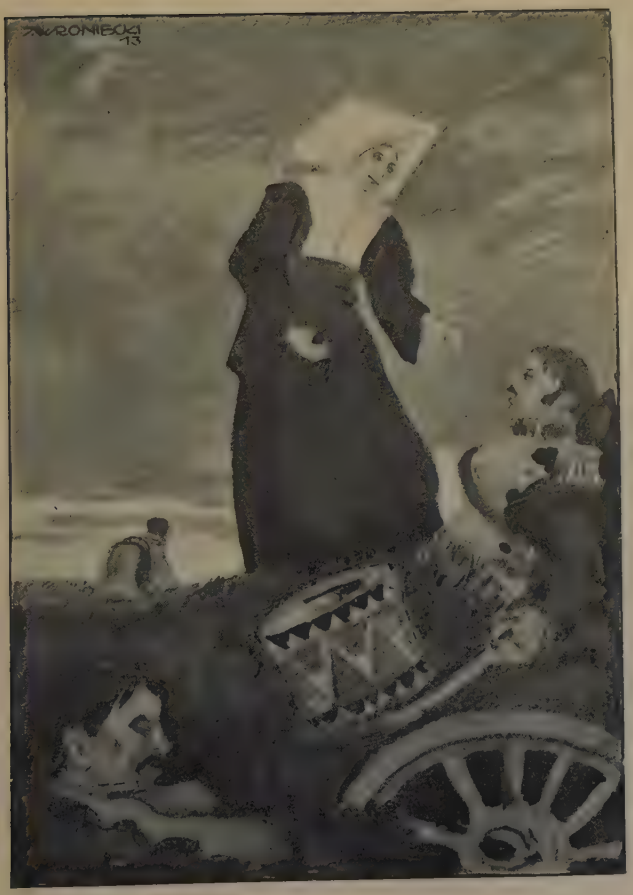

...Pić! Krew mnie ubiega, a ja chciałbym żyć — z Bogiem się pojednać — przebłagać (str. 192).

— Niech pan z głębi serca westchnie do tej naszej najlepszej Matki. Ona da panu siłę potrzebną i ześle pomoc. Ona nie pozwoli zginąć, nie pogodzonemu z Bogiem.

— Za chwilę tu będę wraz z pomocą, zaniesiemy pana do obozu. Tylko bądź dobrej myśli, wierz, ufaj i módl się.

— Zdrowaś Maryo łaskiś pełna! — Złożyła mu ręce do pacierza, raz jeszcze pochyliła się nad nim, robiąc znak krzyża św. na czole, a potem powstawszy, szybko biedz poczęła.

Usta jej nie przestały zasyłać błagalnej prośby do Królowej nieba o ratunek dla rannego. Dokoła wszystko kłębiło się, nigdzie spokoju, ni ciszy, salwy armatnie, łoskot bębnów, jęki i ochrypłe głosy trąb mieszały się w jednym strasznym bezładzie.

Marya-Aniela szła szybko schylając się wśród tego odmętu i zgiełku, a dusza jej wołała:

— O Matko! kiedyś mnie na drodze jego życia postawiła, pozwól, niechaj mu oddam tę największą, najświętszą przysługę! Daj mu żyć jeszcze tak długo, dopóki kapłan nie rozgrzeszy go z ciężkich przewinień życia i nie pokrzepi wiatykiem na drogę wieczności!

Biegła szybko sama już ledwie żywa od wysiłku i wzruszeń, skacząc po przez trupy, padając i podnosząc się na nowo, ale szczęście jej sprzyjało, niebawem napotkała grono ludzi wysłanych z głównej kwatery polskiej na pobojo-

wisko w celu szukania rannych, niesienia im pomocy w ambulansach.

— Ach, jakie szczęście, że waszmościów spotykam! — zawołała, — Bóg was tu przysłał. Oto tam, daleko — wskazała ręką w stronę, gdzie spoczywał Zygmunt, leży przywalony koniem, ciężko ranny Smoleński.

— Pułkownik Smoleński! — krzyknął jeden z obecnych. — Naczelny wódz właśnie opłakiwał jego stratę — widziano go w największym ogniu jeszcze dziś w południe, a potem znikł nagle i nikt powiedzieć nie umiał, kędy padł. Siostro! wskaż nam miejsce, gdzie spoczywa, albo prowadź coprędzej. Toż on bohaterem dnia dzisiejszego, walczył jak lew. Na Boga! jeśli żyw jeszcze, krzyż sobie dziś wysłużył.

Siostra odparła spiesznie:

— Pułkownik Smoleński żyje jeszcze, ale chwile jego życia może policzone i nie o krzyżu ziemskiej zasługi myśleć nam trzeba dla niego, lecz o ratowanie duszy i nagrodzie wiecznej. Czy ksiądz kapelan jest gdzie w pobliżu?

— Był tu przed piętnastu minutami, — dysponował na śmierć braci Radowskich.

— To biegnij waszmość po niego i przyprowadź go tu duchem — rozkazał starszy grenadyer, — a my Siostro, nie traćmy czasu, idźmy naprzód. — Wy, bracia, weźcie nosze ze sobą, pułkownikowi zginąć nie damy.

I poszli pod przewodem szaretki. Zmierzchać już trochę poczynało, ale walka wrzała jeszcze.

Chwilami zdawało się idącym, że rozpoczyna się na nowo bój morderczy, bo ryk dział się odzywał, kule świstały w powietrzu, przechodziły gromady żołdactwa, leciały w szalonych podskokach spłoszone konie, wlokąc za sobą ciała jeźdźców pokrwawione, zsiniałe, straszne.

Siostra Barbara szła mężnie naprzód, robiąc znak krzyża św. ile razy kula nad głowami jej towarzyszy przeleciała. Już byli niedaleko celu, a w tem morderczy grot jakiś świsnął w powietrzu i cichy jęk wydobył się z jej piersi... po krótkiej chwili zachwiała się i padła na ziemię.

— O Jezu! — O Matko najświętsza!

Żołnierze rzucili się ku niej, chcąc podnosić, ratować, ale ona pełne słodyczy oczy zwróciwszy ku górze szeptała:

— Bóg wam zapłać! — Jestem ranna... tu... w serce... mnie już nic nie trzeba, ja idę do Pana... proszę szukać tam — tam leży pułkownik — jego ratujcie... błagam was, pamiętajcie o duszy!

Uniosła się lekko ze ziemi i miała tyle sił jeszcze, by powlec się czołgając do miejsca, skąd już dostrzedz było można olbrzymie cielsko siwego wierzchowca.

Wyciągnęła rękę, wskazując:

— Tam za rowem leży... — szepnęła i drobna jej postać zsunęła się cicho na ziemię.

— Już i po niej! — rzekł jeden z żołnierzy, nachylając się ze smutkiem nad zwłokami szaretki.

— Ot bohaterka, święta panienka! — odparł drugi, a w oku coś mu zabłysło. I na męskich

obliczach tych wojowników, którzy patrzeć mogli bez wzruszenia na straszne spustoszenie wojny, wobec tej wzniosłej, bohaterskiej śmierci anioła dziewicy, łzy żalu spływały cicho.

— Requiescat in pace — rzekł najstarszy i przymknąwszy powieki zmarłej, rzekł:

— Trzeba spełnić jej ostatnią wolę — idźmy odszukać pułkownika. Ksiądz kapelan widzę, już też nadchodzi.

* * *

Przed dwór Marzenie, własności Smoleńskich zajechała powózka zaprzężona w parę starych, wynędzniałych koni. Skulony, grubym pledem otulony mężczyzna wydobył się z niej trudem i stanąwszy na wschodach dworku, zmęczonym wzrokiem powiódł do koła. Czekał dość długo i począł stukać aż się drzwi wchodowe otwarły nieznacznie i wiekiem przygarbiony staruszek ukazał w nich swą siwą głowę, a zobaczywszy przybysza, z okrzykiem szczęścia przypadł mu do ręki i począł go witać radośnie:

— Pan pułkownik Smoleński! — Boże, bądź pochwalony! — Boże, co za niespodzianka! — a toć się biedna pani moja ucieszy!

Zygmunt Smoleński położył lewą dłoń na siwą głowę sługi i wzruszony przycisnął ją do piersi, ale gdy się chciał obrócić, ten krzyknął głośniej:

— Jezu, Królu mój! Jezu! bez ręki!

Stary Koprosio jął spoglądać na niegdyś tak dorodną, dziś wychudzoną postać młodego czło-

wieka, którego nieomal wypiastował w dzieciństwie i osłupiały wzrok skierował na ten rękaw zwieszony, pusty, straszną prawdę zdradzający.

— O Jezu! — pan Muś — pan Mutek ukochany! — bez ręki! — zapłakał.

— Tak mój Koprosio, wracam do was kaleką... a oczy mówiły — nietylko kaleką, ale z rozdartem sercem, z zawiedzionemi nadziejami.

I z głuchą rozpaczą dodał:

— Wszystko stracone! — wojsko w rozsypce, kraj wrogiem zalany — kwiat młodzieży w pień wycięty!

Stary podniósł ręce do góry.

— O straszne sądy Boże nad nami! inaczej bywało, kiedyśmy z panem naczelnikiem pod Racławicami w pień nieprzyjaciela wycięli! Człowiek był już niemłody, zaledwie się na nogach trzymał, w ogień szedł, a kula jednak się nie imała i wrócił cały do swoich. A tu taki młody pan kaleka! o rany Boskie! O Jezu mój, królu.

I stary włócząc nogami, w głos szlochając, wprowadzał pana do opustoszałego dworku, gdzie wszystko pyłem zakurzone stało, niby w sennem oczekiwaniu zanim dłoń pańska te przedmioty poruszy, do życia przywoła.

Zygmunt Smoleński obszedł dolne komnaty, witał je jak miłe znajome, przystawał dłużej przy portretach dawnych przodków, spoglądających ku niemu pogodnie, aż zbliżył się do starego dębowego biurka.

Nacisnął guzik, drewniana okładka odskoczyła i ukazała się szufladka ukryta wewnątrz. Wydobył z niej portrecik ślicznej dziewczynki, o wiośnianym wdzięku lat 16 i długo, długo wpatrywał się w niego, z taką czcią i namaszczeniem, jak gdyby obrazek święty miał przed sobą. Potem znużoną głowę oparł na ręku, a dwie łzy stoczyły się wolno z oczu. Siedział tak chwilkę nieruchomy, zapatrzony w własną boleść, a potem, jak gdyby się zawstydził niemęskiej słabości, uniósł głowę wyżej i spojrzawszy na starego przyjaciela wiarusa, za krzesłem cicho stojącego, zapytał:

— A cóż pani Górecka? — biedna ona, z nas najbiedniejsza, czy żyje? czy zdrowa?

— O tak, mości panie pułkowniku, — żyć bo żyje, niby to po ziemi chodzi, ale więcej do cienia, niż do kobiety podobna. Jak przyszła wiadomość o wzięciu Warszawy i o tem, że nasza ukochana, święta panieneczka zginęła, tak od tej pory już i starsza pani nie przyszła do swego rozumu. Mówi mało wiele, co mówi, jeść nie je, jeno siedzi, a suchem okiem mierzy daleką przestrzeń i szepce paciorki. Panie mój, żałość bierze patrzeć na nią, a mnie najwięcej, który mam w pamięci dobrze, gdy ją nasz pan Henryk wprowadzał młodą, śliczniutką taką na buzi i wesołą jak ptaszę. Młodsza, niby Marya-Anielcia, mówię, to już nigdy nie umiała się tak z pustotą weselić i bawić — zawsze to było ciche i rozważne nad wiek, dobre, że przyłóż na rany.

I tak ją też Pan Bóg najpierwszą do Swej chwały powołał, a chybać tam, między aniołami i Świętemi pańskiemi przednie zajmuje miejsce. Ale co do starszej, to już ją po śmierci córki nic z mankolii wydobyć nie może.

— Pan Tadeusz Perzyński, brat pani Góreckiej nie wrócił? Bo to wiecie, przyjacielu, prosto z lazaretu jadę, nic nie wiem co się u nas dzieje, kto żyw jeszcze a kto zginął.

— Pan Tadeusz, chwała Bogu, przy życiu, jeno, że tam ma swoje posiadłości i że to z za kordonu przyleciał tu się bić, więc jeszcze w Prusiech odsiaduje karę więzienną. Bóg wie, jak to długo potrwa zawziętość sroga przeciw nam. Twarda dola nasza.

— Oj, twarda, twarda, Koprosio, jak Polska długa i szeroka tysiące braci po świecie rozrzuconych, tyle krwi wylanej, tyle serc rozdartych, a przed nami ostatnia nadzieja na wałach Warszawy pogrzebana i wiara, że na nowo powstanie szlachetny ród, utracona!

I cóż ja teraz poczne nieszczęśliwy kaleka, co poczne? mamże żyć wśród mogił i krzyży, z wygasłą nadzieją w sercu? Boże, czemuś mnie oszczędził! Czemuś nie pozwolił zginąć razem z moimi braćmi na polu chwały!

Odwrócił smutne oczy i spojrzał znowu na portrecik ślicznej dziewczynki i jakby nowe wspomnienie jaśniejszą falą zalało mu duszę, uderzył się w pierś i szepnął:

— Przebacz Panie Jezu te słowa i słabość moję! Nie wolno mi tak mówić, grzech, obraza Boska. Gdybym był wówczas zginął — gdyby mnie ten anioł nie był wyratował od śmierci, — cóżby się z duszą moją było stało? Byłem bardzo wielkiemi winami obciążony. Gdy ona odrzuciła moje serce, bluźniłem Bogu, szalałem. Teraz trzeba żyć, trzeba pokutować, wlec dalej tę taczkę żywota, choć na prawdę ojczyźnie i nikomu na nic się już przydać nie mogę, jestem kaleką!

Zygmunt Smoleński spuścił nisko głowę i rzeczywiście w tej chwili wyglądał tak zmizerowany, wyniszczony, jak uosobienie bólu i cierpienia.

A za krzesłem cicho stojący stary wiarus targał siwe wąsy, wycierał łzy spadające z wyblakłych oczu.

— Mości panie pułkowniku — szepnął — Bóg wielki — Bóg miłosierny, kto wie, co się jeszcze na świecie stać może. — Dziś nam smutek i zgryzota — jutro odbijemy, co przemoc zabrała... Może się człek grzeszny nie doczeka wschodu słońca, ale wiary, że to słońce i dla naszych wnijdzie, tracić nie trza, nie godzi się. A pan pułkownik mógłby się jeszcze bardzo przydać na świecie — o bardzo. — Tak mi się widzi, że kiedy Opatrzność zabrała córkę jejmość pani Góreckiej, to jej z umysłu zostawiła syna przy życiu, aby ją pielęgnował, a pieścił, aby był jej towarzyszem nieodstępnym i dzieckiem posłusznem, razem sy-

naczkiem i córką, boć wiadomo, że ona pana pułkownika jak swego rodzonego umiłowała.

Na te słowa starca Smoleński zerwał się z krzesła, postąpił ku niemu i rękę kładąc na ramieniu, spojrzał mu bystro w oczy:

— I wy na prawdę myślicie przyjacielu, — że ja dla tej nieszczęśliwej kobiety mogę coś zrobić? mogę ją pocieszyć, zbolałemu sercu przynieść ulgę? — Mówcie, mówcie, powtórzcie mi raz jeszcze to samo. — Ach! człowieku, toć byłoby rozkoszą dla mnie, mieć cel w życiu, znaleść w niej matkę. — Na jej łonie wypłakać wszystkie łzy serdeczne, a sam stać się podporą jej starości! Toć ja mam względem niej dług wdzięczności, tak wielki, iż całe życie poświęcenia nie starczyłoby, aby wypłacić to, co jej święta córka dla mnie uczyniła! O nie łudźcie mnie, zacny Koprosio, tą nadzieją, to byłoby za piękne dla mnie w mej czarnej niedoli, za wielkie szczęście. Toć ja nie będę śmiał nawet pokazać się na oczy pani Góreckiej, ja, żyjące wspomnienie bohaterskiej śmierci Maryi-Anieli — ja mimowolna przyczyna jej zguby! Czy ty wiesz, starcze, czy wie o tem nieszczęśliwa matka, że ona padła od kuli nieprzyjacielskiej, w chwili, gdy mnie niosła pomoc i ratunek? I cóż ja powiem tej biednej kobiecie, gdy mnie pytać będzie, jak zginęło ukochane dziecko?

— Ona was pytać nie będzie panie, ona wie wszystko — wszystko, ale nie szemrze przeciw Opatrzności, Bogu nie bluźni. Kiedy pierwsze

orędzie nadeszło o powstaniu, o utarczkach pod murami Warszawy, rzekła do mnie:

— Teraz wiem — Koprosio, — dla czego ją Bóg tam powołał i wiem, — że już nigdy jej nie zobaczę na ziemi.

A gdym jej powiedział, że przecie w lazaretach, ambulansach, a nie w ogniu będzie, odparła:

— Jak się okaże potrzeba posłużyć bliźniemu, ratować jego duszę, to i w ogień pójdzie, — znam moje dziecko...

Zygmunt Smoleński westchnął głęboko.

— Tak, przeczucie matki nie omyliło jej, Marya-Aniela pod gradem kul biegła nieść pomoc rannym, życie swoje codzień narażała, bądź pilnując cholerycznych, bądź idąc na pole walki szukać konających, pocieszać ich i nawracać. Jam był długo niedowiarkiem, wiecie dobrze, mój Koprosio, bom nieraz was gorszył złym przykładem, ale sam widok tej kobiety mógł człowieka nawrócić do Boga i zbudzić wiarę w aniołów niebieskich. Ach dla czegoż już jej nie ma wśród nas? Biedna, o jak biedna matka, która musiała przeżyć taką córkę!...

Młody człowiek wyczerpany bolesnemi wspomnieniami upadł na krzesło i przez długą chwilę znów się zadumał. Potem wyraz silnego postanowienia osiadł na twarzy.

— Jutro — rzekł do siebie — pojadę do Górowa. Padnę do nóg pani Góreckiej i spytam czy nie chce mnie przyjąć za syna. Kaleką jestem, smutny i życiem zgnębiony, niestety nie

wielką pociechą być mogę, ale czem tylko się da, służyć jej będę, strzedz, pilnować ją, jak pies wierny, przywiązany.

Może się nasze dwa smutki będą wzajemnie dopełniać i pocieszać. Może widok mój przerwie martwą ciszę jej serca i zbudzi do życia... Ach! jakieby to było szczęście dla mnie stać się dla niej, choć maleńkim, słabiutkim promykiem pociechy! resztę życia mojego oddałbym za to!

Stary Koprosio widząc, że pan usłuchał rady poczciwego sługi, otarł łzy cisnące mu się wciąż do oczu i pokręcając wąsa, począł się krzątać około przygotowania wieczerzy i noclegu dla pułkownika. Na myśl, jaką jutro uciechę sprawi biednej, opuszczonej wdowie, zaraz mu się raźniej zrobiło na duchu. I jemu samemu w Marzeniu, gdzie od dwóch lat przebywał, pełniąc funkcye klucznika i opiekuna dóbr pańskich, duszno było i strasznie smutno. Co dzień szedł w odwiedziny do Górowa, ale widok ukochanej pani jeszcze większą żałością przepełniał mu serce.

— Teraz będzie inaczej, — myślał — choć umarli z grobów nie powstaną, choć na długie lata przycichną hymny wolności — my się w inny sposób bronić będziemy i nie tracimy nadziei w przyszłość ojczyzny! O nie! Pan Bóg nie rychliwy ale sprawiedliwy — dzisiaj jesteśmy stratowani, pognębieni, lecz któż znać może dalsze wyroki Boskie? — Tylko to biedne moje panisko, już nie odzyska córki!... Ale pewnikiem, gdy ujrzy przybranego syna, którego też miała

za straconego — to się w niej poruszy kochające serce, to się te biedne wyschnięte oczy zaleją łzami i płaczem ulżą serdecznej mankolii. Tak jej Boże dopomóż, i daj pociechę po wielkiej żałości.

Nazajutrz w południe pojechali do Górowa. Smutna wdowa, w żałobnych szatach, siedziała przy oknie nieruchomo, jak posąg boleści i tylko oczy wzniesione ku górze, ręce złożone jak do modlitwy, świadczyły, że duch jej z Bogiem rozmawiać potrafi, o Nim nie zapomniał.

Gdy wzrok jej spoczął na pochylonej wyniszczonej postaci Zygmunta Smoleńskiego, poruszyła się niespokojnie i przymknęła oczy jakby przed widmem. Po chwili jak wiek długiej źrenice jej raz jeszcze zwróciły się z niemą rozpaczą w stronę Zygmunta... Wyciągnęła ręce do niego a z piersi jej wydobył się jęk głuchy — poczem padła zemdlona — szepcąc: Jezus, Marya!

Przerażony Zygmunt sądził, że jej serce pękło, że umarła, ale więcej doświadczony Koproski, począł cucić panią, mrucząc:

— Ej, to nic, — panie pułkowniku, — to już raz tak było, gdy z pod Warszawy nadeszła straszna nowina — jeno polecę po Nastusię i Ewę, bo to z kobietą nie poradzę sam, niech pan głowę do góry podtrzymuje — o tak — będzie zaraz lepiej.

Smoleński z czułością dziecka spoglądał w twarz zastygłą pani Góreckiej i nagle drgnął, bo oczy jej raz jeszcze rozwarły się powoli i spoczęły na nim pytające...

— Pani! — zawołał, — tuląc jej ręce do ust, — Pani moja, zbudź się!... To ja, Zygmunt Smoleński, wróciłem z boju, — pozwól mi zostać przy sobie — pozwól mi resztę życia mojego oddać na twoje usługi... Jesteśmy oboje rozbitkami, będziemy się wzajemnie pocieszać... o pani, ty mi będziesz matką ukochaną i czczoną, ja, najwierniejszym, oddanym ci synem.

I jakby te słowa: matką! synem! miały czarodziejską siłę, bo oto zastygłe rysy pani Góreckiej poczęły się ożywiać, i duże, ciężkie łzy — pierwsze łzy od dziesięciu miesięcy, spłynęły z jej oczu, a równocześnie bolesny wyraz skamieniałości schodził z twarzy i jakiś półuśmiech błogiego rozpoznania zawisł na ustach.

— Zygmunt! to ty!... drugie dziecko moje!... o Boże, szeptać poczęła... więc żyjesz jeszcze... a ja sądziłam, że poszedłeś za nią... tam!

— Nie! Pan Bóg mnie zostawił przy życiu, dla tego właśnie, — byś nie została tu zupełnie samą, byśmy mogli razem opłakiwać... jej stratę. Krzyż niesiony we dwoje lżejszym się nam zdawać będzie. O pani! pozwól mi od dziś nazywać cię matką! pozwól mi pozostać na zawsze przy tobie!

Pani Górecka uniosła się lekko z otomany, na której spoczywała i biorąc w obie dłonie głowę klęczącego u jej stóp Zygmunta, przycisnęła ją do serca.

Nie zdolną była mówić, wzruszenie głos tamowało, tylko wśród łez i westchnień szeptała:

— Synu — dziękuję, o dziękuję... zostań! synu mój!

I długo siedzieli tak przy sobie przytuleni, — Zygmunt przyciszonym głosem opowiadał smutne dzieje oblężenia i zdobycia Warszawy, — ale lękał się dziś zaraz wspomnieć, o bohaterskiej śmierci Maryi Anieli.

Później dopiero... powoli, przed zbolałą matką roztoczył obraz poświęceń, niezwykłego męstwa i świętego uniesienia, które Siostrę Barbarę wyróżniało z pośród rówieśniczek do służby rannych powołanych.

I gdy szara jesień zawitała co dzień o zmierzchu, po całodziennej pracy w polu, Smoleński siadywał u stóp przybranej matki i długo, długo jej opowiadał, a imię Maryi-Anieli nie schodziło z ust jego.

Na ostatnie chwile życia nieszczęśliwej wdowy, padł jaśniejszy promyk... nie była już samotną. Obok niej biło gorące serce Zygmunta, serce wierne pierwszemu ukochaniu, żyjące jak ona, wspomnieniami przeszłości...

Miłość synowska zbudziła ją do życia, do czynu, a wraz z tem przebudzeniem wróciła chęć do pracy, chęć niesienia ulgi bliźnim, w myśl zgasłej, niezapomnianej córki z pomocą dzielnego Zygmunta i zawsze krzepkiego, starego Koprosia.

Po ciężkim pogromie polski kraj więcej niż kiedykolwiek potrzebował serc ofiarnych i sprawie oddanych.

Niebawem Górowo i Marzenie zaroiło się od bezdomnych sierót, tułaczy, różnego rodzaju kalek, którzy mienie i zdrowie położywszy na ołtarzu ojczyzny, tutaj znajdowali pomoc, wsparcie, opiekę, ciepłe ognisko i światłą radę.

A ponad tą smutną rzeszą rozbitków losu unosił się jasny duch Maryi-Anieli i zsyłał z nieba na ukochaną ziemię i jej dzieci przecudne blaski wiary, nadziei i miłości! . . .

— To ci mówie, Antku, aż oczy bolą, i coś się w głowie kręci, obraz na obrazie i gdzie głowę obrócisz, obraz (str. 212).

Listy Marysi do Antka.

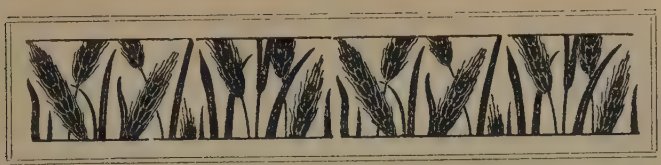

Woerishofen,[1]) 16 lipca 1907.

I.

Mój ty kochający Antku!

Gdyśmy się to jeszcze nie byli całkiem na życie zmówili, dziedziczka powiedziała do nas, abyśmy się nie ważyli spotykać we dwóch, gdziesik po ogrodzie lub suterenach, jeno przy pannie, alboli w ojcowej chałupie. Choć mi się to wtedy wydało mocnie boleśnie, nigdy z tobą, mój Antku, nie pogadać sam na sam, — tera weszło we mnie to przekonanie, że jaśnie pani miała racyą. Bo w ten ostatni wieczór, gdyśmy się wedle pożegnania widzieli podle furtki ogrodnika, toś ty był, mój Antku, nadto prędki i zaciepny, i dla tego ja cię przepraszam, żem tak prędko uciekła od ciebie, choć mi się w sercu cosik z żalu przewracało, żem cię tak ostawiła markotnego na mnie. Jużem leżała w łóżku, a jeszczyk mnie twoje wołanie dolatywało: „Maryś! Maryś!“ i tak mnie się

[1]) Miasteczko w Bawaryi, gdzie żył sławny X. Kneipp. Z dalszych listów dowiedzą się kochani czytelnicy dokładniejszych szczegółów.

zdało, że to mnie woła ktosik na wielką radość i wesele, a znów potem na smutek i żałość. Więcem się ani ruszyła, jeno wzięłam paciorki i przycisłam święty krzyżyk mocnie do piersi i prosiłam Najświętszą Panienkę, aby się ulitowała nad tą moją i twoją żałością, — i żebyś nie był nadto markotny na mnie, ale byś mnie miłował do śmierci, jako ja cię miłuję. A potem znów, abyś jednak troszynkę cnił po mnie, gdy już będę daleczko, — i z innemi się nie zadawał, a najwięcej to nie z Kasią Bartkówną, bo ona ma oko na ciebie, i widzi mi się mocnie chce cię odbić.

Jużeśmy przejechały z jaśnie panią i panienką Berlin i siedzimy w Mynichu, — tak się jakoś to miasto nazywa[1]). Wszyscy tu też gadają po niemiecku, choć starsza pani mówi, że to nie Prusy, jeno inne Miemcy, lepsze od naszych.

Moja pani z panną Helusią cały dzień jeżdżają i chodzą po ulicach, albo li siedzą w takim dużym pałacu, gdzie jeno same malowidła wiszą, — to ci mówię, Antku, aż oczy bolą, i coś się w głowie kręci, obraz na obrazie i gdzie głową obrócisz, obraz. Czasem to ci czerwoniutkie niebo i trawa namalowana, jakby u nas, kiej słońce zajdzie, i chmury jakby płachty wiszą, — znów gdzie indziej, to się walą, biją, tretują konie, ludzie, — niby ci to wojna, a znów gdzie, siedzi kobieta, a w koło niej kwiaty i goluśkie aniołki przymilają się do niej. Są też obrazy, Antku, o jej, takie

[1]) Monachium, stolica Bawaryi.

paskudztwa, ja ci oczy zamykałam, bobym się musiała przed księdzem na spowiedzi wstydzić, anim nie wejzdrzała, Antku, ani razuteńko. Panienka pchała mnie szybko i jeno patrzeć kazała na takie inne, gdzie nieraz cudności wielkie, gdzie byś mógł, Antku, krzyżem się położyć i ziemię całować, — bo przed tobą stoi żywiuteńki Pan Jezus, — abo znów Matka Boska z Dzieciąteczkiem na ręku, taka śliczniuchna na gębie, jak nieprzymierzając panienka, i tak na cię patrzy, jakby chciała wejzdrzeć ci do wnętrza serca. A ja tak sobie pomyślała, że jak ona wejzdrzy tak głęboko i łaskawie we mnie, to to samo, jakby na cię wejzdrzała, Antku mój, boś ty u mnie na spodzie serca jeden jedyny... i pewnikiem musiałeś poczuć wczora kole południa, że Matka Boska patrzy na cię i błogosławi ci.

Ani ci opisać nie potrafię, co tam w tym pałacu za malowidła piękne są! A zaś w innych salonach, stoją same białe figury, takie wielkie jak człowiek, albo i większe. To ci jeden leży na ziemi rozwalony, kiejby w kurczach zaniemógł, drugi, a zaś trzeci boryka się ze zwierzęciem jakiemś, ni to lew ni wilk, jeno jakiś smok straszny z wyszczerzonemi kłami. Już mi się w głowie poczęło kręcić, i oczy bolały, gorzej jak gdybym była beczała całuśką noc. A jaśnie panie moje znów dziś do innego pałacu poszły. A ja w rękę całuję starszą i mówię, co mam dużo czasu, bo tutajsza „Medel“ robi pokoje, a państwo jadają w restauracyi, — tobym chciała pisać do ciebie, Antku,

i czy mi starsza zezwoli pisać, wedle tego, że nam sam na sam przestawać nie zezwoliła, to choć na pisanie przyzwoli.

A ona na to:

— Pisz, Marysiu, gdy robotę skończysz, jeśli masz ochotę, choćby co dzień. Na to panienka ciebie i Antka pisać nauczyła, abyście, gdy potrzeba, umieli z tej nauki korzystać, i jeden o drugim nie zapomniał.

Tak jaśnie pani rzekła do mnie, Antku, i tak żem się z tego uradowała, że aż mi serce skacze od uciechy. O jej, Antku mój! Z robotą w mig się załatwię i codzień pod wieczór pare linijek do cię pisać będę, a przez tydzień będzie cały list gotów, abyś wszystko wiedział, co się ze mną dzieje, — w tym obcym kraju, — żem ci jest wierną, że cięgiem tylko o tobie myślę. Tak mi Boże dopomóż, aż do śmierci. Amen.

Marysia.

II.

Wczora zajechali my tu szczęśliwie, i tak po tych wielkich miastach, co my siedzieli, wydaje mi się tu cichutko, kiejby na wsi. Aleć się też dziwuje pomału, że się tu naszej pani chciało przyjechać, — Chryste Jezu, taką daleczką drogę odbyć, aby do takiego brzydkiego miejsca i całkiem niemieckiego zajechać. — Ani ci tu pałaców niema, ani takiego parku jak w Bożejewicach, — ani bo-

rów wielkich, ani takiej śliczniutkiej, zieloniutkiej wody, kiej okiem wejrzeć, — jak w Kołobrzegu, gdzieśmy to lato spędzali, kilka ulic, domy, kaj w Inowrocławiu albo Gostyniu. O rety, Antku, co ty powiesz, że na stacyi za Munichem, jechaliśmy taką małą kolejką, jak ta, co idzie do Kunowa, szafnerzy nie mieli trzewików, ani nawet pończoch, jeno bosiutkie nogi, przepasane rzemyszkami. Aż mnie śmiech dusić zaczął i parskać śmiechem się chciało, a panienka mówi: „Zobaczysz ty jeszcze większe dziwy, Marysiu, jeno do Wörishofen zajedziemy". Ten dom, gdzie mieszkamy, — bliziuchno kolei, czysty, bo jest i biały, nie mogę mówić, — nazywa się wedle tego „*weiss*". W każdym pokoju wisi Pan Jezus na krzyżu, pani gospodyni musi być dobra katoliczka i sprawiedliwa kobieta, bo kiedy kogo spotka, to mówi: „Grüss Gott", co znaczy niby nasze: „Pochwalony Jezus Chrystus". Aleć te pokoje jednak nie takie śliczne przecie, jak nasze w Bożejewicach, nie wiem wcale, jak tyż jaśnie pani tu przetrzyma.

O jejku, co tu za zabawne rzeczy się dzieją! Rano, pani kazała wyjść na miasto, co którego spotkasz, nie wiesz, czy to pan, abo pani, czy wiejski jaki człowiek, bo wszyscy z gołą głową chodzą na słońcu i z gołemi nogami. — Rozumiałam sobie, że oni chcą butów i kapeluszy oszczędzać, ale panienka się śmiała i powiedziała:

— Oj, Marysiu, tyś nie mądra, to przecie robią dla zdrowia, nie z oszczędności.

Może ty, Antku, zrozumiesz, wedle czego to ma być zdrowiej pończoch nie nosić, ale mnie się to w mózgownicy pomieścić nie chce, i tak sobie myślę, że my jednak górą, kiedy to państwo tera bez butów chce chodzić, jak my nie przymierzając od dawna chodzimy. Panienka, bo ma śliczne, białe jak mleko nóżęta, to ci się niema czego powstydzić, ale jedna, co tu przyszła panią naszą odwiedzić i po frajcusku szwargotała, to ci ma gierę czerwoną, szorstką, nie przymierzając jak Korduli Sobkowiaczki. A starsza mówiła: „Widzisz, to właśnie zdrowo, Marysiu, to znak, że krew krąży, jak powinna, — a nie ściskać nogi w bucikach, bo wtedy krew idzie i uderza do głowy i sprawia ból i różne dolegliwości".

Ja tam mam głowę zdrowiusieńką, Antku, jeno na sercu to ci mi jakoś ciężko bez ciebie. Nie mogłam dać sobie rady z zakupnem i z gotowaniem nijak, a gdy z wieczora wracałam samiutka do naszych Weissów, to co który z daleka szedł, — Antek nie Antek, myślę sobie, a gdym wejzdrzała, że to same Miemcy, ani jeden nasz, to zaś mi płacz ciurkiem z oczów leciał, i takem za tobą beczała przez cały wieczór. Pani się na mnie markociła, że jestem beksa, że to tylko początek taki trudny, że się przyzwyczaję, — ale mnie precz tęga za tobą i za naszymi i wcale mi się tu nie podoba.

Twoja

Marysia.

III.

Jużem do cię dwa pisania wysłała, Antku, i tak jak przyobiecałam, tak też dotrzymuję, i dzień o dzień wszyćko, co się tu u nas dzieje skrzętnie ci wypisuję, abyś miał o mnie pamiętanie.

Rano był u naszych doktór. Nie chciałam ci go wpuścić, i psina, którego wabią Pucu, wzięła się szczekać, bo na pierwsze wejrzenie, ani pomyślała, że to on doktór jest. Bez kapelusza, w bosych nogach, w białem ubraniu, tęgi, na gębie różowiutki, jakby go kto pomalował, pewnikiem leciał pod schody, jakby go kto gonił, bo szybko oddychał. Gdym drzwi otwarła, wejrzał na mnie przychylnie i zaraz pokazał zęby, wedle tego, że ma białe i równe. Pani nasza, okrutnie mu się ucieszyła, i że to się znają od dwóch roków, a zawdy ją wyprowadził szczęśliwie z choroby. Agnes, ta od pokojów zamiatania, powiada, że on okrutnie mądry, pracowity i znający się na chorobie — wszyćkie hrabine to ci giną za nim i w ogień by skoczyły, lecz on katolik jest dobry, na szczęście dla niego, ma żonę i sześciorga drobiazgu, jeno patrzy, by dla nich jak najwięcej grosza uzbierać. Ten doktór cosik naszym paniom w książeczce wypisał, i zaraz my z panienką poszły do kąpielni. Wielachny budynek stoi, przed nim ogród, kwiaty pachną, ale na ganku dzieciska się bawią.

O jej, Antku, co za biedne dzieci, to aż się coś pod sercem rusza z żalu. Kaleki niebożątka,

chude, wybiedzone, — jedne ci chodzą na drewnianych pałkach, inne bez nóg, bez rąk, to się jednemu głowa trzęsie, to drugi na nodze skaka, — a przewraca się i beczy. Zara gdy beknął, wyleciała zakonnica w czarnym habicie z białą przepaską na czole i pod brodą i głaszcze go i coś gada wedle uspokojenia.

Zanim my doszły do kąpielni, tych dziecisków chorych nawinęło się ze czternaście. Panienka, aż zbielała na buzi, że to litościwe serce ma, i mówi:

— Widzisz, Marysiu, ten budynek to się nazywa Kinderasil, po polsku schronisko dla dzieci, co go zbudować kazał ksiądz Kneipp, za pieniądze, które zebrał od swoich pacyentów. On bardzo był dobry i miłosierny dla biedaków, dla dzieci, leczył za darmo, kochali go też wszyscy i czcili prawie jak świętego, dzieci miały w nim opiekuna prawdziwego i ojca, każdy kto chory, już przez to mógł się do niego zbliżyć, gdy szedł ulicą, to tłum biegł za nim, a on każdego opatrywał i leczył. Widzisz tam ten drugi wielki budynek, — to kneipianum czyli dom także przez tego księdza Kneippa założony dla chorych, — a wszystkich leczył tylko wodą i ziołami.

Tak panienka mi powiedziała, i każdziutkie słowo powtarzam ci, abyś wiedział, co to za jeden był ten ojciec Kneipp, do którego my po zdrowie przyjechali.

Kiedy on nastał tu w Wörishofen, a był kapelanem u zakonnic Dominikanek, sam na sobie wy-

próbował, jaka to dobra rzecz zimna kąpiel, więc i drugich zaczął oblewać konewkami, potem nauczył siostrzenicę tej swojej sztuki, i ta w pralni u brata oblewała chore kobiety. Biednym to zara też obiady na darmochę rozdawano. A taki miał mądry rozum ten ksiądz Kneipp, że jeno wejrzał na kogo tak do gruntu, to już wiedział, co mu braknie. Tam, gdzie chorych opatrywał, zawsze pełno było luda, i cisnęli się do niego, jak do Salomona po radę. Wielkie ci panie trzęsły się jak we febrze, gdy na nie wejrzał.

Jedna jakaś bogata dama pytała go, ile ma zapłacić za poradę, a on na to:

— A masz pani dużo pieniędzy?

— Mam.

— To daj 3 marki.

— Dama zaś dała mu aż 100 marek.

Zaraz potem przyszła biedna staruszka i dziękowała onemu Kneippowi, że syna jej wyratował z choroby, i że chce za to zapłacić. Kneipp znowu pyta ją:

— A masz dużo pieniędzy?

— Chętnie dam ile mam, — rzekła trzęsącym głosem, — aleć nie wiem, co się należy.

— Daj mi sakiewkę, to sam sobie wezmę, — rzecze on wielki doktór.

Kobieta oddała sakiewkę myśląc, że za takie mądre leczenie, to jej wszyćko, co ma zabierze, a on, niby to tak uśmiechnął się, wziął pod stół sakiewkę i wsadził w nią ten stumarkowy papierek, który mu ta wielka hrabina dała. Gdy bie-

dna kobieta chciała dziękować, fuknął na nią, by szybko do dom poszła, bo tak jak miłościwy był, tak nie lubiał żadnych szlochów, dziękowań i długiego gadania.

Aleć żem się rozpisała, mój Anteczku złoty. A starsza pani marudzi, że mam wcześnie do łóżka iść, — bo tu taki zwyczaj, że ślachta nie ślachta wszyćko się przed 10 godziną kładzie spać, — a raniutko ze świtem wstaje i leci na trawę, na rosę, na białą! Jacy my to szczęśliwi, Antku, że bez przykazania doktora, wstajemy do dnia. A jak tam ładniuchno u nas, gdy słoneczko polskie z za chmurek wyjrzy i na kwiateczku każdym się zatrzymie i zaświeci, — niby ogieniaszek złociutki! A jak tam u nas na łąkach pachnie, kiedy trawkę zielonuśką kosić zaczną! O jej, Anteczku jedyny, cni mi się bez ciebie i bez tej łąki i bez tego słoneczka polskiego, — a precz cię w myśleniu mam i w sercu i w pacierzu aż do grobu.

Marysia.

IV.

Antku, Antku! Czwarty papier już do cię wypisuję, — a ty mnie jeno jeden. Alem go całowała z uciechy i z tego najwięcej, że się z Kasią Bartkówną nie zadajesz wcale, a twoją wierną Marysię masz w pamiętaniu. I ucieszno mi też, żeś na przodownika został wzięty. To widać

w pracy się nie lenisz, jeno się w kupę bierzesz, a za przykład stoisz drugim.

Widzi mi się, że cie jeszcze więcej miłuję za te dobre nowinki, — choć doprawdy, Antku, barzej to już nie można, a nawet grzech by był. Jeno mi się chce skakać i przyśpiewywać, że to przodownicą będę, — i takam dumna, jak jaka ślachcianka, — a najwięcej, żeś tęgi chłop i do roboty zdatny i pracowity, a do kieliszka nie zaglądasz.

Nie wiedziałam ja wcale, ani mi się w głowie pomieścić mogło, że ty, Antku, z pisaniem mojem, pójdziesz do sołtysa, i że tam głośno czytać będziecie, co ja ci tu wypisuję o tem Wörishofen, o tej wodzie i o tej kuracyi. Że się tam u nas dziwują, to i nie dziwota, ale śmiać się z tych bosych nóg i z tego lania wodą i z tej całej nauki, nie trza, Anteczku, bo ten ksiądz, co to wymyślił, mądry był i całe życie nad tem pracował i mózgownicę natężał, aby biednym chorym przyjść z pomocą, i gadają tu, że wiele, co im już śmierć z oczu patrzała, na nogi postawił. Więc się śmiać nie trza, Antku, jeno jak jaśnie pani mówi, przyjrzeć się tu tej kuracyi i co mądrego, co dobrego dla zdrowia, zaś w własnym kraju zaprowadzić. A w tem, co jest mądre i dobre, to nie grzech obcych naśladować, jeno zasługa i rozum. Więc sołtys i stary Werwiński mieli świętą racyą, gdy mówili do cię: „Niech jeno Maryśka ci wszystko wypisze, co tam u tego Kneippa robią, — bo nas to pisanie okrutnie zaciekawiło, a niejedno się przyda dla tych, co jeszcze o tem nie słyszeli,

jak to zdrowo z wodą czystą i zimną się zapoznać i z ziołami różnemi, co Pan Bóg na ziemi rosnąć każe, a ludzie wedle uzdrowienia nazbierać te powinni". Więc kiedy sołtys i Werwiński, co też kawał doktora jest, tak gadali, a ty się, Antku, mego pisania dopraszasz, — to ja z miłą chęcią dzień o dzień, jeśli się da, napiszę do cię, — jedno mi tylko przykro, Antku, tak o naszem wielkiem miłowaniu przed ludziami głosić. Nie wstydno mi wyznać, żeś ty jest mój najmilejszy! Oj nie to, nie to, Antku. Krzyczałabym przez cały świat, jako cię z duszy i serca miłuję, gdybyśmy już byli mąż i żona, aleć że to dopiero z wiosną ma nastąpić, to wolałabym, abyś o tem kochaniu naszem, w cichości sobie odczytał, i sam jeden o tem wiedział, aby między dziewuchami zazdrości zbytniej nie było, albo znów kto zły nie posądzał, żeśmy się nadto z sobą zadawali, kiedy Bóg widzi na niebie, żeśmy się przykładnie zachowali, jak przystoi ludziom, co się Boga obrazić boją, chcą żyć w zgodzie ze sumieniem, i jak w świętych przykazaniach stoi napisano.

Ale ci wczoraj nie skończyłam powiedzieć, jak to my z panienką poszły do tego azylu dziecińskiego, jak się to nazywa, i co tam widziałam.

Kiedyśmy weszły do tego budynku, w pierwszej izbie pełno było kobiet i państwa. Jedne siedziały na ławkach, drugie chodziły w kółko, wymachując rękami, tupiąc nogami. Dziewczę jakieś przyniosło naszej panience papierek z numerem, wedle którego wolno było po kolei, gdy

czas przyjdzie wejść do kąpielni. Dobre pół godziny my czekały, aż i na nas kolej przyszła. Patrzę, stoi zakonnica w takim habicie jak ta na dworze, a nasza panienka rzuca jej się na szyję, ściska wołając: „Schwester Wolfholda!“ — Musi dobra być, choć Miemka, bo oczy ma śmiejące i takie poczciwe, że się człowiekowi przyjemnie robi na sercu, gdy na nią wejrzy.

W tej izbie wanny stoją, a w pośrodku ta siostra zakonnica, trzyma węża w rękach i leje wodę. Panienka musiała zdjąć pończochy i sandały, a ta „Schwester“ polała jej nogi wodą, aż po kolana, z prawej i z lewej strony, póki się nogi tęgo nie zaczerwieniły. Ale nim się do lania wzięła, przeżegnała panienkę święconą wodą i pacierz nad nią odmówiła, — pewnikiem, aby złego ducha wypędzić na sto wiatrów, i aby ta woda nie zaszkodziła, lecz pomogła dla zdrowia.

Woda musiała być zimna, bo panienka trochę syczała, ale nogi się wnetki zaczerwieniły, potemeśmy wyleciały na dwór, ale jeszcze nie ku domowi, tylko ku lasowi, bo panienka mówiła, że po takim „laniu“ musi spacerować, aż się tęgo nie zagrzeje, bo tak kazał robić, ten sławny doktor Kneipp, a on wszyćko wiedział najlepiej, i nic nie można zmienić, co przepisał. A kto chce jaką zmianę zrobić, to mu zaraz zaszkodzi, pewnikiem dla tego, że się Pan Bóg gniewa, że tego księdza nie słucha, tylko się sam mądruje, — zaraz go choroba weźmie.

Już ci powiem, mój Antku, że ja się wody dawniej bardzo bojała i raz, kiedy nie kiedy, przez tydzień, w sobotę się myłam tak do gruntu, ale odkąd jestem w służbie u jaśnie pani, to się dzień o dzień myć muszę, bo starsza pani bardzo na to uważna, gada, że brudnej dziewczyny nie zniosłaby w swej służbie, że dużo chorób to od brudu idą, więc choć mi się nieraz nie chce, muszę się wykąpać wedle rozkazu starszej i wyszorować szarem mydłem, takiem jak do prania bielizny biorą, a często gęsto to mi nawet panienka da pachniące mydełko. Ale to żem schowała sobie do skrzynki w Bożejewicach, jak będziemy na swojem, Antku, to ci też dam na niedzielę, abyś pachniał jak fiołek albo li róża, gdy do parafii pójdziema, i aby ludzie widzieli, żeś ty nie byle jaki, ale tak niby z pańska pachniący i porządny z gruntu.

A jeno, Antku, miej ty pamiętanie o mnie i wierny sa bądź mi, bo ja ci bez ciebie, jak jaskółka bez gniazdka, jak owieczka zgubiona bym po świecie chodziła i nijakby mi nigdzie nie było. A o tem mydle pachniącym, co to na niedziele, nie czytaj przed sołtysem, bo by mnie na śmiech wzięli, i myśleliby, że mnie się w głowie pokręciło i panią se udaję. A ja ci zawsze ta sama wierna i miłująca jestem

Marysia.

V.

Antku!

Przez cały tydzień nie mogłam ja pisać do ciebie, bo takie ci tu było zaimanie, że czasu na list ani chwilki. To nam psina chorowała, i jaśnie pani posłała po konowała, ale gdy go biedne psisko nie chciało zaraz słuchać, to się obraził i wylazł, nie pochwaliwszy nawet Pana Boga. To już stary Werwiński, co w Zalesiu gospodarzem jest i doktorem od koni, potrafiłby lepiej się z pieskiem obchodzić. Ale co swój to swój. A jaśnie pani gada, że dla zwierząt kto ma serce, ten dobry człowiek jest, a kto je poniewiera albo im krzywdę jaką robi, ten jest zły i nic nie wart, boć zwierzę też czuje i cierpi, a przytem ma wierność i do swojego pana nieraz się więcej przyswoi, niż człowiek do człowieka. A jam się zaraz tęgo ubawiła, i ucieszno mi, bo wiem, Antku, że ty ani koniowi ani osłowi ani psu żadnemu krzywdy byś nie zrobił, — a tę jałówkę pstrokatą, co to u ojców twoich jest w oborze, to się z nią po ludzku obchodzisz i tak samo ze źrebiętami i z cielętami, gdyś we dworze służył za cielęciarka, toś każdego głaskał i po ludzku do nich zagadał. Więcem sobie umyśliła, żeś z gruntu dobry człowiek, kiedy masz serce dla zwierząt i lubisz je, a krzywdy zrobić nie pozwolisz. Są u nas tacy, co myślą, że zwierzęcia bić i kułakami częstować, to nie grzech, że to niby duszy nie ma, — aleć ono też biedy się naje, czuje dobrze, jak go gdzie bolączka chwyci. A ten doktor Kneipp to i dla psa i konia

miłościwe serce miał, — świnie to ci z czerwonki wyleczył, okładając je wodą. I tak też drugich nauczył robić.

Mówią, że tu jednej hrabinie pies tęgo chorował, — nie wiedziała sobie z nim rady, a po prawdziwego doktora posłać nie śmiała, że to by się obraził, a konowała nie było. Gdy jednak z faworytem coraz było gorzej, wzięła na odwagę i po doktora, co to w asyście, — tego tęgiego — ze sanatoryi chodzi, posłała, ten przyszedł, wcale się nie obraził ani zadziwił mocnie, pieska chętnie opatrzył, leki z ziół przepisał i z choroby wyprowadził.

A nasza jaśnie pani, gdy jej to opowiadano, powtórzyła z dziesięć razy:

— To mądry człowiek! To zacny człowiek, widać, że ma serce i rozum! Pies jest też stworzeniem Bożem, i ratować go obowiązkiem naszym. Nikomu to nie uchybia ani ubliża, gdy pieska leczy, przeciwnie o sercu i rozumie świadczy.

Tak ci tu zawsze słowo w słowo wypisuję, co od jaśnie pani albo innych posłyszę, bo miarkuję, że one więcej od nas uczone, to warto zapamiętać sobie i napisać ci, co gadają, abyśmy coraz więcej rzeczy mądrych wiedzieli i zaś, gdy będziem „na swojem“, innych znowu pouczyli i przykładem świecili.

Wczoraj widzieliśmy z panienką całe Wörishofen, — byliśmy w kościele, w klasztorze Dominikanek, gdzie się dziewczęta chowają, i na cmen-

tarzu. Stoi tam na środku wielka rotunda, niby to grób, gdzie spoczywa ten ojciec Kneipp. Okrutna ci była ta żałość, gdy go Pan Jezus zabrał do swej chwały. Wyprawili ci mu pogrzeb kiejby jakiemu książęciu, i wszystko szlochało, że to niby opiekuna stracili. A prawdziwie jemu się zmarło na wysłudze bliźnich. Poszedł do chorego, gdziesik w sąsiedniej wsi, a że deszcz lał jak z cebra, przemaczany był do suchej nitki. Tyle razy gadał, że kto się zamoczy, ten powinien, jeśli może i czas ma, przebrać się w suche odzienie, a jeśli czasu niema, to dalej w ruch i do pracy, aby ubranie uschło i człek nie przeziąbł. Ale sam tego dnia dużo ludu miał do spowiedzi św., więc tak zmoczony, jak był, siadł w konfesyonał, a potem jeszcze przemawiał na dworze, jak to było u niego po zwyczaju. Wieczorem febra go schwyciła, i już z tej choroby nie wstał, jeno po krótce zmarł, mając 80 lat z okładem.

Jeszcze innego dnia ci powiem dalej o nim, ale na dziś to już dosyć, Anteczku. Gdy do cię piszę, wcale spać mi się nie chce, jeno bym precz siedziała i pióro w inkauście maczała i o kochaniu naszem znów ci wspominała, ale lepiej dać pokój, bo co nadto to nie zdrowo, i jeszcze mogłabym ci się naprzykrzać. Do śmierci ci wierna

Marynka.

VI.

Antku mój! Wiesz ty, co ci powiem?

Wczora, gdym przechodziła do lasu z panienką, dwóch przystanęło Miemców i rzekli: „Szejnes Medel“, i obaj spoglądali na mnie, że ci to miałam pąsową sznurówkę i koraliki na szyi te od chrzasnej, czerwoniutkie kiej jarząbki nasze i z tyłu długie wstęgi w kwiaty. Bardzo im się tu widzi nasz polski strój. A u nas na wsi, Boże zmiłuj się, jaki taki jak w świat pójdzie, już zaraz zarzuci narodowe, własne ubranie, że to nie wedle mody, i przywdziewa inne, straszne, paskudne. Dawniejsze kobiety prządły i jeno co z swojskiej roboty przywdziewały na się koszule. Teraz obca moda, kabaty długie, za ciężkie pieniądze kupione. Tutaj ten Kneipp każe grubą płócienną bieliznę nosić, państwu czy nie państwu, wedle tego, że to zdrowsze jest i mówi też: „Własna robota, najpiękniejszy strój“. On sam był synem tkaczów, nie wstydził się swego niskiego pochodzenia, ale Bogu wielkiemu dziękował, że się za młodu nauczył pracować, na siebie oglądać. Jak mu się obróciło na 21 rok, począł wędrować, szukając gdzieby znalazł opiekuna, coby mu pomógł, na księdza się wyuczyć. Długo się tułał od wsi do wsi, od miasta do miasta, aż nareszcie trafił na dobrą duszę, niejakiego księdza prałata, co go w naukę wziął i po dwóch latach do gimnazyi przysposobił. Pięć roków przebył w tej szkole, ucząc się z pilnością wielką, a zaś gdy wyszedł,

już go na księżą oborę osądzili, taki był kiepściutki i schorzały. Ale choć zdrowie miał liche, miał tęgą wolę — więc się chorobie nie dał. Razu jednego, szperając w księgach, — że go to wszystko co drukowane zajmowało, — dostał do ręki nie wielką książeczkę, w której było napisane, jak to z niejednego złego wodą się wyleczyć można. Jakiś doktór opisywał cudy nie widy! Dalej więc, biedny kleryk bierze się do kąpania, dzień o dzień idzie do rzeki, wskakuje do niej i wraca piechotą do swego domu, tęgo się zagrzawszy. Od razu nie pomogło, ale też nie zaszkodziło, a większe siły przychodziły. Kiedy zaś potem, kolega jeden, także kleryk, od doktorów już na drugi świat skazany, też spróbowawszy za radami Kneippa tych zimnych kąpieli, poprawił się tak na zdrowiu, że mógł święcenia na księdza przyjąć, już wiedział, że to nie żaden przypadek, ale mądra prawda jest w tej książeczce, co to wody, niby jako środka do leczenia radziła, — i precz od tej pory siebie i drugich wodą leczył. Mój Antku, to wszystko, co ci tu piszę, nie żadne fanaberye są, jeno święta prawda.

Starsza pani, to bardzo wiele o tym ojcu Kneippie trzymie, powiada, że choćby tylko był niejednego człeka oswoił z wodą, nauczył się myć, to już by miał wielką zasługę, bo nic tak zdrowiu nie szkodzi jak brud, a nic tak nie pomaga do wypędzenia choroby jak czystość. U nas, Antku, aż wstyd przyznać, jaki po chałupach nieraz paskud a niechlujstwo. Często jaki taki

wszystko ma, kapelusze i westki wzorzyste, przy żegarku chodzi, a dzbanka i miednicy sobie nie zafonduje. Kropli wody nie najdziesz w komorze, choć do studni albo do stawu bliziuchno. Dzieciska chodzą obmurusane, ze świeczką pod nosem, często gęsto z robaszkami na głowie. Nawet gdy idą do dworu na lekcyą kataizmu, do panienki, to wstydno popatrzeć na niektóre, takie to nie uczesane, brudne na gębie, z osmolonemi paluchami. Po próżni panienka zaklina i prosi, nic nie wskóra, nawet nie rozumieją, że to wedle ich dobra. Jednemu smykowi, to prosto się włosy ruszały od robactwa. Panienka się zlitowała, dała mu szare mydło, grzebyszek i grzecznie prosiła: „Frącek, zanieś to matce i powiedz, aby ci dobrze wyczesała i wyszorowała głowę“ — to wiesz, Antku, co się stało? Kobieta się obraziła na panienkę i chłopakowi nie dała już chodzić do dworu na kataizm. To widzisz, Antku, jacy my to nieraz głupi, nawet za dobre chęci dajemy złą zapłatę i dzieci czystości od młodu nie uczymy. Latem to jeszcze jako tako bywa, ten i ów w stawie się kąpie, i gdy gorączka wielka, wody się ima, ale zimą nikt wody nie tknie przez tydzień cały. Panienka powiada, że teraz postawi miednicę w sieni z wodą, i każdy dzieciak, co będzie chciał się uczyć i wnijść do pokoju, ten będzie musiał ręce umyć, albo kto brudny to i gębę, aby zaś na lekcyi nie wyglądał jak jaki murzyn osmolony i dziki. Zaś na gwiazdkę, to będą nagrody inne, osobne z czystości, i kto najporządniejszy

przez cały miesiąc będzie, ten dostanie ładny prezent. Ciekawą też jestem, co też nasi gadać będą, jak im to pisanie moje przed oczy pokażesz, bo wstydno przyznać, ale u nas z porządkiem jeszcze kiepsko.

Anteczku złoty, jutro dalej ci opiszę, jak to się urządzimy w chałupie, gdy będziemy na swojem. A teraz, ostań z Bogiem, najmilejszy mój, i nie przepomnij, jutro przy niedzieli pare słówek też nakreślić do twej wiernej

Marynki.

VII.

O jejku, jejku, Antku! Co ci tu za wielkie państwo zjeżdża, to aż się w głowie kręci! Nasze panie zapoznały się z takiemi księżnemi, co to z królewskiego rodu idą, obie mieszkają w naszym domu u państwa Weissów. A ta, co mówią, że z królem hiszpańskim krewna, tobyś myślał, że zwyczajna pani, dobre to i skromniutko ubrana chodzi, a nic się nie wynosi. Przykładem świecić może dla drugich, bo ci mówię, Antku, że niejedna u nas panna służąca ze dworu albo panienka ze składu większe ci ma pretensye, więcej o sobie trzyma i więcej ma piórek na kapeluszu, kokardek przy szyi i świecidełek, jak te wielkie księżne. Masz w pamiętaniu, Antku, Bendesową, karczmarza ze Szelejewka drugą żonę? Że to miała lepsze ubranie od innych, że mąż na wódce, Boże zmiłuj

się, dużo grosiwa zbierał, to ci chodziła jak paw nieprzymierzając nadęta i ledwie głową skinęła, gdy ją kto przywitał i zagadał do niej. Powiem ci, Antku, że już dużo państwa ja widziałam i to miarkuję, że im kto lepsze ma odchowanie, tem układniejsze wzięcie ma, dla wszystkich grzeczniejszy i skromnie się ubiera. W dzisiajszych smutnych czasach, szkoda każdego grosza na płaty.

Mieszka też tutaj polskie państwo, a cieszyć się możemy i szczycić przed cudzoziemcami, bo nie byle co tu jest, jeno same godne osoby i mocno cnotliwe.

Wczoraj moje panie zabrały mnie na koncert i razem z Cecylką od hrabiny Litwińskiej nasłuchałyśmy się śpiewu i muzyki. Ach! mój Antku! jedna panna, Polka, co przy rodzicielach tu mieszka, śpiewała ci tak pięknie, że się na sercu aż miętko robiło i wypominały się nasze lasy, a skowronki i słowiki w gajach! Okrutnie jej oklaski dawali, a nasza panienka, to jej swój bukiecik fiołków pod nogi rzuciła. Cecylka, ta od hrabiny L. opowiadała mi, że ta panna co śpiewa, równie tęgo maluje, — a już jak się Polak trafi w Wörishofen, to go zaraz weźmie w opiekę, nie da mu zmarnieć, jeno mu poszuka zarobku i dopomoże. W pokojach, gdzie mieszka, pełno jest obrazów, a wszystko sama ona namalowała. Lubi też wiejskich portretować i gadają, że Stefanowicza, bo Polak, to go już ze 3 razy odmalowała i jeszcze mu wcisła sporo grosza do ręki, za to, że spokojnie

siedział. Musi dobra być panna i bardzo świeża a miła, wypatruje na gębie ładnie.

Oprócz tej, co śpiewa, są tu jeszcze inne Polki. Jedna staruszka, bieluśka, jak jaki gołąbeczek, przygarbiona i potulna, mało co mówi, ale jak usta otworzy, to czujesz, że ona co dzień Pana Jezusa przyjmuje i z Panem Jezusem gada, taka ci od tej twarzy idzie wielka świętość i dobroć, kiej łuna, niebieskiegu światła. — A zaś są tu jeszcze dwie panie, które mieszkają w własnym domku i mają przy sobie sierotkę, z dalekich stron. Chore to niebożątko, grzeczne, usłużne i cierpliwe, w tych paniach odnalazło kiejby jakie matki, bo się nią opiekują jak swoją rodzoną, ptasiego mleka by jej dały, byle ulżyć w chorobie. Zacne panie i wielkie familiantki, ale tak miłosierne, iż same woleją chodzić skromnie ubrane, byle biednym dać jak najwięcej. Tak więc to wszystkie polskie państwo, co tu mieszka, chlubę narodowi naszemu przynosi.

Już to tu od tego ojca Kneippa można się było nauczyć skromności, gadają, że za jego życia, to ci z wszystkich części świata magnaty zjeżdżali, byli państwo z Ameryki, z Afryki, moc wielka z Hiszpanii, Anglii, Bóg wie nie skąd jeszcze, a on nic nie pozwalał w kuracyi zmieniać. Nie było ani mieszkania fajnistego, ani pałaców, ani nawet hoteli, jak teraz po modnemu urządzonych, bo ten ksiądz prawił, że nie trza w mieszkaniu siedzieć, jeno na noc, a zaś cięgiem, kto jeno może, pracować na dworze, wedle tych nerwicznych ludzi, aby

się wzmocnili przez słońce i wiatr. A w pokojach, izbach kazał cięgiem wietrzyć, że to czyste powietrze dla zdrowia potrzebne a zaduch i kurzawa mocno szkodzi. To mi się zaraz przypomina, Antku, że u nas w chałupach, nic albo mało co okna otwierają. Zatkają ci nieraz szybę słomą albo zabiją niektórzy deskami, i nikomu do głowy nie przyjdzie, że to zdrowiej sto razy, otwierać na oścież okienko, aby świeże, czyste powietrze, które Pan Bóg dał, wlazło do izby. A w izbie, pożal się Boże! Jak tam nieraz czuć, aż nos się wykręca. W kupie mieszka przecie kilka osób, dzieciska chorują, gospodyni obiad gotuje, kapusta kiśnie w kątach, ser leży na pułce, buty dziegiem śmierdzą, no smród jest okrutny, a drzwi i okna szczelnie zawarte, jakby się tego zaduchu żałowało wypuścić, albo jakby za świeże powietrze podatek trzeba płacić. Ja sama, Antku, w takiej izbie się odchowałam i anim dawniej nie pomyślała, żeć przecież okno na to jest, aby złe powietrze niem wyszło, a czyste ze dworu wlazło i dało odetchnąć lżej człowiekowi, bo to i płucom zdrowiej jest i lżej na sercu i weselej się na świat Boży patrzy.

Już mi o tem wietrzeniu izby, otwieraniu okien dziedziczka z Bożejewic nieraz gadała, gdy u Woźników chorowały chłopaki na szkarlatynę, i wszystko się zaraziło, ale tu tom się jeszcze więcej z oknami otwartemi oswoiła, bo ten ksiądz Kneipp każe nawet w najsroższą zimę co dzień wietrzyć, a kto już zwyczajny i zdrowszy, to

i w nocy ma spać przy oknie otwartem, aby wciąż wdychać w siebie świeże, czyste powietrze. W mieście to są tacy biedni, którzy mieszkać muszą na zaułkach, w suterenach, gdzie wiekuisty zaduch, wilgoć, gdzie promyczek słonka nigdy nie wejrzy okienkiem, aby izbę uweselić, — i oni tam nieraz tchu złapać nie mogą, w ciasnem mieszkaniu, a przez okno wchodzi jeno większy kurz i zaduch miejski. Ale my na wsi, Bogu dzięka, szczęśliwsi. Kto o to dbały, może mieć świeżutkie i czyściutkie powietrze, z łąk i z lasów zalatuje wiaterek pachnący, zabiera z sobą złe zaduchy, choróbska wszelakie a przynosi zdrowie.

Niech to nie będzie z obrazą naszych, Anteczku złoty, wszystko co ci tu wypisuję, bo Bóg widzi, że jeno z dobrego serca wspominam, co u nas jest złego. A starsza jaśnie pani, gdy mnie przy tem pisaniu nadybała, i coś nie coś z ostatniego listu przeczytała, to mnie mocno pochwaliła, że to nie z krzywdą waszą, jeno z pożytkiem piszę to, co tu widzę i co do swoich odnoszę, aby wam poszło na dobre, co daj Boże wielki. Amen.

Marynka.

VIII.

Antku, nie umiem ci opowiedzieć, co się ze mną staje, bo i płaczę nad pisaniem twojem i serce mi dotychczas skacze z uciechy, żeście tyle zboża sprzątli i tyle stogów macie, i żeś na wieńcu ni

razu nie wykręcił z Kasią Bartkówną. Bo za to moje wielkie kochanie i wierność dozgonną, gdybyś ty miał odpłacić się, Antku, przepomnieniem a niewiernością, — niech cię Bóg strzeże, — szczęścia byś na ziemi nie znalazł pewnikiem a może i zbawienia po śmierci. Bo ten co Wszechmocny jest, nie mógłby błogosławić ani na duszy twojej ani na dobytku, za to, żeś mnie porzucił, obiecawszy wpierw miłować mnie do śmierci i za żonę wziąć jedyną. Aleć z pisania twego niedzielnego miarkuję, żem ci zawsze równie miła, że ani ci inna na myśli, jeno twoja Marynka. Z pisania twego, też mi się widzi, że tam u nas w kraju nie tak wesoło, jakby się należało, że jakiś smutek wisi nad polską ziemią naszą. Jaśnie pani nasza i te panie polskie co tu są, gdy się zejdą do kupy, teraz, nigdy się nie weselą, jeno sobie czytają listy, gazety polskie i opowiadają o ciężkich smutkach jakichś, które nam grożą.

Co to być może, Antku najukochańszy, aż mi strach pomyśleć, a widzi mi się, że gdy się jest na obczyźnie, to jeszcze ciężej na duszy i sercu, coś złego o swoich posłyszeć, bo to razem w kupie wszystko smutne przenieść snadniej, a zdaleka, to człek się rwie i wzdycha i niema kto go pocieszyć. I jak się zastanowię, że ludzie tyle mądrych rzeczy wymyślili na świecie, a jeno skrzydeł do latania nikt jeszcze nie odnalazł... Oj, Antku, jedyny! Gdyby tak skrzydełka były do kupienia, sprzedałabym wszystkie wstążeczki, koraliki i aksamitną sznurówkę, co mi panienka śliczniutko

wyszyła, wszystkobym oddała, a nabyła takie duże, duże skrzydła, coby mnie poniosły do Bożejewic i do tej chałupy, gdzie ty mieszkasz... I frunęłabym jak ptaszek jaki i pukała do twego okienka, ażbyś mi otworzył i do serca twego mocno przytulił. A kiedy piszesz, że u nas tam smutnie, że czyhają na zgubę naszą nieprzyjaciele, to więcej jeszcze chciałabym być z tobą razem, Antku mój, aby bronić tego co nasze, co nam Bóg miłościwy dał, co miłować kazał z całej duszy i z serca całego, i aby cię, jedyny, pocieszać i wstrzymać, gdybyś w żałości chciał popełnić coś, co katolikowi a Polakowi nie przystoi. Bo widzisz, Antku, Pan Bóg nad miarę człeka nie karze, i choć siecze nas i chłoszcze, pewnikiem to jeno próba jest, a zaś przyjdzie chwila zmiłowania, kiedy i dla nas godzina szczęścia wybije. Bądź więc dobrej myśli, Antku, nie frasuj się zbytnio, co ma przyjść i tak przyjdzie, jeno trza nam się brać do roboty i do modlitwy i bronić się, wedle tego co dozwolone na ziemi, przez Stwórcę świata. Ja to kobieta jestem, bystrego rozumu nie mam tyle co ty, Antku, ale ksiądz proboszcz nieraz prawił, że matka i żona, gdy są uczciwe a stateczne, bardziej mogą dla polskiego kraju zrobić, jak niejeden wielki adwokat, bo mogą męża, gdy zbytnio prędki jest, łagodnem słowem odwrócić od takiego kroku, coby zaś żałował, mogą dzieci wychować na dobrych katolików, nauczyć je czytać i pisać w ojczystym języku i miłować tę ziemię, co nas zrodziła i wszystkich wykarmiła. Kiedy panienka

tyla trudu sobie zadaje, by mnie nauczyć pisać i czytać, dzięki Bogu, już potrafię wiele więcej od innych, od Kasi Bartkówny, bez miary lepiej, to mam w pamięci zawdy, że kiedy my się pobierzemy, Antku, a Pan Bóg da dzieciątków kilkoro, to ja je wszystkie wyuczę pisania i czytania polskiego i opowiem te śliczne rzeczy z historyi narodu naszego, które mi panienka zawdy opowiada lub czyta. Ani się nie spodziejesz jaką będziesz miał żonę i dzieci, wstydu ci nie zrobię nigdy. Oj nie, uchowaj Boże! Wolałabym abyś się pobrał z Kasią Bartkówną, gdybym ciebie godną nie była. Wierzaj, mój ty, kochający Antku, dla szczęścia twego, odstąpiłabym cię Kasi, ale wiem pewnikiem, że żadna by ci taka wierna, taka miłująca, w sercu do dna oddana nie była, jak twoja do grobu

Marynka.

IX.

Kochający Antku mój!

Bardzo mi ucieszno, że was tak interesuje, co my tu porabiamy, i że chcecie, abym wam jeszcze więcej trochę opisała o życiu naszem i o tem, co radzi ów ojciec Kneipp. Prawdać to, że musiał mądry być co nie miara, kiej tyle państwa zjeżdżało tu na kuracyą, a on nie lubiał schlebiać nikomu, sam żył surowo i dla gości ostry był, gdy go kto słuchać nie chciał a mądrował się. Ten do-

ktor, co odwiedza sąsiadkę i przyjaciółkę naszej pani, pannę Jarynę, starszy człowiek, rzetelny i uczciwy, a taki skromny, że mało co o nim tu gadają, jeno wszyscy wiedzą, że jest zacny i dla biednych miłosierny, — ten doktor, dużo o tym Kneippie rozpowiada i chciałby, aby tak w Wörishofen było jak za nieboszczyka. On muzyki i tańców wieczorem nie pozwalał robić, — pannom, choćby z wysokiego rodu zakazał nosić sznurówki, że to niby ściskanie w pasie tęgo zdrowiu szkodzi, — i nawet, — o jej Antku, wstyd mi napisać tak otwarcie, ale pończoch ani innej spodniej bielizny nie dał im nakładać. A jednak tak tu było pełno, że miejsca ci znaleźć nie było sposób — więc państwo mieszkać musiało u chłopów, albo li we wsiach sąsiedzkich i dzień w dzień, deszcz nie deszcz, przychodzili ci tu do Wörishofen słuchać, jak ten ksiądz im wykładał, co złe, a co dobre, co służy a co nie służy dla zdrowia. Potem przy studni stały konwie wody, a on ich uczył polewania wodą, wedle tego, by się zahartowali i do wody przyzwyczaili. W kościele zaś w niedzielę, gdy prawił z ambony, to kiej makiem zasiał, taka była cisza. Powiadają, że on gadał kiej prorok jaki, a tak przekonać potrafił, że każdziutkie słowo, co rzekł, padało prosto na grunt serca, i już człek przepomnieć nie mógł. Zaś na dworze wchodził na jakie wywyższenie i stamtąd ludziom wykładał. Słuchali pilnie i magnaty i państwo i prości wyrobnicy — tego doktora w sutanie, pokornego proboszcza wiejskiego, — byli i biskupy

i księża z dalekich stron przybyli i profesorowie i biedne kaleki, których na noszach przynosili — i kobiety z dzieciątkami przy piersi. A on opowiadał wyraźnie, po prostu, jak jaki ojciec między dziećmi swojemi — często, gęsto, zapytywali go o jaką radę wedle zdrowia, a on odczytywał karteczki i każdemu dał stósowną odpowiedź, często tak ucieszną, że wszyscy w śmiech! Jeno wejrzał na człowieka, a już wiedział co mu braknie — ani nie stukał po nim, ani żadnego proszku w papierach nie zapisywał — co to trucizna jest, jeno jednego kazał owijać w mokre prześcieradło i buch pod pierzynę, aż pot ciurkiem spływał i złe zabierał, drugiego lał wodą zimną, aż mu się ciało zaczerwieniło, abo we wannę wskakiwać kazał, abo znów boso po wodzie lub po trawie z rosą chodzić.

Nie dał ci nikomu jadać wyszukanych potraw, jeno proste bez pieprzu i zbytniej soli, a zaś dużo chleba, kiejby nasz pszenny, gryczaną lub owsianą kaszę albo ryż i zupę z mąki lub owsa. Każdy, by najbiedniejszy z biednych, może to robić, co on przepisał, bo jemu też o prostaczków chodziło, i dla nich całe życie pracował, aby im pokazać, że nie w lenistwie a dogadzaniu ciału zdrowie znaleść można, jeno właśnie w pracy, w prostem odzieniu i prostem pożywieniu.

Wina nikomu pić nie radził, a już wódka, to ci była u niego wyklęta — że to mówił zdrowiu nic a nic nie pomoże, a szkodzi bardzo. Od wódki rozum krótki, mówi nasze polskie przysłowie —

i ten ksiądz też poucza, że każdy kto pije wódkę, ten coraz słabszą ma głowę, krew mu się zgęszcza, żołądek, gardło i kiszki przepalają; gdy więc potem przyjdzie jaka choroba, od razu go zdmuchnie kiejby świecę. A dzieciom małym kto daje choćby parę kropli wódki, ten okropnie źle czyni i grzeszy ciężko, bo to tak samo jest, jakby mu kto truciznę podawał.

Widzisz Antku, jak to nasz proboszcz ma racyą, gdy z ambony na pijaków wrzeszczy! A po wódce na drugiem miejscu, to wyklinał kawę mocną i herbatę. Tego u nas na wsi nie używają zbytnio, ale po miastach to niejeden się mocną kawą i herbatą truje. Daleko taniej się wychodzi pijąc kawę z żyta, z żołędzi, kto nie może mieć mleka, albo nareszcie z lipiny, co wiele dla zdrowia lepsze. A gdy Kneipp zaczął mówić o czystości, o myciu się wodą, to się mówią, aż cały trząsł — tyle złego przypisywał niechlujstwu i brudowi.

Kiedy to wszystko słyszę, Antku kochający, to przysięgam sobie, że u nas jak się pobierzemy, będzie ład i porządek w naszych izbach. W jedzeniu skromnem lecz czystem, nie będzie much ani żadnego gadu, jak to bywa u niektórych, co do kieliszka zbytnio zaglądają, garnki i statki będą się świeciły, pościel wytrzepana, aby się kurz i choróbska nie imały naszego dobytku.

A da Bóg, będą dzieci, to obaczysz, jak ja je myć będę, czesać, jak nie będę skąpiła wody — dzień w dzień calutkie zmyję. A jak ze szkoły

wrócą i będzie panowała zaraza, to marsz — ręce, gębę wymyć. Niejedna kobieta mówi: „Gdzie ja sa mam czas na takie termedyje z wodą“. A na prześmiewki z chłopami, na gadatliwość niepotrzebną, na obmawianie sąsiadów, to czas masz? U nas, Antku, nie będzie czysto, wedle oka ludzkiego — że to kto w gościnę zajedzie, jeno tak prawdziwie z gruntu, dla nas samych, dla naszego i dzieciątek zdrowia.

I obaczysz, że w naszej chałupie będzie się dobrze działo, bo Pan Bóg błogosławi, gdy kto porządny — bo to mówią idzie w parze, cnota z porządkiem, a grzech z niechlujstwem, i tam, gdzie bardzo czysto, tam dyabeł się czuje jakby nie swój i od takiej izby ucieka.

Tak jabym ci mogła wypisać długo i szeroko, mój Antku jedyny, jak to będzie, gdy się pobierzemy, wszyćko mam w głowie jakby układane, ale czy ty, Anteczku, nie wyśmiejesz się ze mnie. Czy naprawdę weźmiesz mnie za żonę z wiosną? Czegosik mi tak straszno, i czasem chwyta lęk za serce, że podczas gdy ja tu do ciebie się zwracam, dzień w dzień choć parę linijek do cię piszę i piszę, cni mi się za tobą, gdy jestem przy pracy, cni mi się, gdy chodzę po łące, po lesie, gdy słyszę jak ptaszek śpiewa, gdy patrzę na śliczniuchne kwiatki — cni mi się, gdy sporządzam sukienki panienki, gdy gotuję kawę, a najwięcej to już, kiedy przed łóżkiem uklęknę i wejrzę na krzyż Chrystusa Pana, co to wisi podle głowy, to się cała kiejby topię w tem myśleniu i tęsknieniu za tobą,

mój Antku, serdeczny a kochający, i jeno za tobą proszę a błagam łaski Pańskiej, aby ci Jezus dał wierność w sercu i wielkie do mnie miłowanie — by cię strzegł od wszystkiego złego i od tych pokus Bartkowej córy, aby się do cię mizdrzyć przestała i mnie przepomnieć nie uczyła. A że to Pan Jezus wszyćko może i miłosierny jest, o to go tysz proszę, aby Bartkowej córce dał szczęście dzieindziej — jakiego najbogatszego chłopa z całej okolicy, byle ci spokój dała, Antku, i tyś się nie odwrócił choćby na skinienie oka, od twej wiernej, najlepszej i najukochańszej przyjaciółki —

Marynki.

X.

Antku kochający! Wczoraj nasza starsza pani urządziła herbatę dla polskich pań, to mi też ta i owa wsunęła mareczkę do kieszeni, a że i z przeszłego kwartału ostało mi trochę grosza, więc posełam 30 marek, abyś mi na książkę włożył, co to u pana nauczyciela jest schowana. Jaśnie pani bardzo marudzi na mnie, jeśli wydam więcej pieniędzy, niż potrzeba i gada, że trzeba odkładać na gospodarstwo przyszłe. Sama to ci hojna jest bezmiernie, — jeno się kto z wizytą przytrafi, zaraz częstuje a zaprasza, a do jedzenia nakłania. Niech się jeno o jakiej biedzie, o jakiej sierocie, lub chorej duszy dowie, zaraz sięga do portmonetki. Okrutnie dobre a złote serce ma,

nasza dziedziczka, i wszyscy my postarać się winni, aby jej służyć wedle sił i dobytku pilnować, by zaś nic nie poszło na marne i na zaprzepaszczenie. Służbę to ci tu mam lekką, bo i Eliza z pierwszego piętra i Agnes od drugiego piętra i ta co polewa w kąpielni często gęsto pomagają, a na dalsze posługi, to tu jest jeszcze taki stary, na pół ślepy człowiek, który u państwa Weissów dawno służy. Chociaż ledwie co już dowidzi, nie nygusuje wcale, jeno przez cały dzień, to w ogródku kopie, albo po doktora leci, gdy kto zachoruje, albo zamiata, zanosi co się trafi. Gdy zimno na dworze i wyjść nie ma potrzeby, to piastuje dziecko, małego Wili, pani właścicielki. Tak ci to po sercu miękko się robi, gdy widzisz tego ślepego, starego, a na ręku jego, dziecko, które on huśta, kolebie, zabawia i uczy je gadać. I tak sobie myślę, że ten naród tu chyba pilniejszy, niż my, bo gdzieby się któremu chciało tak w pracy harać na starość, — jak ślepy, to już jeno rękę po jałmużnę wyciąga, a niejeden zdrowiuśkie oczy ma, a do roboty się leni. Tu już taki porządek jest, że wszyscy mocno pracują i zarabiają. A tak i właściciel tego domu, gdzie mieszkamy, i brat żony co się, gadają, okrutnie bogato ożenił, sami rękawy zaginają, a w pocie czoła kiejby wyrobniki pracują przy budowaniu nowego mieszkania. A u nas, Antku, jak się kto trochę grosza dochrapie, to już cygaro w usta, łańcuszek przy zegarku, kapelusz z głowy, ręce w kieszeniach, niby to pan maszeruje i wstydziłby się grubej

roboty, młotka albo łopaty wziąść w palce. I tu się leniuchy przytrafiają, ale dużo mają jeszcze w głowie przykazania Kneippa, o pracy. A on minutki w dniu nie opuścił, — wstawał o czwartej z rana, — do ósmej się kościelnemi sprawami, Mszą świętą, modlitwą zajął, potem aż do szóstej wieczorem na usługi bliźnich, chorych wszelako potrzebujących. Tylko godzinę w południe miał wytchnienia i jeszcze zabawiać musiał często gęsto biskupów i kanoników. Wieczorem po wszystkich konferencyach jeszcze piórem machał, odpowiadał na listy, pytania lub książkę układał: „Moje leczenie wodą", — do której go namówili przełożeni, a która po świecie się caluśkim w mig rozeszła i u nas na polski język także przetłomaczoną była. Czasem to ci sześćdziesiąt do osiemdziesiąt pacyentów bez dzień opatrzył, głuchych, ślepych, suchotników, kalek różnego rodzaju, — rzadko kiedy miał zwątpienie, co do wyzdrowienia chorego, — przez caluśkie czterdzieści lat leczył, aż do trzysta tysięcy ludzi naliczyli, co tu po radę przybywali. Tego co ten człowiek prosty, chłop z urodzenia zrobił, wedle ulepszenia zdrowia bliźnich, nie każdy potrafiłby, choćby miał dobrą chęć, tęgie siły i rozum, bo to jakaś łaska Pańska całkiem nadzwyczajna, jednemu dana, a drugiemu nie, choćby mózgownicę silił przez całe życie. Bo ten był od samego Boga oświecony, — niby prorok jaki — więc też miarkuję, że wam o nim wszystko wypisać skrzętnie należy się, co o nim posłyszałam. Ale dziś czasu już nie staje, to ci

jeszcze tylko doniosę, żem widziała tego przeora, co po Kneippie nastąpił, nosi się jak u nas braciszkowie z Marysina, a jest przełożonym nad takimi braćmi miłosierdzia. Ten leczy chorych, po części na darmochę, że to zakonnik jest, pieniędzy mu nie trza dla siebie, jeno co dostanie, a moc ma pacyentów, to wszystko obraca na mieszkanie dla biednych. Na gębie nijaki, ale oczy ma mądre.

Tyle na dziś Antku kochający, a Bóg z tobą — i twoją do śmierci

Marynką.

XI.

Najdroższy Antku! Cni mi się bez słówka od ciebie, a to już październik za pasem i niedziele dwie minęły od ostatniego pisania chrzestnej. To mi serce rośnie, że wam tak wszystkim listy moje i opowieści idą w smakę, i że was ten nieboszczyk ksiądz Kneipp interesuje. Więc jeszcze kilka napiszę historyjek o cudownem jego leczeniu, co mi panienka wczoraj przy rozbieraniu opowiedziała. Raz tu przybyła panna, co była narzeczoną, niby to u nas, zmówioną, — wedle tego, że chore oko miała. Na początek różne maście, smarowidła, leki kładła, co kto jeno poradził, — aleć nic nie pomagało, — oko coraz gorzej. Jedzie ci do jakiegoś doktora, a on Miemiec powiada, aż strach napisać, że trzeba oko wyjąć, bo ciężko chore i drugie zarazi. Serce pannę strasznie zabolało — oczy stracić, niech Bóg każdego broni, wiadoma

rzecz, ale i zmówionego stracić miała, bo mu odesłała pierścionek, że to niby ze ślepą się nie zmówił, jeno ze zdrową. Ktoś jej naradził, by pojechała do Wörishofu, do tego księdza, co wszystko wyleczyć potrafi.

Zabrała się więc i przybyła tu wraz z swoim doktorem, co oko wyjąć radził. Pokazują Kneippowi oczy. On się popatrzał, zajrzał do obydwóch oczu i długo namyślił; w końcu rzekł do doktora:

— Mnie się widzi, że oko nie jest stracone, i że je wyleczyć zupełnie dobrze można.

A gdy on doktor obstawał przy swojem, Kneipp powiada:

— To niech pan doktór leczy to zdrowe oko na swój sposób, a ja to chore na swój i zobaczymy, co będzie dalej.

Po kilku tygodniach panna wyzdrowiała, ma oba oczy i szczęśliwie z mężem żyje, a Kneippa błogosławi.

Innym razem zajechał tu pan bogaty i wielki familiant i skarży się księdzu Kneippowi, że chory tego na serce. Wszystko ma, co jeno człowiekowi potrzeba i rodzinę zacną i pieniędzy moc i u swoich poważanie, jeno w sercu coś ciągle niedomaga, a boli i gnębi. Był za granicą u sławnych profesorów, wszyscy orzekli, że ma w sercu błąd, i gdy mu raz to powiedzieli, już ani spokoju nie ma we dnie ani w nocy, jeno czeka, rychło ta z kosą po niego przyjdzie, a za dnia siedzi w strachu śmiertelnym.

Kneipp jeno uchwycił onego pana za puls, do serca ucho przyłożył, pokiwał głową i rzekł krótko:

— Pan nie masz żadnego błędu w sercu, pan jest nerwowy, czyli nerwy chore masz — woda ci pomoże, zapisuję panu kilka polewań wodą.

— Woda! — krzyknął chory — za nic na świecie! Ja wiem, że wody moje serce nie znosi, w tej chwili na miejscu padłbym trupem.

Kneipp się jeno uśmiechnął i powiedział:

— Nie umrze pan, biorę na siebie odpowiedzialność i sam pana poleję najmocniejszym prądem wody, żeby go od razu przekonać, iż w sercu żadnego błędu niema.

Pan się chciał bronić, ale Kneipp kazał kąpielowemu wziąć pacyenta pod pompę i dał mu tak tu przezwany po niemiecku „blitzguss". Gdy się to udało, chory nie tylko że nie umarł, ale się czuł rzeźwiejszy, i od tej pory nabrał chęci do leczenia wodą, został trzy miesiące we Wörishofenie i wyjechał stąd uzdrowiony.

Tak to, Anteczku kochający, zamiast ci wszelakich trujących leków, woda nieraz pomódz człowiekowi może i z choroby wyleczyć. Ale nie trzeba myśleć, że to kto bez nauki, sam ze siebie poradzić sobie potrafi i na jakowy ból wodą gichnie i już po chorobie. Oj nie tak, nie tak. Starsza pani gada, że kto z wodą od dziecińskich lat nie obeznany, ani uczony, jak się te polewania dają, ten niech się nie waży do kuracyi z wodą zabierać. Co innego codzienne mycie, co innego

czystość ciała, czystość izby, wszelaki ład, porządek, otwieranie okien, przewietrzanie izby, kąpiele w stawie lub jeziorze latem, a co innego znów takie polewania jak tu dają chorym. Do tego trzeba być dobrze nauczonym, wiedzieć jak się brać do rzeczy, aby chorego, broń Boże, nie zaziębić i gorszego złego mu nie napędzić. Mógł sobie taki Ojciec Kneipp pozwolić na onego bogatego pana wodą siknąć, bo był doktór, uczony, znający się na sztuce, którą wymyślił, ale nam do tego wara!

Można na niejedną bolączkę z zimnej wody okład zrobić — bo to wyciąga gorączkę i goi, można na chory brzuch z gorącego odwaru siana przyłożyć okład, gdyż gadają, bardzo to skuteczne, albo wszelakie ziółka pić, z piołunu, z tysiącznika, z rumianku, z lipowego kwiecia — anibym ci nie zliczyła, Anteczku, ile gatunków tych kwiateczków na łąkach rośnie sobie, na chwałę Bożą i na pożytek ludziom, które on ksiądz Kneipp, nazbierać kazał rok w rok i zaś choroby leczył, ale kuracyą taką rzetelną z wody bez nauki, samemu robić nie można.

Anteczku! A wiesz ty co? Jak ja do Bożejewic wrócę i żoną twoją jedyniącą ostanę, to ze szczerego serca i z najlepszej chęci każdemu, kto będzie potrzebował rady, jak to okład przyłożyć, albo zioła naparzyć, służyć będę i pokazywać, bo kiedy z woli Bożej i starszej pani tu jestem tak długo wśród obcego narodu, to niechno się zaś ta nauka moja przyda swoim, w polskim ukocha-

nym kraju. Aj, aż mi serce skacze z uciechy, gdy myślę, że tej biednej Rzędzinie będę mogła może ulżyć w tym bólu nogi, co to ją tyle lat trzyma. Albo i Staszaków synkowi! Na doktora niema pieniędzy, ani na leki, ale ja mu na darmochę ziołków naparzę, albo kawy żytniej ugotuję. Niechno tam nie myślą nasi, że chcę być, jak to bywa nieraz, mądrą babą, co to z nieczystemi duchami gadają trzymie, jakieś lubczaki młodym rozdaje, albo kołtuny na piersiach nosić każe; wiem ja, że to grzech od takiej rady pytać. Moja nauka będzie prosta, jak słoneczko Boże jaśniutka, i nie za pieniądze albo wszelaką inną nagrodę, jeno dana bliźniemu na darmochę.

Niech mnie Bóg broni! Jeno to wiem, że komu ulżyć w chorobie można, albo od choroby obronić, to grzechby był dla siebie chować, a swojemu nie użyczyć. Będą chcieli, to spytamy się o to naszego proboszcza, co o tem powie, — zacny jest i rozumiejący biedę ludzką, to najlepiej osądzi, co dobre, co można zrobić, a co nie.

Anteczku, a ty mi bywaj zdrów i miej swoją Marysię w pamięci! Tęskno mi za tobą nieraz tak, że prosto nie wiem sobie rady — i na prawdę serce boli. A na tę chorobę serca, to żaden „blitzguss“ wody księdza Kneippa nie pomoże, jeno powrót do kraju, do naszej chałupy, do rodzicieli i do ciebie — najwięcej do ciebie — Antku umiłowany!

Ostań z Bogiem!

Marysia.

XII.

Antku, mój Antku! Gdybyś ty wiedział, jaka żałość ściska dzisiaj serce moje! Dostała ja od chrzestnej pismo, w którem napisane było czarne na białem, że niektóre dziewuchy z Kasią Bartkówną na przedzie, prześmiewały się, iż to wcale nie przystojnie z mojej strony, że ci tyla w mych listach o kochaniu wypominam, i że porządna dziewczyna wstydziłaby się tak cięgiem narzeczonemu ze swojem miłowaniem się przypominać. A przecie, Antku, — tyś napisał do mnie:

„Maryś moja jedyniąca, szczerą we mnie ciekawość wzmaga twoje opisywanie, o tej cudzej ziemi, gdzie przebywasz, o tej nauce porządku, tak dla nas wszystkich przydatnej, i o tem mądrem leczeniu się wodą i ziołami, — ale nadewszystko dziewucho serdeczna, uciechę mi sprawiasz, kiedy mi tak od serca przemówisz, o naszem kochaniu, i kiedy wiem, że jestem u ciebie w myśleniu o każdej godzinie, o każdej minucie, przy pracy albo li modleniu. To pisanie twoje inne, czytam hybko, choć także z miłą chęcią, ale już po dziesięć razy odczytuję te miejsca do mnie wystosowane, i dusza mi się śmieje do ciebie i przepomnieć o tobie nie mogę, choćbyś przez lata całe i przez dalekie morza i góry się oddaliła odemnie“.

Antku! Takeś na początku w jednym liście odezwał się do mnie, więc jakże ja nie miałam w każdem pisaniu nie wypominać ci kochania

i nie chcieć, aby ci się dusza śmiała, kiedy to moje największe szczęście widzieć cię ucieszonym i o mnie pamiętnym.

A przecie, gdy już pewnikiem z wiosną mamy stanąć przy ołtarzu i zaś iść w życie jako mąż i żona, toć żaden grzech nie jest, że się miłujemy, — owszem Pan Bóg błogosławi więcej tym, którzy, sobie przypadłszy do serca, chcą się pobrać, jak takim, co to się żenią wedle wiktu i opierunku, albo z wyrachowania, albo z jakiej innej nieczystej intencyi. Więc mnie się widzi, że to Kasia Bartkówna tak jeno ze zazdrości prześmiewa to moje pisanie, które jej się do ręki dostało, gdy była w odwiedzinach u chrzestnej, — że to mnie Pan Bóg chce opatrzyć dobrym i robotnym chłopakiem, a z nią się jeszcze żaden nie zmówił, choć przecie szpetną nie jest i dwa razy tyle ma grosza, co ja. I niech się ta o mój honor a uczciwość nie frasuje, chociem daleczko od ojcowskiej zagrody, pilnuję się i prowadzę, jak przystoi, — po pierwsze dla tego, żem jest w bojaźni Bożej i świętych jego przykazaniach odchowana, — po drugie dla tego, żem jest pod opieką naszej dziedziczki, co tyle znaczy, jakbym była pod okiem rodzonej matki, — po trzecie, że nie widuję tu jak jeno obcych ludzi, a dla polskiej dziewczyny Niemiec albo-li Bawar tyla znaczy co drąg na polu lub kamień przy drodze. — Bo to mi się wcale w głowie wmieścić nie chce, jak mogą nasze dziewuchy, gdy są we świecie, zadawać się z obcymi, i nawet do ślubu iść z inno-

wiercą. — O jej, Antku, to musi być straszna niedola takiej polskiej dziewuchy i wolałabym stokrotnie tłuc kamienie na szosie, przez długie lata świnie oprzątać, nie wziąść lepszej strawy do gęby, jak się tak zmówić i związać na całe życie z jakim Niemcem, któryby mojej wiary nie czcił, mojej ziemi polskiej a rodzonej nie miłował i po polsku do mnie zagadać nie potrafił. Ale ty, Antku kochający, możesz spać spokojnie i głowy sobie nie frasować, — choćbym nie była na obczyźnie, i z najprzedniejszymi swojakami się widywała, to już by się serce moje odmienić nie mogło ani odwrócić od ciebie.

A żem tu z starszą panią powędrowała i wiele nowego co do gotowania, wszelakiego leczenia się wodą i okładami nauczyła, tego wcale a wcale nie żałuję, owszem ucieszno mi, że dużo więcej umiem, żem się tu różności napatrzyła i co pożytecznego braciom opowiedzieć będę mogła. Za obcego człowieka wydać się za mąż, o niech Bóg każdą dziewuchę strzeże! Ale uczyć się od nich porządku, pracowitości i uczciwości, to właśnie rozum, — i to mi panienka często wypomina, abym, pókim tu jest, napatrzyła się, i jak ta pszczółka słodkość z kwiatu, tak ja zbierała wiadomości, co się zaś swoim i mnie w dalszym żywocie przydać będą mogły. Tak ja też z miłą chęcią czynię, a często to mi się pod sercem coś kurczy, gdy widzę, że oni tu bardziej od naszych nabożni, — w pracy nie leniwi i bardziej szanujący nie swoją własność, niż nasi kmiotkowie. Tutaj

nikt cudzego za nic by nie tknął. U nas, prawdać to, że za grzech sobie mają wziąść komu pieniądze albo przyodziewek, ale takie już mniemanie, że co w gębę, co dla krowy i świni, lub innego gadu, to nie grzech. I jak to chłopaki nie szanują młodych drzewek na szosach, albo płotów kole ogrodu, albo świeżutko zieleniącej się oziminy! O jejku, — napatrzyłam ja się na to, i sama, niech mi Bóg to przebaczy, na krzywdę wyrządzoną w ten sposób właścicielowi nie baczyłam, bo to człek za młodu głupi, ani się nie zastanowi, co robi. Dopiero z latami rozum przychodzi i żal, jeśli się ma czyją szkodę na sumieniu.

Może ta znów komu nie w nos będzie, co ja ci tu wypisuję, Antku, aleć trudna rada, — z prawdą się mijać nigdy nie trzeba, choć ona gorzka, jak ten piołun nie przymierzając, co on Kneipp pić każe tym, którzy na brzuch chorują, i nie raz nie dwa oną goryczką się wykurują.

Ale na dziś chyba dosyć, — żegnam cię, mój Antku jedyniący, i w Boską opiekę oddaję, jako też i wszystkich naszych i tych, co mnie w miłej pamięci mają.

Twoja do grobowej deski wierna

Marysia.

XIII.

Na długo to się co prawda dziś do pisania zabrać nie mogę, bo od niejakiego czasu, chorują tu wszyscy wkoło mnie na influenzę, i pomnożyła mi się robota, gdyż trzeba też chorym dziewczynom przyjść z pomocą i, gdzie się da, wyręczyć, a przytem i moje panie nie tęgo się miewają. Jedna sąsiadka, w przyjaźni z naszą jaśnie panią, mocno zachorzała. Gorączkę ma tęgą, aż bucha od niej. Był ją poratować ten zakonnik doktor, co go tu przeorem nazywają, a nosi się jak brat z Marysina. Kazał jej w łóżku leżeć, herbatkę ciepłą pić, a co dwie godziny zimną wodą całe ciało zmywać, nie wycierać się, jeno zaraz nadziać grubą płócienną koszulę i pod pierzyną się zagrzać. W parę godzin już się gorączka zmniejszać zaczęła, a pod wieczór prawie caluśka minęła. Gadają, że takiem zmywaniem ciała, wodą gasi się zapalność wszelaką, i że niejeden bez lekarstwa i trudu może przez dzień i noc wypocić choćby największe zaziębienie. Jeno trzeba to dobrze umieć zrobić; chybko, nie w zimnej izbie, nie pomaczać bielizny, i nie w takiej chwilce, kiedy febra trzęsie, jeno gdy się zaczyna robić gorąco.

Jak wrócę do Bożejewic, to kto będzie chciał, pokażę mu, jak trzeba robić te zmywania, bo co inszego powiedzieć gębą, a co inszego pisaniem. Zawdy człek w języku mocniejszy jak w piórze.

Ale, Antku kochający, kiedyż my wrócimy! Już brzydko się na świecie robi, szaruga okrutna,

deszcz jeno tak dzwoni w szyby, że coraz mocniej mi tęskno za domem. Wczoraj tośmy wszystkie cztery się spłakały mocno, to jest jaśnie pani, panienka, p. Jaryna i ja, bo jakiś pan Bawarczyk, czy z Westfalii, zapomniałam skąd, co dużo gra na tym fortepianie, co stoi na dole w sali jadalnej, zaczął wygrywać polskie pieśni, aż i „Boże coś Polskę" cichutko zagrał. Moje panie zaśpiewały mu wtórem, i tak od dołu do góry, ta nasza przecudna pieśń się rozlegała, a Agnes i Eliza wylazły na kurytarz, aby się przysłuchać i okrutnie im się podobało, choć i słóweczka nie rozumiały, jakie to smutne słowa ta pieśń zawiera. A moje panie coraz to częściej się markocą i o jakiemś wielkiem nieszczęściu w kraju gadają. Niech Bóg broni, Antku kochający, co tam znowu kują nasze nieprzyjacioły. Jeno ty, Antku, nie obwijaj nic w bawełnę, jeno o wszystkiem napisz, bo mi bardzo żal, kiedy nie wiem, co porabiasz i wszyscy nasi, — czy zdrowi, czy chorują, — mnie to bardzo interesuje, ja się co dzień modlę, by Pan Bóg błogosławił we wszystkiem na Bożejewickiej ziemi i na całej Polsce, ukochanym w kraju rodzinnym.

Więc ty mi, Antku, nie szczędź pisania i uwiadomienia, co się dzieje. Kobietą jestem, słabą z rozumu, ale serce mam kochające i dobrą wolę, chcę to samo cierpieć, co ciebie i naszych dotyka, jeśli mam ci być żoną wierną i umiłowaną do grobowej deski, musisz ty ze mną podzielić się i złem i dobrem, i szczęściem i nieszczęściem

i smutkiem i uciechą. Gdy jest co do dźwigania ciężkiego, lepiej, że się dwóch w kupie bierze, jak jeden na samotnika. Miej ty w pamięci, Antku, że moje ręce zdrowe i silne chcą ci we wszystkiem pomagać, a moje serce jeno drży do tego, by razem z tobą płakać lub weselić się. Daj mi orędzie prędko o naszych wszystkich i o tem, że mnie miłujesz, jako ja cię umiłowałam aż do ostatniego tchu życia.

Twoja *Marynka*.

XIV.

Antku kochający! Antku jedyniący, coś ty mi za orędzie przysłał, w mózgownicy mojej pomieścić się to nie może, i choć precz myślę i myślę, nic a nic nie rozumiem! Bo jako to może być prawda na świecie, że nam chcą zabrać ziemię naszą rodzoną a świętą? Jezu Nazareński ratuj! Z twego pisania, Anteczku, idzie ciężki smutek a żal na serce moje, i nic mi się w głowie pomieścić nie chce, co się u nas dzieje! Zawszem myślała, że co cudze, to grzech brać i nikogo zmusić nie mogę, aby mi dał, czego ja nie chcę, ale teraz to chyba wszystko do góry nogami się przewraca, co czarne jest jak smoła, mówią, że białe, co śmiertelny grzech, mówią że prawo. Oj strasznie, strasznie nas Bóg pokarał. Zanim pisanie twe odebrałam, Anteczku, wiedziałam już ja od dawna, że coś złego się święci, a dziś

od rana, ta panna Jaryna, co to naszą panią okrutnie lubi, wpadła z „Dziennikiem Poznańskim“ i z jakimsiś listem, kiedy jeszcze dziedziczka była w łóżku, i dalej się rozkrzykiwać obie, ręce łamać i płakać. Panna Jaryna przez dwa pokoje chodziła a chodziła, jakby miała cholerę w piętach, a nasza starsza zaraz okulary na oczy i zaczyna głośno czytać. Jaśnie pani, o jej, Antku, to ci ino tak czytać umie, że bardziej do serca i do rozumu trafi jak nieprzymierzając sołtys, albo organista, albo nawet sam pan nauczyciel. Jak jest co wesołego pisane, to byś się mógł kulać od śmiechu, tak ci dosadnio odczytuje, a jak smutne, to znów serce może pęknąć z żalu, i zda ci się, że widzisz ten smutek kole siebie i rękami go dotknąć możesz. Dziś coś tam tak bolesnego stało napisane, że już ani ci opowiedzieć bym nie mogła, bo w głosie starszej pani coś jęczało strasznego, łzy ją prosto dławiły, panna Jaryna szlochać poczęła, i panience jeno tak płacz ciurkiem z ócz leciał.

Więc i mnie się coś skurczyło wewnątrz, i słuchałam, co to będzie, płacz połykając.

A panna Jaryna wzięła list i rzekła: „To od cioci Maryni“ i zaczęła czytać.

„I stało się to, czegośmy się lękali od tylu tygodni. Zapadł wyrok wywłaszczenia, wyrok odbierający nam ziemię z pod nóg, odbierający cel pracy, odbierający wymiar wszelkiej sprawiedliwości. Grom ten uderzył w ogół, lecz o dziwo przygnębił, zasmucił, ale nie złamał.

Każdy czuje się silniejszy duchem, każdy wyżej podnosi głowę, i jeżeli sądzili, że zrobią z nas niewolników, to się pomylili. Jest coś królewskiego w każdej twarzy polskiej, każdy cierpi, ale to cierpienie go uszlachetnia. O dobrowolnem poddaniu nikt nie myśli, a jednak wyrok sam w sobie straszny, bo takie życie bez jutra to największa męka. Ja sobie wciąż powtarzam, Chrystus dopiero zwyciężył, gdy go do krzyża przybito, a więc i duch polski, pozbawiony wszelkiej podpory ziemskiej, urośnie i oparty na prawdzie i sprawiedliwości zwycięży".

Tak czytała panna Jaryna, a ten list pochodził od jednej z tych pań, które to siostrzenice są i wychowanki owej wielkiej patryotki Emilii Sczanieckiej z Pakosławia, co to wiadomo każdemu, kraj swój ojczysty miłowała nadewszystko na tym świecie, życie swoje i dobrobyt na ratunek ziemi oddała. Więc choć nie wszystko zrozumiałam, co w tym liście stało i co ci skrzętnie wypisałam z niego, bo mi go jaśnie pani do ręki dała, to jednakowoż bardzo mi się spodobało, że to Polska nasza niby rozpięty Jezus Chrystus na krzyżu w tej ostatecznej godzinie konania zwycięstwo odniesie! A to już chyba sądu godzina nastała dla nas, jeśli nas przemocą z gruntu ojczystego wyrzucą! O jejku, Antku, aż mnie coś na dołku ściska... aby mieli tobie zabrać i twoim rodzicielom szanującym, tę chałupę przydrożną, — i pole, co kiej skiba przy skibie rodzi tęgie ziarna pszenicy i żyta, — i te

łąki zieleniuchne, gdzie się krówki nasze pasają, i bór i zagaj pański, — gdzie słowiki na chwałę Boską śpiewają, — i te całe dobra dziedzicowe, parki i dwory polskich państwa! A coby się stało z naszemi kościołami, cmentarzami i parafią katolicką! O jejku, to prosto człek o tem myśleć nie może, bo by musiał chyba zemrzeć z żałości i jeszcze w tym bezpamiętaniu boleściwem Boga wszechmocnego obrazić jaką mściwą myślą na nieprzyjaciela... A to grzech byłby, Antku, kochający, bo nam wolno bronić własności swojej aż do upadłego, ale mścić się w niegodziwy sposób nie wolno.

Żegnam cię, Antku, jedyny! Bóg z tobą i z nami wszystkiemi biednemi sierotami... Jeno ty się nie zasmucaj zbyt srogo... bo wszakci Opatrzność niebieska czuwa nad tymi, co najbardziej płaczą i najbardziej ucisk znoszą, toć i na nas pokrzywdzonych wejrzy litościwie i kąsek słonka jasnego spuści na naszą krwawą dolę i płacz sierocy. Co daj Boże wszechmocny jak najprędzej. Amen.

Do grobowej deski wierna twoja

Marysia.

XV.

Cięgiem my tu mocno strapieni, Antku kochający! Nie trza ci myśleć, że wedle tego, iż jesteśmy daleko od swoich, wśród obcych ludzi,

to już nas mniej obchodzi, co się w kraju rodzonym dzieje! Oj nie tak jest z nami, Antku, jeno sercem a duszą wędrujemy dzień o dzień do was i jeno tem żyjemy, co nam od was przyjdzie, co drukowane albo i pisane.

Ale wesele to już i odleciało od nas, — jako te ptaki niebieskie, co porywają się precz od naszych zagonów, gdy śnieg je białą płachtą przyodzieje; i uciekną daleko, daleko, — tam gdzieś, kędy ma być i cieplej i jaśniej na Bożym świecie. Tak i od nas uciekły śmiechy i radości.

Wszelkie przyśpiewki ucichły. Dawniej to ci nieraz nasze panie, polskie śpiewy urządzały i jeno tak grzmiało często gęsto w pokojach u jaśnie pani, a najwięcej, gdy panna Helusia urządzała mazura w cztery pary. Teraz nic jeno smutek a wzdychanie. Na dworze też chmurno i zimno coraz bardziej się robi. Goście, co tu ze wszystkich końców świata zjeżdżają, na lato już wrócili do siebie. Do nas tylko jeszcze zachodzą polskie panie, co tu na zawdy zamieszkały, — albo li ksiądz zakonnik, co go panie perem przezywają, — bo per, to tyle po francusku, co u nas ojciec, a on Francuz jest i jak prawdziwy ojciec, taki dla wszystkich dobry jest. Jeszczem ci nigdy o nim nie pisała, ale on ci tu ze wszystkich pewnikiem najlepszy, a mądry też i wielki pisarz. Z chorymi, biedakami wszelakiego gatunku, zna się dokładnie, bo ich dzień o dzień spowiada, a ciężką niemocą tkniętych, na tę ostateczną wędrówkę przed sąd Boga przygotowuje. W bia-

łym habicie chodzi, twarz ma pociągłą, poważną, że rzekłbyś ostry mocno, ale jak się do biednego uśmiechnie, zaraz widzisz, że dusza-człowiek i teżby duszę oddał byle przyjść z pomocą temu, co ma biedę. Najchętniej to się zadaje z chorymi. Wydał też, gadają tu, śliczną książkę, gdzie o chorobach duszy i ciała wypisuje dużo ciekawych a pouczających rzeczy, i tak ze szczerego, a kochającego chorych serca ma to być pisane, że już od tej książki oderwać się nie można, jenoby człek pociechy w niej szukał. Pewnikiem ta książka po francusku pisana, będzie wyłożona na polskie, to może i w naszym kochanym „Przewodniku“ ją się obaczy, aby każdy, co smutny i chory, mógł tam lekarstwo znaleść i zaś w cierpieniu do Boga się zwrócić.

Ten per czyli zakonnik z mojemi paniami mocno się rozumie. Francuz jest, przyjaciel Polaków, a z kraju swego rodzonego wygnany, bo tam taki masoński i żydowski rząd teraz jest, że zakonów, klasztorów nie ścierpią, Boga wygnali całkiem i dzieciom w szkole katechizmu nie dadzą się uczyć. Co się odnosi do świętej wiary, toć tam gorzej jeszcze jak u nas, bo straszna rzecz małym dzieciszczkom wydzierać obraz Boga ze serca. A jak naszych chcą wygnać ze ziemi rodzonej a świętej, to tam, gadają, wyrzucają kobiety niewinne za to jeno, że Boga chwalą i chrześcijańskiemu miłosierdziu się oddają. Często gęsto stare zakonnice, skurczone od wielkiej pracy nad wszelakiem dobrem, wypędzili

żandarmy z klasztoru, albo młodziuśkie siostrzyczki, co to wolały żyć w cichości i w skrytości jak na wielkim świecie, to im kazano iść precz i grosz, wspólnie zebrany, wzięto jakby swój. O mój Antku złociutki, jak się też to źle dzieje na tym świecie, trzeba się skupiać w pracy i tęgo pomodlić, aby się Pan Bóg ulitował nad ludźmi i do rozumu przywołał. Ja już się ofiarowałam z pielgrzymką do Częstochowy, a nie starczy grosza albo czasu tak daleko, to choć do Matki Boskiej Nieustającej Pomocy z Wodziczny, co to tyle cudów już uczyniła, i słuchy chodzą, że kto się tam z frasunkiem i smutkiem uda, a przed cudownym obrazem pokłoni, ten zawsze pociechę słodką wyniesie, bo ta Najświętsza Matka nie potrafi nikogo z niczem puścić. Wszakże i nieboszczyka arcybiskupa, nieodżałowanej pamięci, w chorobie wspomogła. A że potem go zabrała do siebie, to pewnikiem wiedziała ona Matka, co robi, bo gdyby teraz żył jeszcze i widział, co się z owieczkami dzieje, jak się pastwią nad nami biednymi sierotami, to by mu serce pękło z wielkiej żałości, i jeszcze bardziej by się nacierpiał, widząc tę krzywdę straszną.

Niechaj by się Król Wszechświata ulitował, zesłał opamiętanie nieprzyjaciołom! A ty, Antku jedyniący, rozpaczy się nie daj, miej w sercu, miej w myśleniu i na pamięci tę twoją dziewuchę, co ci się całkiem chce oddać na dozgonną miłość i wierność. A choćby nas na koniec świata wy-

gnali, zawsze my jeszcze we dwoje do kupy będziemy stateczniejsi i nie damy się!

Co daj Panie Jezu. Amen.

Marynka.

XVI.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Niech się słowo stanie światłem! Niech dusze zmarłych spoczywają w spokoju! Amen. O mój Antośku, co za uciecha! Co za dobrą nowinę dzisiaj mam ci do napisania, kochający chłopaku! Aż mi wstyd, że to u nas tak źle się dzieje, a mnie piersi rozpiera okrutna uciecha! Bo wiesz ty co, Antku złociutki! Jaśnie pani dzisiaj rzekła do mnie: „Marysiu, za parę dni zaczniemy pakować rzeczy, bo na Boże Narodzenie wrócimy do domu". — Na Boże Narodzenie! O Jezu Nazareński to już przez dwa tygodnie będziemy w kraju, obaczymy się, Antku, po długiej rozłące... po płaczu w sieroctwie, po smutku i wszelakiej żałości!

Do rąk przypadłam jaśnie pani i precz je całuję. A ona gada: Tak ci to spiesznie do narzeczonego? A wiesz, że u nas w kraju ciężki smutek, że nam grożą wywłaszczeniem?"

Oj prawda, że straszne rzeczy piszą z wszelakich stron, że się weselić mi nie godzi. Aleć dziś jeno mam w myśleniu ten dzień, tę godzinę, kiedy cię obaczę, i chałupę chrzestnej, i dzieciska

nasze i wszystkich familiantów! I tu są grzeczni ludzie ci Bawarczycy, katolicy z szczerego serca, i życzliwi nam a nie lubiący pruskich hakatystów, i ten i ów świadczy mi przyjaźń a szacunek, dziewczęta w pracy chętnie z pomocą przyjdą, i dobrego słowa nikt mi tu nie skąpi. A jednak, Antku złociutki, co swój to swój, a co obcy to obcy. Już tak na świecie bywa, że swojego nie zastąpi nikt. To też wszystko się prosto trzęsie we mnie z uciechy wracania do rodzonego kraju. Nie gadaj, Antku, że przez rok, przez dwa roki, już i po nas wszystkich będzie! To się stać nie może. Czyli to spokojnemu człowiekowi gwałtem mogą kazać wynosić się ze swej ojcowizny? Panienka gadała, że się obcy ludzie wstawiają za nas, że w całej Europie jak jeden mąż wszystko się trzęsie wedle naszej krzywdy, ba, nawet w Ameryce za polskim narodem już gazety gwałtu rety krzyczą! A ty, mój Antku, takie smutne rzeczy wypisujesz! Piszesz, że wolałbyś już lepiej zdechnąć gdzie pod płotem, byle w kraju, jak tułać się po świecie, że wszystko rzucisz, bo nie warto gospodarzyć, skoro obcy ma zasiąść w chałupie rodzicielskiej, że puścisz z dymem dobytek, kiedy ma się w nim innowierca panoszyć. Oj, mój Antku, znać, że niema przy tobie kochającej a rozsądnej kobiety, kiedy tyla krwi sobie naprzód psujesz, — a w pomoc Boską najświętszą nie ufasz! Znać, że się tam koło nas kręcą żydki jakie, fałszywe agenty, co nastraszyć chcą poczciwych ludzi, aby za marny grosz nabyć

grunta, a zaś za ciężki pieniądz sprzedać rządowi. — I jabym, Antku kochający, zastraszyła się pewnikiem, boć przecie głupia kobieta ze mnie, aleć mi dziedziczka wszystko jasno wyłuszczyła i przeczytała, co w gazetach mądrych piszą, jako się nie trzeba dać. Kiedym jej z płaczem, okrutną żałością twoje ostatnie pisanie przeczytała, to zaraz mnie pocieszyła, że jeszcze nam śmierć ni zagłada nie grozi, a Pan Bóg choć nie rychliwy, ale sprawiedliwy, że chociaż czekają nas ciężkie, gorzkie czasy, i nielada jakie pokusy, to my musimy rąk nie opuszczać do pracy, jeno się zawziąć i trzymać ze wszystkich sił naszej strzechy i ziemi.

I zaraz mi się spokojnie zrobiło na sercu, i zaraz to wszystko skrzętnie ci wypisuję, abyś, Antku, nie smucił się i markocił zbytnio, jeno teraz weselił się porówno ze mną, że to za dwie niedziele już się obaczymy. Już tam pewnikiem bielą się od śniegu chałupy nasze! Już tam szykują choinki dla dziatwy, złociste kręcą koszyki i rumiane jabłuszka skupują! Już tam organista kolendy ćwiczy, i wszyscy nasi gotują się na przyjęcie Pana Jezusa! Nie gadaj mi, Antku, że jeszcze nigdy na tak smutną wilią się nie szykowało w kraju, jak u nas w tym frasobliwym roku Pańskim. A ja tem bardziej chciałabym być u swoich, przy twoim boku jako miłująca żona. O jejku, czy ja przetrzymam przez te dwa tygodnie! Pókim nie wiedziała nic o tym powrocie do kraju, choć cięgoty brały i raz kiedy

w pacierzu płacz chwytał, że to wilią mamy spędzić na obczyźnie, a nie obaczyć cię, i strach, byś do Bartkówny w końcu nie przystał, to jednak w tym frasunku szła robota raźniej, i jużem się przyzwyczaiła, i czas szybko ulatał.

Teraz śmiech ni płacz, ni pacierz, ni robota, jeno cięgiem, jedna chałupa ojcowa i jedna twarz serdeczna a kochająca i jedna dusza najmilejsza.

Już i z pisaniem koniec będzie, bo to czasu nie starczy ani przed podróżą, ani też w czasie jazdy, bo kolej szybko dyma a nie pyta. Jużem ci też wypowiedziała wszystko, co mam w głowie i w sercu, a odkąd spadło na nas to wielkie nieszczęście, ta krzywda ludzka dotknęła naszych, to już o księdzu Kneippie i kuracyi w Wörishofenie ani wspominać nie chciało mi się, bo i wam tam wszystkim co innego teraz w głowie. Każdy jeno obrachowuje się z Bogiem i sumieniem, co ma zrobić, jak się nie dać złej gorączce, i wlepia oczy w gwiazdę Betleemską, by mu zaświeciła lepszą otuchą i kraj polski wyratowała z krwawej niedoli.

Za nami Bóg wszechmogący, całe niebo z chórami anielskiemi, i Matka Najświętsza i wszyscy ludzie sprawiedliwi!

Jeszcze dziś niewiada, którego to ranka wyjedziemy i przez jakie miasta przejeżdżać będziemy, ale pewnikiem to nie na Berlin, bo go teraz nikt ścierpieć nie może. A mnie już wszystko jedno, kędy zajeżdżać będziemy i jakowych

ludzi oglądać, jenobym chciała, by ta zima sroga koniec wzięła, a słonko kwietniowe wyjrzało, bo choć teraz się wnet obaczymy i przecież zmówieni my już, jeszcze przez cały kwartał trzeba czekać za weselem, a tyś taki prędki, Antku, i wciąż chciał byś na rozmówki zachodzić do mnie, jak to przedtem bywało, a ja ci tego bronić będę musiała, choćby serce piszczało i wyrywało się do ciebie. Bo choć żem jest miłująca, do grobowej deski oddana ci, ale też stateczna i Boga lękająca się dziewucha, to chcę do końca służbę moją wypełnić, a zaś jako przystoi dobrze i wstydliwie odchowanej dziewusze, z czystem sercem a sumieniem stanąć przed ołtarz Pański w kościele Boskim i potem w progach twej chałupy.

Gdy się więc obaczymy niedłużko, Antku złociutki, chcę być wiedział, że cię honorowego bardziej kochać będę, jak Boże broń letkiego, i choć mi tak tęskno do ciebie i do twego okienka, jako jaskółce biednej do ciepluchnego gniazdka, jednak nadewszystko najmilsza mi uczciwość i w niej też chcę dochować przykazania Boskiego, aż i się na prawdę pobierzemy, w szczęśliwości niebieskiej, w miłowaniu dozgonnem, co daj nam Panie Jezu najprędzej.

Ostańże z Bogiem, Antku kochający! Pozdrawiam cię z szczerego i wiernego serca, jako też pozdrowienie daję starym Borysom, Rzędzinie, sołtysom, Pacyńskim, Bryłom i Kordusom, Staszaczce i Filipce Frydryszaczce. Nie-

dłużko już, niedłużko, przypadnę do kolan chrzestnej ciotce i do twego serca, Antku jedyniący!

Z Wörishofen, 15 grudnia 1907 roku.

Twoja *Marysia*.

Spis rzeczy.

Piotr i Jagna Bandurkowie 5
Jak się pan Amandus Fifirkowski zaręczył? . . . 93
Kasia 107
Wspomnienie o mojej matce 137
Marya - Aniela. Opowiadanie z krwawych lat powstania 1831 roku 145
Listy Marysi do Antka 209